

BIBLIOTEKA Powszechna

Fr. Rawita.

BŁĘDNE OGNIKI.

Powieść współczesna.



Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.



Biblioteka Powszechna

Każdy pojedynczy numer 24 h.

Każdy TOMIK można osobno nabyć.

Dotychczas wyszły następujące numery :

1. Mickiewicz, *Kowrad Wallenrod*.
- 2—3. Franklin, *Droga do majątku*.
4. Morgenbesser, *Zwycięstwo książki*.
5. Grillparzer, *Klasztor pod Sandom*.
6. Ibsen, *Upiory*.
7. Żółkowski, *Anegdoty i fraszki humor.*
- 8—9. Szekspir, *Romeo i Julia*.
10. Stinde, *Miś i Matus*.
11. Zahajkiewicz, *Powinszowania* wyd. 3.
12. Moliere, *Grzegorz Fafuła*.
13. Chodźko, *Obrazy litewskie*, tom I.
- 14—15. Cicero, *Mowy przeciw Katylinie*.
16. Maupassant, *Nowelle*, t. I.
17. Klonowicz, *Ziemia Czerwonej Rusi*.
- 18—19. Ibsen, *Wróg ludu*.
20. Cyvero, *Mowa za prawem Maniliusz*.
21. Wilkoński, *Ramoty i ramotki*, t. I.
22. Wilkoński, *Ramoty i ramotki*, t. II.
23. Wilkoński, *Ramoty i ramotki*, t. III.
- 24—27. Goethe, *Faust*.
28. Tennyson, *Enoch Arden*.
29. Wilkoński, *Ramoty i ramotki*, t. IV.
30. Wilkoński, *Ramoty i ramotki*, t. V.
31. Morawski, *Dworzec mego dziadka*.
32. Wilkoński, *Ramoty i ramotki*, t. VI.
- 33—34. Feldmann, *Jak w życiu*. Nowele.
- 35—38. M. M., *Czy mówisz po francusku?*
Praktyczny przewodnik do nauczenia się języka francuskiego.
- 39—42. M. M., *Czy mówisz po niemiecku?*
Praktyczny przewodnik do nauczenia się języka niemieckiego.
43. Chodźko, *Obrazy litewskie*, tom II.
- 44—45. Abrahamowicz i Zieliński, *Dobry Numer*. Komedya.
- 46—47. Pobratymiec, *Urzeczona*. Nowele.
- 48—49. St. Pierre, *Paweł i Wirginia*.
50. Cyvero, *Kato starszy*.
51. Cyvero, *Lelusz czyli o przyjaźni*.
- 52—53. Mantegazza, *Wiek nernowy*.
54. Kaczorowski, *Poradnik dla tańcząco*.
55. Krasieński, *Nieboska komedya*.
- 56—57. Körner, *Zriny*. Tragedya.
- 58—60. Hofmanowa, *Dziennik Franciszki Krasieńskiej*. Powieść.
- 61—62. Szumski, *Victoria!* Powieść.
63. Wirgiliusz, *Bukoliki*.
- 64—65. Swift, *Podróże Gullivera*, t. I.
66. Byron, *Więzień Czylonu*.
- 67—68. Swift, *Podróże Gullivera*, t. II.
- 69—70. Brodziński, *O klasycyzmie i romantyzmie*.
- 71—72. Grillparzer, *Matka rodu Dobrych bratysławskich*.
73. Syrokomla, *Urodzony Jan Dęba*.
- 74—75. Lessing, *Natan Mędrzec*.
- 76—77. Fredro, *Zemsta*.
78. Fredro, *Pan Geldhab*.
- 79—80. Fredro, *Słuby panienskie*.
- 81—82. Swift, *Podróże Gullivera*, t. III.
- 83—86. Rawita, *Błędne ogniki*. Powieść.
87. Halek, *Wieczorne pieśni*.
88. Cyvero, *Mowa za poetą Archimedesem*.
89. Zacharyasiewicz, *Nieboszczyk w potach*.
90. Krasieński, *Noc letnia*.
- 91—92. Fredro, *Damy i huzar*.
- 93—95. Krasieński, *Irydyon*.
- 96—98. Zipper, *Lutnia i mien*.
Szandora Petofiego.
- 99—100. Słowacki, *Balladyna*.
101. Korzeniowski, *Mnich*.
102. Korzeniowski, *Karpaccy Górnicy*.
- 103—104. Swift, *Podróże Gullivera*, t. IV.
- 105—106. Lermontow, *Księżniczka Marfa*.
107. Urbański, *Z za kulis i ze świata*, t. I.
- 108—111. Korzeniowski, *Kollokacya*.
112. Romanowski, *Dziewczę z Sacza*.
113. Korzeniowski, *Pierwej mama*.
114. Malczewski, *Marya*.
- 115—116. Walewski, *Hulaj dusza!*
- 117—120. Korzeniowski, *Spekulant*.
121. Goethe, *Ifigenia w Taurydzie*.
122. Urbański, *Z za kulis i ze świata*, t. II.
- 123—128. Niedola, *Nibelungów*.
- 129—131. Rawita, *Bohaterowie życia*.
132. Gresset, *Vert-Vert* czyli *Sędziwa klasztornego chowania*.
- 133—134. Korzeniowski, *Zydzki Kocz*.
- 135—136. Kryczyński, *Zamek w horcach*, z 3 ilustr.
- 137—138. Cyvero, *Mowa za S. Rosszem z Ameryki*.
- 139—140. Fredro, *Pan Jowialski*.

3891.

FR. RAWITA.

—•1891•—

BŁĘDNE OGNIKI.

Powieść współczesna.



[1894]

ZŁOCZÓW.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.



106147

I.

M dawnem województwie Braclawskim, na kresach ukraiennych, znana była wielka kollokacyjna wieś, Mokosieje, należąca do żołnierskiej awanturniczej rodziny Wołczków. Czas wiele zmienił: województwo Braclawskie rozparcelowało się na gubernie, kresy ukraiennne zatarły się i znikły, pozostała tylko wieś Mokosieje i dogorywała w niej rodzina Wołczków. Rodziny, tak samo, jak państwa, powstają i rozrastają się nagle, mnożą się, potężnieją i, marniejąc powoli, zacierają się i giną zupełnie, jak gdyby dla nich tylko pewna chwila dziejowa stanowiła najwłaściwszą atmosferę do życia. Po za tą chwilą, albo w rodzinie nie rodzą się bohaterowie, albo rodzą się i karłowacieją, bo życie wymaga już innych warunków, innego bohaterstwa; ludzie rosną jakby pod korcem: brak im powietrza i miejsca; nie mogą przebić sztucznego sklepienia nad swojemi głowami — mimowolnie więc karłowacieją i giną przedwcześnie z braku miejsca do potrzebnego ruchu, powietrza i światła. To samo działo się z Wołczkami: za czasów rzeczypospolitej szwędali się po całej

Ukrainie, junaczyli, rodzili się, potężnieli; każdy niemal męski potomek ginął od szabli lub od kuli, nie brakło jednak Wołczków ani w Moko-siejach, ani na Ukrainie, ale—brak ich dziś, chociaż żaden bisurman od stu lat nie dotknął się krzywą szablą żadnego Wołczka, a żaden Krzywonos lub Gonta nie mordował i nie topił im dzieci.

Mimo to, do dziś pozostały Mokosieje, i Wołczkowie w nich żyli, tylko z Mokosiejów ludzie zrobili Makosieje, a Wołczkowie dogorywali na kilkudziesięciomorgowej sadybie w ubóstwie, kończąc swój żywot długowiekowy na kądzieli. Wszystko się zmieniło wokoło, i wieś dawnych rycerskich potomków, jakby na śmiech, nazywano Makosiejami, bo zubożali, zdrobniali właściciele niegdyś obszernej włości, od pół wieku siewali mak dla odbytu do małych okolicznych miasteczek, a chodaczkowi dziedzice już tylko z gruba pamiętali tradycje rodowe. Przed dwudziestu kilku laty żył jeszcze ostatni z Wołczków, Jacenty, z dwoma synami już pod wąsem; ale widać sprzykrzyło się im siać mak a może i dawna krew niespokojnych bojowników kresowych odezwała się w nich, dość, że skorzystali z pierwszej ruchawki, naostrzyli pordezwiąte karabele, zabrali garłacze, i wszyscy trzej poszli sobie w świat, gdzie oczy i myśli poniosły. Swist kul, zgrzyt szabel, były dla nich warte snadź tyle, co dobra muzyka,

a zapach prochu — co zapach najpiękniejszych kwiatów, bo poszli i utonęli w zawierusze. Nie wrócili już. Na sadybie w Makosiejach pozostała Wołczkowa, żona Jacentego, i dziecina przy piersi, Helka. Kiedy Jacenty na ruchawkę wychodził, Wołczkowa już była przy nadziei, a dziewczynka urodziła się w kilka miesięcy po wyjeździe ojca i braci; los zrządził, że ani Wołczkowa męża i synów, ani Helka ojca i braci nie oglądały już nigdy.

Wołczkowa nasłuchiwała w sąsiedztwie, co mówią o wojnie, czekała swoich z powrotem, ale wojna minęła, a ona swoich się nie doczekała. Pan Jacenty, chociaż w ciągu półtora roku zmierzzył wzdłuż i wszerz spory kawał świata własnymi stopami, snadź o domu i maleństwie, które się miało urodzić, nieraz myślał. Dał tego dowody.

Kiedys w jesieni, już po wojnie, wieczorną godziną zawitał do dworku gość jakiś nieznamy, człowiek już nie młody, ale poważny i dobrych oczu. Znalazłszy się sam na sam z Wołczkową w pokoju, z pewnym szacunkiem i czcią w rękę ją pocałował.

— Wszakże mam przyjemność panią Wołczkową, żonę Jacentego Wołczka, widzieć?

— Tak jest...—odpowiedziała spokojnie, chociaż serce jej przyczynę tych odwiedzin odgadło.

— Mąż szanownej pani zginął... synowie także... Panie świeć nad ich duszą...

Wołczkowa płakać zaczęła.

— Nie płacz pani... Rycerską śmiercią zginęli... — ciągnął nieznajomy — a świętej pamięci Jacenty obligował mię, abym dom jego odwiedził i wieść smutną zaniósł.

Potem koniec zgonu opowiedział.

— Mówił mi — ciągnął — że spodziewał się pomocy... marzył o synu... i kazał mi oddać pani swoją poszczerbioną karabelę, jako pamiątkę dla syna.

Wołczkowa, niospokojna trochę, odrzekła:

— Nie dał Bóg syna...

Nieznajomy zrezygnowany ruch głową zrobił.

— Boża wola... Pokaż-że mi pani córkę... Jacenty kazał mi karabelę do rąk dziecka oddać... muszę jego wolę spełnić.

Wołczkowa wyszła, a po chwili wróciła, prowadząc za rączkę dwuletnią prawie dziewczynkę, Helkę. Nieznajomy karabelę dziecku oddał.

— Niechaj rośnie, potem niechaj karabelę tę odda mężowi, lub synom... — rzekł.

Tegoż jeszcze wieczoru wsiadł do jednokonnej kałamaszki, która przed gankiem Wołczkowej domu czekała, i odjechał, nazwiska nawet swego nie powiedziawszy. W ten sposób Wołczkowa dowiedziała się, że męża i synów już nie ma, a Helka, ostatnia dziedziczka kresowych burłaków, w spuściźnie po ostatnim miecz dostała.

Wielka niegdyś posiadłość Wołczków szczy-

plała coraz bardziej, aż nareszcie po śp. Jacentym pozostała tylko sadyba w Makosiejach i kilkadziesiąt morgów pola — po kilkanaście w każdą zmianę kollokacyjną. Z tego trzeba było żyć i dziewczynę trochę okrzesać. Wołczkowa po wielkiej stracie nie opuściła rąk w rozpacz, ale zabrała się do pracy z całą energią kobiety, pozostawionej samej sobie. Mąż założył przy domu kilkomorgowy sad, który rozrastał się co rok i co rok większy dochód dawał; w polu dawnym trybem siewała mak rokrocznie i z tego czerpała wszystkie zasoby do życia, skupiając całą swoją energią i uwagę na jedynem pozostałym dziecku, Helce, która kształciła się na pensyi w Winnicy. Był to ze strony Wołczkowej wysiłek nadmierny, ale czuła się obowiązana do niego. — Młodym ludziom nauka potrzebniejsza, niż nam; niechaj się uczy, może w niej znajdzie szczęście — tak myślała sobie matka. W duszy głęboko miała jeszcze inne myśli, ze starą karabelą ojcowską związane; — może przecie spełni się — marzyła — życzenie Jacentego i karabela do wnuków przejdzie...

Trwała ta nauka lat pięć, czy sześć, przykrzyło się starej matce na samotnej sadybie w Makosiejach, i doczekiwała się nareszcie ostatnich wakacyi, kiedy Helka z Winnicy pod ojcowską strzechę miała powrócić. Wróciła dojrzałą i piękną dziewczyną, a sadyba Wołczków zawarła nowem, świeżem życiem. Matka przy-

sposobiła się na przyjęcie córki, jak na święta: wybrała najpiękniejszy pokój w domu, okno ozdobiła muślinowemi firankami, przed oknem kwiatowy ogródek kazała uporządkować, ścieżki pogracać, żółtym piaskiem wysypać, klomby malw, nasturcyi i georginii wypleć z chwastów, jednym słowem, zrobiła więcej może, niż jej ubogie fundusze pozwalały. Ale nie żałowała nic. Byłaby, zdaje się, nieba przychyliła, aby tylko pobyt Helce w ojczyściej sadybie uprzyjemnić; na tę ostatnią gałązkę niegdys szeroko rozrosłego rodu przelewała stara matka całą swoją miłość, którą dawniej dzieliła między męża i synów.

Był to już koniec czerwca, kilka dni tylko brakło do Piotra i Pawła. Helka pisała wprawdzie do matki i dzień przyjazdu naznaczyła, ale nie przyjechała. Od dworku Wołczków do stacyi kolei było niedaleko—może sześć, siedm wiorst tylko; Jacentowa dwa razy na dzień kazała konięta zaprzęgać i do stacyi jechać, ale kałamazka wracała bez Helki. Zaniepokoiło to matkę: chodziła zamyślona, niespokojna, nie mogła do żadnej roboty wziąć się. Domyślała się wprawdzie, że Helka z przyjaciółką swoją, Justysią Kaleńską, pojechać musiała i na parę dni zatrzymano ją w Rajkach, majątności Kaleńskich; ale domysł nie mógł uspokoić matczynego serca. Regularnie dwa razy na dzień—rano i w wieczór—siadywała na ławeczce w odkrytym ganeczku i patrzyła

w kierunku linii kolejowej. Dworek Wołczków leżał na wzgórzu, z ganeczka był więc widok daleki i rozległy. Stokami wzgórza na prawo i na lewo, jakoteż w dolinie, chowały się chaty i dworki Makosiejów, ledwie-ledwie z poza zieleni ogrodów i sadów przebłyskując białymi ścianami; dalej poza nią ciągnęły się niezżęte jeszcze łany pszenicy i żyta, falujące przy wietrze wieczornym, a poza łanami zbóż wyginało się półkole lasów, od których odbijał się co chwila świst lokomotywy; na szczytach ich rozplywały się bure dymy i białe kłęby pary, przemykającego się po pod lasem pociągu.

Nazajutrz było Piotra i Pawła; po ostatnim wieczornym pociągu kałamaszka wróciła bez Helki, a Wołczkowa nie wstawiała z ławeczki. Parobek, który wszystkie posługi w domu pełnił i po Helkę dwa razy na dzień jeździł, niecierpliwił się trochę daremną jazdą.

— Poco-to, proszę pani, konie daremnie pędzać? Panienka *musić* do Rajek pojechali... Czy to pierwszy raz?...

— A jak nie?...

— Jak nie, to i piechotą przyjść niedaleko... Alboż-to lasek Hryhorowiczów daleko?

Ręką pokazał na las, od którego echo odbijało przeciągłe świsty parowozu.

— Z lasku w dolinę zejść i Makosieje zaraz...

— rzekł.

Wołczkowa słuchała cierpliwie.

— Bo to, proszę pani, ta jazda źle się skończy... Koniska tylko sieczkę i grys jedzą, a po Piotrze, na Wysidalce trzeba pod oziminę orać i siać... Teraz z sił wybiją się, a jak przyjdzie robić, to skóra i kości nie pociągną ani pługą, ani brony.

Już była godzina dziewiąta, a może i więcej, bo jak długie i szerokie Makosieje, wszyscy spali, a przynajmniej wszelki ruch roboczy ustał; gdzieś niegdzie tylko pomiędzy sady błysnęło światelko, psy poszczekiwały krótko, leniwie, jakby do siebie jeszcze nie wróciły po całodziennej spiekocie, a od pola, od zbóż i łąk chórem grały derkacze i zwoływały się przepiórki. Wołczkowa, w ciszę wieczorną zasłuchana, zdawało się, nie zwracała uwagi na żale i skargi parobka. Po chwili podniosła głowę i słuchać zaczęła.

— Ktoś jedzie... jakieś turkotanie na drodze... — rzekła, nasłuchując.

— Kto tam jedzie!... Woda na łątokach w młynku Mokryjewiczów pędzi...

Wołczkowa na tę uwagę nie odpowiedziała.

— Ruszaj-że z Panem Bogiem spać, a jutro rano po panienkę znowu pojedziesz... Konięta odpoczną potem...

— Pewnie, odpoczną! A jak Pan Bóg da niedzielę, to znowu do kościoła... kiedyż odpoczną?

— Zobaczymy... może do kościoła nie pojedę.

Turkotanie kół stawało się coraz wyrazist-
szem i bliższem. Parobek nie odchodził a słuchał.

— Prawda... ktoś jedzie... — zauważył.

— A jedzie.

Patrzyli oboje na drogę.

— Panuńcia *tyboń*...

Wołczkowa, uradowana, rzekła:

— Biegnij-że bramę otworzyć... a prędzej!...

Bryczka zatrzymała się przed bramą, ktoś z niej zeskoczył, nie czekając, aż mu otworzą, i przez furtkę przeszedł. Była to Helka.

Wołczkowa, uradowana i szczęśliwa przyby-
ciem córki, napięścić się nie mogła dosyć jedy-
naczki, i co chwila spoglądała z macierzyńską
lubością na słuszną, wiotką, kształtną jasnowłosą
dziewczynę.

— Od trzech dni już czekam ciebie. Fed'kowi
sprzykrzyło się jeździć do dworca.

— Justysia mię zatrzymała...

— Trzebaż było zawiadomić mnie, moje dzie-
cko, choćby dla spokoju...

Widocznie przykro było matce, że Helka
śpieszyła więcej do Justysi, niż do domu... Helka
odgadła to uczucie.

— Moja droga mamó, gwałtem mnie zabra-
ła... nie mogłam się oprzeć...

Nazajutrz rozpoczęły się prawdziwe wiejskie
wakacje: kąpiele w rzece, odwiedziny w chatach
wiejskich przyjaciółek dziecinnego wieku, space-

ry, czytania, marzenia, przeplatane zajęciem gospodarskiem w domu. Czynny, energiczny umysł dziewczyny interesował się wszystkim, co ją otaczało: bytem ludu, wśród którego żyła, jakoteż wszelkimi objawami społecznego życia, które odbijało się w nauce, literaturze, sztuce. Przyjaźń z Justysią otwierała jej szeroko wrota do poznawania tego życia, gdyż w domu jej rodziców znajdowała wszystko, co przed ubogą dziewczyną z pod sadybnej strzechy zamkniętem było: pisma, miesięczniki, książki najwybitniejszych autorów własnej i cudzoziemskiej literatury. Świeży i młody umysł dziewczyny, wyzwolony z wąskich karbów szkoły, karmił się i poił nowem, nieznanem sobie jeszcze pożywieniem, w którym rozłakomiała się do namiętności. Koleżeństwo szkolne, równa żywość, równe upodobania zbliżały do siebie Helkę i Justysię, a kilkowieśniowa odległość Rajek od Makosiejów na takie zbliżenie się w zupełności pozwalała. Obie młode entuzjastki nie zadawałniały się tą odrobiną nauki, którą ich na małej pensyi w Winnicy wyposażono, ale roiły sobie plany szersze i dalsze.

Mimo to wszystko, Helka siedziała w domu, w starej pradziadowskiej sadybie, i starała się, o ile mogła, pomagać matce w domowych, codziennych kłopotach drobnego gospodarstwa; zdawało się nawet, że w prostej, chłopskiej robocie znajdowała jakąś przyjemność, jakąś rozkosz,

której oddawała się z namietnością młodego wieku. Do świtu wstawiała razem z matką, doiła krowy, cedziła mleko, do cedziłki sama zbierała po rowach rosnące świętojańskie ziele, sama wyparzała niem hładysze, i wyszorowawszy, rozwieszała na płocie. Po ukończeniu rannych zajęć koło nabiału, zakasawszy rękawy, zawiązywała kuchenny fartuszek, brała koszyk, nóż, łopatkę i szła do ogrodu nakopać kartofli, nazbierać fasoli i innych potrzebnych jarzyn do obiadu, lub wdrapywała się na gałęzie wiśni lub czereśni i zbierała jagody na pierogi. Póki w polu żęto odrobinę zboża, pomagała żeńcom, układała razem z innymi robotnicami półkopki, na wóz podawała snopy Fedkowi, jednym słowem, pracowała wszędzie z chęcią i swobodą, nie lękając się żadnej roboty. Popołudnie, czasem wieczory, spędzała wspólnie z Justysią, lub czytała. Wołczkowa obserwowała córkę z daleka, wdrażała ją pomaleńku do tych drobnych, jednostajnych, codziennych zajęć, przy których sama całe pracowite życie swoje spędziła, i cieszyła się, że Helka nie tylko nie zraza się do tego trybu, jaki ją czeka na małoszlacheckiej sadybie, ale że mu się oddaje z zamiłowaniem i szczerością.

Spokojnie przeminęło lato, nastały pierwsze sierpniowe dni jesienne, a życie na Wołczkowej sadybie w Makosiejach płynęło zawsze równem, jednakowem, spokojnem korytem: zawsze ta sama

praca w domu, zawsze jednakowy stosunek z Rajkami i Justysią. Pewnego wieczoru Helka wróciła z Rajek jakaś rozgorączkowana, zamysłona, skoncentrowana w sobie; Wołczkowa udała, że zmiany tej w córce nie spostrzegła i pozwoliła jej z całą swobodą zachowywać się. Widocznem było, że jakaś myśl nowa zakradła się do młodej głowy i zaabsorbowała dziewczynę; wizyty do Rajek stawały się coraz częstszymi i dłuższymi, a nieraz młode entuzjastki zabierały się z książką na całodzienną wycieczkę do lasu, w pole, i późnym wieczorem powracały dopiero.

Przed samym siewem oziminy wypadł dwudniowy deszcz i Helkę w domu zatrzymał. Matka z córką siedziały na ganeczku; stara Wołczkowa robiła pończochę; zapatrzona w ruch drutów, liczyła oczka półgłosem i zdawało się, że po za tą robotą nic więcej nie widziała. Helka siedziała z książką, ale nie czytała; książka, odwrócona okładką do góry, leżała na ławeczce, a zamysłone spojrzenie dziewczyny zapatrzone było w drobne linijki spadającego deszczu. Od czasu do czasu Wołczkowa odrywała oczy od drutów, i, nie przestając liczyć oczka, z poza okularów spoglądała w milczeniu na zamyloną Helkę i znowu spuszczała wzrok do drutów i oczek.

— Wie mama, Justysia będzie dalej kontynuować nauki... pojedzie na uniwersytet do Paryża.

Wołczkowa powoli podniosła oczy, z poza okularów spojrzała na Helkę i rzekła spokojnie:

— Ha, Justysia bogata... ma za co...

Dziewczyna nie zmieniła swojej pozycyi, tylko wydała przytłumione westchnienie.

— O, tak!... bogata...—powtórzyła za matką—ale czyż dla biednych ma już być cały świat zamknięty?

Wołczkowa pończochę na kolanach położyła.

— Cały świat?... Jaki świat? moje dziecko... Cały świat jest w domu...

— Moja mamó! Czyż poza domem nie ma już żadnych pragnień, obowiązków? Czy już tak zasklepić się, jak pajak w sieci, i czekać tylko na pożywienie, które mu spadnie?

Uwaga ta wydała się Wołczkowej niezwykłą; zdjęła przeto okulary, obok pończochy powoli położyła i na córce spokojne spojrzenie zatrzymała.

— Najprzód, moje dziecko, pożywienie, bo trzeba żyć; potem, na pożywienie i pajak pracować musi, bo sieć sam z siebie wysnuwa.

— A obowiązki?

— Jakie?

— Względem społeczności, narodu?...

Wołczkowa nieznaczny ruch głową zrobiła.

— A z czegoż się składa społeczność, naród?

— Z rodzin.

— Otóż widzisz, moje dziecko, i obowiązki stąd powinny się zacząć. Twoja matka nie skoń-

czyła żadnej pensyi, w domu nauczono ją czytać, pisać, modlić się, pracować; z tem doczekałam starości, a dziś, kiedy rozważam moje życie, zdaje mi się, żem spełniła wszystkie obowiązki uczciwie: nie żałowałam męża ani synów, ciebie kazałam uczyć, jak mię stać było, a synowie i ty wychowaliście się na ludzi uczciwych. Widzisz więc, że się obyło bez wielkiej nauki...

Helka westchnęła i nic matce nie odpowiedziała. Wołczkowej rozmowa z córką odkryła tajemnicę zamyślenia się dziewczyny; widocznem było, że nowa droga, na jaką wstąpić miała Justysia, budziła w niej jakieś pragnienia, chęci, napełniała głowę nieznanem dotychczas marzeniem. Poczła się cząstką jakiejś wielkiej całości, rysującej się w jej pojęciu w tytanicznych kształtach, całości, która nazywa się ludzkością, światem, nauką, i ęci ku sobie jasnemi konturami, olbrzymiejacemi na dalekiem, pół-fantastycznym tle własnych myśli i żądań. Ku tym pół-wyraźnym kształtom rozszerzały się jej ramiona, biegly myśli, a złudzenie, jakby umyślnie, odsuwało się coraz dalej i dalej od rzeczywistości, i stawało nareszcie w niedościgłym oddaleniu, nie przestając wabić myśli i wzroku ku sobie. Wołczkowa czuła, że rozmowa jej z córką nie zakończyła się, że Helka nie wypowiedziała wszystkiego, i tego właśnie niewiadomego obawiała się najwięcej. Kiedy rozmowa przerwała

się, Wołczkowa wzięła pomaleńku okulary, systematycznie nałożyła, umocowała i zabrała się znowu do roboty pończochy, spoglądając co chwila na rozsuwające się chmury i wychylające się z poza nich szafirowe płyty niebios.

— Będzie pogoda — zauważyła — tem lepiej, bo Fed'ko posieje pszenicę; a kogoś trzeba będzie donająć, aby choć kopę żyta omłócić... trzeba wysuszyć i do młyna posłać... bo zdaje się, że już w sypaczce mąki niewiele...

Helka nie odpowiadała.

— Ty chodziłaś dziś rano do spiżarni — ciągnęła matka, na córkę z poza okularów patrząc — dużo tam w sypaczce zostało?

— W sypaczce? Co, mammo?

— Czy dużo mąki zostało, pytam...

— Mąki? Jeszcze na jedno pieczywo będzie...

Wołczkowa udała, że nie dostrzega roztarzgnięcia Helki; spuściła oczy na druty i pończochę. Po długiej chwili milczenia Helka westchnęła.

— Ach, czemu my nie bogaci, mammo! — z jakimś głęboko utajonym żalem rzekła, niby sama do siebie.

Matka, nie podnosząc oczu od pończochy, odrzekła obojętnie i spokojnie:

— Et, do czego bo się takie pragnienia zdały! Największa mądrość: umieć pogodzić się z tem, co jest.

— Źle powiedziałam, mamó... ja nie myślę o bogactwie, ale o dostatku, który potrzebny jest nie na to, ażeby żyć wygodniej, ale na to, ażeby do jakiegoś dobrego i pożytecznego celu dojść prędzej.

— Wielkim okrętom trzeba, moje dziecko, wielkiego morza — odrzekła Wołczkowa uspakajająco.—Ludzie dzielą się pracą: wielcy myślą o wielkich rzeczach, mali — o małych; my przykuci jesteśmy do roli i nie wolno nam dla własnej przyjemności odrywać się od niej, tak, jak nie wolno młodemu pisklęciu wychylać się z gniazda, bo spadnie, zabije się, lub skaleczyje i do gniazda już nigdy nie wróci.

— Moja mamó! To zupełnie co innego... i ja-bym tak pragnęła z mojego starego gniazda gdzieś daleko, daleko polecieć, a potem wrócić do niego silniejszą, zdrowszą, rozumniejszą, pożyteczniejszą...

— Wrócić, albo... zmarnować się — odrzekła matka.

Helka pocałowała matkę w rękę.

— Moja droga mamó, jestem ci bardzo wdzięczną, żeś mię uczyć kazała; ale uczyć kogoś, to wszystko jedno, co ślepemu zdjąć kataraktę: widzi, gdzie idzie i dokąd, idzie tam, gdzie chce i może... Nic dziwnego, że gniazdo staje się wtedy ciasnem, że człowiek i ptak wylatują z niego... Nauka jest to kielich haszyszu:

dla tego, kto go nigdy nie pił, nie ma żadnej ponęty, ale kto go raz spróbował, ten musi pić aż do końca, chociaż nieraz wie dobrze, że pije tylko odurzający napój i truciznę.

— A jednak, moje dziecko, to gniazdo w którym tobie ciasno, przez kilkanaście pokoleń chowało pożytecznych ludzi; tu porodzili się twój ojciec i bracia, którzy także przydali się na coś...

— Czyż ja napieram się swego kąta? Ja tylko żałuję, że nie mogę wrócić do niego taką, jaką-bym pragnęła...

— Ty się na Justysię nie zapatruj...

— Ach, nie, mamó! ja tylko jej zazdroszczę... Gdybym mogła uczyć się jeszcze... To, co umiem, jest tylko maleńką szparką, przez którą nowy, nieznany świat widzę... a gdzieś daleko jakieś wpół-wyraźne obrazy, jakieś wielkie mrowisko ludzi, żywo poruszające się; słyszę jakieś nawoływania, ku mnie skierowane: chodź prędzej! chodź prędzej!..

Żądania Helki łatwo dały się odgadnąć, ale Wołczkowa odsuwała je raczej, niż zwalczała.

— Widzisz, mamó, skończyłam pensją i cóż stąd? Jestem ci użyteczną o tyle tylko, o ile siła moja zdać się na co może... Choćbym sto lat siedziała w domu, nie potrafię ci być inaczej pożyteczną, jak jestem, a sobie?... Ja mam także prawa do życia...

Wołczkowa nie mogła dobrze zrozumieć, o co

chodzi Helce; zdawało się jej, że dziewczyna rwie się z domu w obce kraje, aby tam szukać pracy dla siebie.

— Któż ci pracować przeszkadza? Pracuj razem ze mną; na tej sadybie pracowali twój pradziad, dziad, ojciec; w każdym kącie pełno po nich pamiątek; czyż tobie te ściany za ciasne?

Helka rozmarzonym okiem wpatrywała się w rozjaśniające się po deszczu niebo, w tęczę, schylającą się wielkim łukiem po nad lasem za Makosiejami.

— Znam ja większą sadybę — rzekła roz-targniona.

Wołczkowa wpatrzyła się w zaabsorbowaną marzeniem dziewczynę, której oczy błękitne połyskiwały ogniem wewnętrznym.

— Jaką? Gdzie? — pytała tonem zdziwienia.

Helka podniosła się żywo z ławeczki, ku matce się zbliżyła i w rękę ją pocałowała.

— Moja sadyba — rzekła — nazywa się świat cały... ludzkość... i woła mnie do pracy.

Matka nie odpowiedziała na to, jakby nie słyszała wcale tego, co mówiła Helka, tylko rękę swoją do jej głowy przyłożyła.

— Głowa cię nie pali? — rzekła spokojnie. Potem dodała: — Już trochę przeszło; weź klucze, moje dziecko, i pójdz, kaź przygotować pojło dla Mazuchy... ona ocieliła się niedawno... trzeba je-

szcze jaki tydzień doglądać, bo na ugorach nie napasa się dosyć.

Pod wieczór wypogodziło się zupełnie, rozsunały się chmury i niewiedzieć gdzie znikły, powietrze oczyściło się i odświeżyło, i słyhać było tylko ode wsi jakieś głosy mieszane bydła i ludzi, w jeden niewyraźny szum zlane. Po odejściu Helki, Wołczkowa nie ruszyła się z ławeczki, ale zwinęła pończochę, włożywszy do środka kłębek bawełny, przetknęła to wszystko drutem, aby się razem trzymało, okulary na koniec nosa nasunęła i zamyśliła się.

— Rwie się... rwie, jak ptak... Bóg wie poco, Bóg wie czego?... Coś miga przed nią daleko, jak światełko — i radaby już tam lecieć co rychlej... Odezwał się duch niespokojny Wołczków: to samuteńko było z dziadem i ojcem, z braćmi, na innej tylko drodze, bo czasy były inne. Albo pradziad, Hryhor, nie pędzał światami? gdzie Multany, gdzie Siedmiogród — wszędzie go było pełno; wodził się za bary z Chmielnickim, z Turkami, aż dopóki na galerze muzulmańskiej nie skończył; dziad nie latałże za Napoleonem po całym świecie? Dolatał się tyle tylko, że z pod Ostrołęki przyczołgał się do domu i na cmentarzu na swojej ziemi spoczął... A ojciec? Tego ciała nawet gdzieś kruki rozniosły... A Jędryk? A Samuś? Wszyscy poginęli... a rwali się nie-

bożęta do świata, do ludzi; zdawało się im, że tam szczęście znajdują, a znaleźli...

Wspomnienie to drogich i bliskich osób wzruszyło staruszkę; zamyśliła się; ręce, złożone na krzyż, na kolanach położyła, i wygasłe, spłowiałe, niegdyś błękitne jej oczy zaszklily się łzami. Widać, że łzy te spoczywały gdzieś głęboko i przywalone były tylu ciężkimi pamiątkami, że się na zewnątrz wydostać nie mogły; błyszczały tylko w oczach i paliły je. Wołczkowa podniosła powoli rękę do oczu i potarła je, jakby w ten sposób ulgę jaką wywołać chciała.

— I ty za nimi podążasz... inną drogą tylko; tobie, jak i im, ciasno i ciemno w ojcowskiej sadybie; ciebie, jak i ich, jakaś wewnętrzna siła popycha do czegoś niewiomego; oni rwali się na oślep do szabli, a ty, jak wróbel z pod strzechy, lecisz do zapalanej gdzieś daleko latarni... Ha! nie moja to wina, ani twoja, ale krwi... Gdybyś sto lat temu była się urodziła, możebyś razem z nimi na konia siadła, włóczyła się po stepach, rąbała z hajdamakami; dziś rwiesz się w inną stronę. Wtedy wiał duch inny, dziś inny, a w naszym rodzie szli wszyscy w tę stronę, gdzie największy wiatr pędził...

Wołczkowa starała się sobie wytłómaczyć to nagłe, namiętne przywiązanie się dziewczyny do nowej myśli, rzucenie się na oślep prawie — i znalazła to tłómaczenie w krwi rodowej.

— Inni — myślała sobie dalej — zdobywają naukę cicho, spokojnie, skupiając siły; tobie śnią się miasta dalekie, mającą jakieś potęgi, jakieś cele wielkie niby, do których dochodzi bez huku i szumu codziennie najpospolitszy robotnik, bo te cele, takie połyskujące z daleka, dadzą się sprowadzić do zwyczajnych obowiązków. Siła i krew grają w tobie, powiększają i zdołają zwyczajne obrazy, i łudzą, łudzą, dopóki jest młodość i siła... Tak wszyscy oni, drodzy moi, serdeczni, pędzili się tylko za widmem wielkości, szukali obowiązków wysoko, a siłę marnowali niepożytecznie... Ty należysz do Wołczków, ja — tylko do ich imienia; ty lecisz myślą tam, gdzie oni latali...

Parę dni upłynęło od czasu ostatniej rozmowy. Wołczkowa nie potrącała rozpoczętej materii z rozmysłem, mając nadzieję, że może przecie wszystko na marzeniu się skończy; nie zanosilo się jednak na to. Helka zajęła się domowem gospodarstwem z jakąś gorączką niby, jakby pragnęła sama w sobie przygnieść pracą budzące się chęci do dalszej nauki, a — co bardziej, do szukania tej nauki daleko; ale, że walczyła ze sobą, było to nadto widocznem: dawna wesołość, ochoczość, znikły zupełnie, a na ich miejsce wystąpiło na twarzy jakieś zamyślenie, jakieś ślady walki wewnętrznej. Od czasu tej rozmowy do Rajek nie jeździła.

Rozpoczęły się kosowica, kopanie ogrodów,

orka, siew oziminy—jednem słowem, jesienne roboty. Oczywiście i Wołczkowa musiała nadążać z robotami swego małego gospodarstwa. Zbliżała się orka ziembli, a żyto i pszenica jeszcze w półkopakach w polu stały, a tymczasem robotnika dostać trudno. Fed'ko wszystkie te kłopoty wykladał po kolei to Wołczkowej, to panience; znajdował uznanie, ale nie znajdował poparcia.

— Spóźnimy się... zobaczy panuńcia!—mówił, skrobiąc z tyłu głowę—a potem ludzie będą mówić, że Fed'ko durny, a babskie gospodarstwo tyle warte, co zatykadło od komina... Ale poradź-że co, Fed'ku! Sam rabin berdyczowski nie poradzi... Wiesz, czego ci trzeba — a niema... z dwóch rąk nie można zrobić czterech... Dawniej robotnik był jakiś ochotniejszy! Wyjdiesz, bywało, na wieś, hukniesz tylko, a dziewczęta i chłopcy ze wszystkich chat lecą,— teraz... poobjadają się lemieszki i leżą do góry brzuchami... Cały dzień chodzisz po wsi, ani dudu!

— No, Fed'ku, jedzcie-no kolacyą... jakoś to się jutro poradzi na to...

— Ot, gada sobie panuńcia...

— Zobaczysz, że ci jutro znajdę kogoś do wideł...

Fed'ko miał właśnie zamiar stożek na toczysku układać i w tym celu już wszystko przysposobił.

— Bodaj tak! Ale... może kto na prośby pannoni prędzej pójdzie, niż na moje.

— Nie troszczcie się o to... i jutro, jak świt, ruszajcie po pszenicę... ja znajdę kogoś innego do wideł.

Nazajutrz rano wstał Fed'ko, konięta zaprzął, pojechał; oglądał się, czy kto do dworu nie idzie — tak nazywał dworek Wołczkowej — ale nie widział nikogo. O to, kto mu w polu snopy podawać będzie, nie troszczył się; tam on pomagał, i jemu pomagano; ale w domu jak radzić? Wierzył jednak obiecankom panienki. Już słońce wschodziło, kiedy na tok wjeżdżał; podniósł głowę, spojrzął — na toku nie było nikogo.

— Ot tobie masz! Róbże co, kiedyś mądry!

Wtem z daleka od dworku ukazała się Helka. Dostrzegła siedzącego na wozie, naładowanym snopami pszenicy, Fed'ka.

— No, Fed'ku, a stawajcie do stożka...

— Ehe! — rzekł z pewną ironią — a do wideł?

— Nikt nie przyszedł?

— Nie tak-to...

Fed'ko położył się na snopach brzuchem i już nogi spuszczał, ażeby się zesunąć na ziemię, kiedy Helka poskoczyła szybko do wozu i, wetknięte w snopy widły wyciągnąwszy, oparła się o nie i czekała przysposobiona. Fed'ko, zsunąwszy się po snopach, skoczył na ziemię, stanął i oglądał

się za Helką. Nagle spostrzegł ją, za wozem stojącą i rozwiązującą *rubel*, którym snopy przy-mocowane były, i nieruchome, zdziwione spojrze-nie zatrzymał na niej.

— A toż co?

— Rozwiążę *rubel* i wleżę na furę...

— Co?... panuncia?...

— Albo co? Nie potrafię snopów podawać? Obaczycie, Fed'ku: tak będę podawać, że aż hej!

— Panuńciu kochana, nie godzi się... dalibóg, nie godzi się... Czyż to panuńci ręce do chłopskiej roboty? Ja na to nie pozwolę...

— No, no, Fed'ku, szkoda czasu... stawajcie do stożka... już *rubel* rozwiązany...

Stał Fed'ko przed furą niezdecydowany, a tym-czasem Helka, zbliżywszy się do koni, zrzuciła z nich naszelniki i szleje, wyprzęgła, a sama, stanąwszy na dyszlu, jak kot wdrapała się na furę, stanęła mocno na snopach, wyprostowała się.

— Fed'ku, a dajcie-no widły! — zawołała — i stawajcie do układania snopów, bo ja zrzucać zaczynam.

Fed'ko ręce rozwiódł, głową zrezygnowany ruch zrobił.

— Czy to kto słyszał i widział! — zawołał, idąc powoli do przygotowanego podstożyska i sta-nął pośrodku.

Ledwie stanął, posypały się ku niemu snopy z taką szybkością, że je ledwie miał czas ukła-

dać, ale układał, pomrukując. Robota trwała pół godziny może.

— Ot, i skończyło się — rzekła Helka, ostatni snop rzucając Fed'kowi.

— Na śmiech ludzki naraziła mię panienska... Powiedzą, żem niedołęga... do gospodarstwa niezdatny...

Z tego, co się stało, sprawy sobie zdać nie mógł i co chwila powtarzał:

— Czy to kto słyszał? Czy to kto widział?...

Helka zeskoczyła z wozu.

— Idźcie, Fed'ku, na obiad, a potem znowu w pole. Jak wrócicie, powiecie mi.

Cały dzień woził Fed'ko snopy, a Helka cały dzień pomagała mu układać do stożka. Póki stożek był w połowie, robota nie wydawała się trudną, bo ograniczała się tylko do zrzucania snopów; ale w miarę podnoszenia się stożka do góry, trzeba było snopy dźwigać coraz wyżej i wyżej; a były wielkie — było co dźwigać. Helka, zapalająca się z początku, każdą następną furę wyładowywała spokojniej, lepiej, powolniej, tak, że podziwienie w Fed'ku wzbudzała.

— Nu! nu! panuńcia tak robi, że i chłop lepiej nie potrafi... jakby się uczyła...

Było jeszcze może ze dwie godziny do zachodu słońca, a Fed'ko już wierzch stożka układał, ostatnią warstwę. Wiedział, co to znaczy podnosić snopy wysoko: układał więc pomału,

dłużej niż trzeba każdy snop naciskając, ażeby umyślnie dać więcej czasu Helce do odpoczynku. Dziewczyna nie spostrzegając może tego manewru Fed'ka, ale w duszy była zadowolona, ile razy Fed'ko dłużej, niż trzeba było, snop obracał, lokował, naciskał; odpoczywała wtedy. Zajęta robotą, nie oglądała się po-za siebie, nie domyślała się, co się dzieje we dworku — a do dworku przyjechała Justysia, zaniepokojona długą niebytnością w Rajkach przyjaciółki.

Wołczkowa siedziała na ganku i łuskała fasolę.

— A gdzież Helka? Co to się stało, że nie przyjeżdża do mnie już trzeci dzień?

Wołczkowa cieszyła się w cichości z tego, że Helka do Rajek nie jeździła: zdawało się jej, że prędzej wywietrzeją projekta, przywiezione stamtąd; ale nie dała odgadnąć tego po sobie.

— Trochę deszcz przeszkadzał, a trochę robotą... — odrzekła, nie przestając wydzielać ziarna z łupinek.

— W polu może? — pytała zaciekawiona Justysia.

— Nie... na toku, zdaje się...

Justysia zerwała się z ławeczki.

— Nie będę pani przeszkadzać... pójdę do niej.

Ledwie za dworek wyszła, rzucił się jej w oczy stożek pszenicy, na którego szczycie pochylony Fed'ko snopy układał. Szukała oczyma

Helki, która, stojąc ku niej bokiem na wozie, trzymała na widłach snop pszenicy, opierając je, dla ulżenia sobie, o krawędź stożka. Do snopa wyciągnął właśnie Fed'ko rękę, aby go ująć, gdy poza sobą wesoły śmiech posłyszeli. Odwrócili się oboje. Z za stożka pszenicy wychyliła się postać Justysi, śmiejącej się do rozpuku.

— A toż co znowu za gimnastyka?—wołała.

Na wozie, na snopach stała z widłami w rękę, rozpromieniona, zaanimowana robotą, Helka.

— Poczekaj chwilkę... jeszcze dziesięć snopów—i koniec.

— A toś zuch dziewczyna!

Helka podawała dalej snopy, nie przerywając roboty.

— Musiałam pomódz Fed'kowi... nigdzie żywej duszy do roboty znaleźć nie mógł...

Ze stożka odezwał się Fed'ko:

— Już kiedy panuńcia zaczęła, trzeba skończyć... Kto wie, może w nocy deszcz będzie... zamoczyłby nam stożek na nic, aż do dna, gdybyśmy nie skończyli...

— Nie bójcie się, Fed'ku... skończymy...

Przy wtórze wesołych śmiechów Justysi, Helka resztę snopów na stożek podała, przystawiła drabinę dla Fed'ka, a sama wzięła grabie i rozrzucone podstożyny zgrabiać poczęła. Fed'ko zlął ze stożka i z brylem w rękę zbliżył się

najprzód do Justysi, którą w rękę pocałował, potem do Helki i taki sam głośny pocałunek złożył.

— Dziękuję panuńci... Co tego, tom się *taki* nie spodziewał... Panuńcia to prawdziwa gospodyni... jak trzeba, to rękawy zakasze do roboty staje...

Złożywszy takie podziękowanie, wziął z rąk jej grabie.

— Niech już panienka idą do pokoju... z resztą ja i sam uporam się.

Podniósł głowę i spojrział na słońce.

— Oho! czasu jeszcze dosyć!

Dziewczęta wzięły się pod ręce i poszły, rozmawiając, ku dworkowi.

— Cóż, nie mówiłaś jeszcze z mamą? Mój wyjazd już jest stanowczo zdecydowany...

— Wyraźnie nie mówiłam... Wiesz, dla nas to nie taka łatwa rzecz.

— Odważ się raz przecie...

— Poczekaj, czas jeszcze.

— Chcesz? pomogę ci.

— Jak?

— Obaczysz....

Zbliżyły się do ganku, gdzie Wołczkowa nieprzerwanie zajęta była swoją robotą.

— I cóż?...—zdawało się, że do Helki pytanie zwróciła.

— Skończyliśmy, mamó... jutro już można pokryć... Niech tylko Fed'ko *powziń* przygotuje, a słomę ja mu wydám sama.

— Powiedz-że mu, moje dziecko, żeby po wsi za robotnikiem nie uganiał.

Dziewczęta poczęły pomagać łuskać fasolę.

— Jeszcze trochę, i koniec—rzekła Wołczkowa—i mogę was zaprosić na podśmietanie z kartoflami.

Zwróciła głowę ku Justysii.

— Ty do takich przysmaków nie przyzwyczajona... a my co innego.

— Ależ ja to lubię... lubię... bardzo lubię...—podchwyciła żywo Justysia.

Po chwili dodała:

— Podziwiałam Helkę... można jej powin-szować: rzuca snopy, jak parobek.

Wołczkowa uśmiechnęła się dobrodusznie, łagodnym, wyrozumiałym uśmiechem.

— Potrzeba, moje dziecko, to dobry profesor...—rzekła.

Łuszczenie się skończyło. Helka pozostała jeszcze na ganku, strzepała rozpierzchłe ziarna fasoli na płachcie, zawiązała ją na cztery końce, i do piekarni, która na lewo z sieni była, zaniosła, a Wołczkowa z Justysią, rozmawiając, poszła do bawialnego pokoju.

Już było szaro, kiedy do bawialnego pokoju weszły. Przez otwarte okna wciskała się świeżość wieczoru, a łagodny półcień obszerną izbę napełniał. Stół zastały nakryty.

— Potrzeba nietylko jest profesorem — cią-

gnęła dalej Justysia rozpoczętą rozmowę — ale i matką mądrości...

— O, tak, tak... potakiwała Wołczkowa.

— A ja tymczasem po mądrość myślę aż do Paryża jechać.

— Mówiła mi właśnie Helka...

— Cóż robić! Na winnickiej mądrości nie można poprzestać; kobiecie w terażniejszym wieku trzeba czegoś więcej, niż to abecadło nauki, którem nas karmią na pensyi.

Wniesiono mleko i kartofle, szczypiorkiem posypane, a ze służącą weszła Helka.

— Opowiadasz mamie o swoich projektach?

— Tak.

— Szczęśliwa jesteś!

Justysia zwróciła się ku Wołczkowej:

— A Helki pani nigdzie nie wysyła?

— Stara jestem, moje dziecko! już mi i oczy, i ręce nie służą; potrzebuję w domu wyręczyć się młodszem okiem, silniejszym ramieniem... Cóżbym ja bez Helki robiła? Czekałam na nią tyle lat w moim samotnym dworku, a teraz znowu się rozłączać? Wtenczas trochę młodszą byłam, silniejszą... dziś inaczej.

— Dwa, trzy lata, to nie tak wiele... a uniwersyteckie studia dają kobiecie jakieś prawa, stanowisko na świecie, na którym, pracując samodzielnie, więcej zdobędzie, niż na sadybie w Makosiejach.

Wołczkowa lekko głową pokiwała.

— Widzisz, moje dziecko, ludzie różne mają obowiązki, różne przyzwyczajenia... Jeżeli ci się to lepiej podoba... Ale my z sadybą w Mako-siejach rozstawać się nie możemy dobrowolnie, bo, uważasz, dla nas, cośmy wyrosli na roli, jest na tej sadybie także stanowisko...

— Dobrze mama mówi—zauważyła Helka— ale jak się powraca na to stanowisko z lepszą głową, to przecież szkodzić nie może nikomu, przeciwnie, jest pożądanem.

— Jeżeli ciebie moja samotność i starość przytrzymać nie zdołają, zgodziłabym się, że masz słusność; nie trzeba jednak zapominać, że chęci nasze trzeba godzić z kieszenią... Justysia może sobie na tę przyjemność pozwolić; dla nas byłaby ona niemożliwą... niemożliwą... moje drogie dziecko.

Wołczkowa tak nacisnęła na niemożliwość, że obie dziewczyny nie śmiały już więcej mówić o wyjeździe; dobroć jednak i łagodność starej Wołczkowej dźwięczała w jej słowach jakąś nutą dalekiej nadziei. Helka postanowiła wyczekać sposobnej pory, aby rozmowę w tym przedmiocie podjąć znowu, chociażby wypadło jej znów użyć do pomocy Justysi.

Tymczasem zmrok zapadł i Justysia odjechała do domu.

Helka rozkołysana na nowo rozmową o po-

trzebie nauki, o wyjeździe do Paryża, uspokoić się nie mogła. Dopilnowała po dawnemu wieczornego udoju krów, kazała w swojej obecności przysposobić pójło dla Mazuchy, nabiął zanieść do lochu, gdzie własnorecznie ustawiła hladysze na pułce przy ścianie i krążkami nakryła; ale robiła to bez dawnej wesołości i swobody, — widocznie pragnęła tylko wyręczyć matkę. Zaabsorbowana zawsze jedną myślą, chodziła i ruszała się, jak automat.

Po długim parnym dniu, od północy poczęły wychylać się chmury coraz większe, coraz czarniejsze i groźne, i w milczeniu obejmowały szerokimi skrzydłami coraz większe przestwory niebios. Pojedyncze ołowiane ich kłęby zwijały się w coraz większe i grubsze, piętrzyły się olbrzymiami górami, zwieszającemi się ponad sąsiednie lasy i pola, aż ku ziemi. W powietrzu była jakaś przygniatająca cisza burzy, którą jakby przeczuwała cała natura. Drzewa stały spokojnie, a liście ledwie dosłyszalnym szmerem niezrozumiałą mową coś szeptały do siebie; ptactwo wcześniej niż zwykle odleciało na nocleg, tylko kiedy niekiedy spóźniona wrona ocieężałym lotem, w milczeniu, jakby krakać nie śmiejąc, ku wsi leciała, lub z pola stado szpaków na spoczynek podążało.

Po wieczery, Helka z matką usiadły, jak zwykle, na ławeczkach w ganku; Wołczkowa

robiła pończochę, a Helka wiązała jakąś robótkę szydełkiem. Obie kobiety siedziały, ale ciągłej rozmowy nie prowadziły z sobą; przerzucały się tylko słowami, jakimś krótkim zapytaniem, i znowu schylały głowę, każda do swojej roboty. Każdą z nich zajmowała myśl własna: matka przemyślała nad sposobem odradzania córce wyjazdu, córce — potrzeba tego wyjazdu i dalszego kształcenia się stała przed oczyma, jako problemat życia.

Śród ciszy nocy słyhać było tylko lekki szmer drutów, spuszcających i nawiązujących oczka, przygluszonym, ledwie dosłyszalnym dźwiękiem uderzających się o siebie końców; w otoczeniu wiszących naokoło, jakby żelaznych chmur, ledwie można było dostrzedz jaśniejsze, niewyraźne kontury siedzących kobiet. Od czasu do czasu na dalekim horyzoncie ślizgały się ognistym zygziem milczące pioruny i w mglistem półświetle pokazywały dobrze znaną okolicę. Za każdym niemy błyskiem piorunu zwracały się ku niemu obie twarze zamyślonych niewiast; Wołczkowa, podnosząc głowę, wzdychała i żegnała się, a Helka, zdaje się, jeszcze niżej schylała czoło, jakby je w szydełkowej robocie ukryć pragnęła.

— Będzie burza... — rzekła Wołczkowa do siebie. — Dobrze się stało, że przynajmniej pszenicę złożyliście w stożek.

— Deszcz przemoczyłby półkopki do ziemi—
zauważyła Helka.

Znowu zapanowało milczenie.

Wtem drzwi od sieni skrzypnęły lekko, a po chwili cisza nastąpiła. Obie kobiety mimowolnie ku sieni się zwróciły, ale nie dostrzegły nikogo; zdało się im, że przeciąg wiatru drzwiami poruszył. Po pewnym czasie, szmer jakiś niewyraźny znowu ich doleciał.

— Kto tu? — spytała Wołczkowa — to ty, Fed'ku?

— Ja, proszę pani...

— A co tam? Czemu nie mówisz?

— Cóż mam przeszkadzać?... Panie milczą...
Na gadanie dosyć jeszcze mam czasu.

Wołczkowa pończochę na kolanach położyła.

— Dobrze, że będzie deszcz; przemoczy trochę ziemię...

— Z tego deszczu niewiele będzie pociechy — zauważył Fed'ko. — Koło północy nahuczy, naszumi, nabłyska, a jutro przygrzeje słońce i śladu po nim nie zostanie...

— Ziemię zawsze zmoczy...

— Pewnie... ale będzie tam tego tyle, co kot napłakał.

— A ty na jutro masz jaką robotę?

— Trzeba do młyna pojechać, póki przeschnie w polu. Pani mówiła przecie, że i żyta, i pszenicy zemleć trzeba; lepiej zemleć teraz.

— Gdzież? do wiatraków pojedziesz?

— Albo ja głupi? Po to chyba do wiatraków, ażeby podwójne *mirczuki* Srulowi dawać. Do niemieckiego młyna pojedę: Herman nie zdziera przynajmniej...

— Jedź do niemieckiego... chleb będzie jednakowy, czy z tej, czy z tamtej mąki.

Po tej krótkiej naradzie z Wołczkową, poszedł na odpoczynek Fed'ko, a wkrótce po nim Wołczkowa i Helka. Helka światło zgasiła prędko, do łóżka poszła, ale spać nie mogła. Powietrze w jej pokoiku było takie duszne i parne, tak jakoś przygniatało dziewczynę niewidzialnym ciężarem, że rady sobie dać nie mogła. Leżała zapatrzona w ciemność izdebki, na sen czekała, ale zamiast cichego snu, napływały ku niej roje niespokojnych myśli; zdawało się jej, że głowę przychyła nie do poduszki, lecz do rozpalonego żelaza, i łóżko, i poduszka, i powietrze w pokoiku, były takie same, jak zwykle, tylko mocniej bijące serce, szybciej poruszająca się pierś, marzeniem zaprawione myśli, wytwarzały koło niej sztuczną atmosferę, tę samą, która ją gniotła. Wiedziała dobrze, jakie obowiązki przywiązywały ją do ubogiej sadyby, przez miłość dla matki i niewesołej tradycyi rodowej; a jednak chęć do nauk, jakieś niewypowiedziane pragnienie wiedzy, odzywało się w jej duszy buntowniczym uczuciem. Walczyła sama z sobą: z jednej strony do walki

stawało serce, obowiązki, z drugiej — osobiste cele, żądania, marzenia. Bezsilna w obec tego szamotania się, wiedziała, że nie dość mieć najlepsze żądania i cele, trzeba trochę pomocy, środków; pomocy tej udzielić mogła matka tylko, ale czuła w sobie wstyd jakiś, upokorzenie prawie, prosić matkę otwarcie, i słuszne miała po temu powody: alboż nie wiedziała, nie patrzyła codziennie na ubóstwo w domu, na wiązanie końców, na rosnące potrzeby a fundusze coraz mniejsze? A matkę?... jakże zostawić samą, na walkę z losem?

Nagle wydało się jej, że w izbie zabrakło powietrza, że coś ją ściska za gardło, dusi... Porwała się z łóżka, przyskoczyła do okna i obie połowy otworzyła szeroko. Wciągała w siebie powietrze całą piersią, i rozplómieniem okiem wpatrywała się w ciemność takim wzrokiem, jakby pragnęła ręce wyciągnąć do czegoś nieznanego a pożądanego namiętnie. Na niebie wisały te same chmury, czarne, groźne, deszczem i piorunami, coraz bardziej zbliżającymi się, brzemienne. Coraz jaskrawiej, coraz bliżej, bliżej ślizgały się po tych chmurach pioruny, i głuchy turkot grzmotów dolatywał z daleka. Helka poza swoją myślą zdawała się nic więcej nie widzieć i nie słyszeć. Zaciskała ręce, dotykała niemi chłodnego drzewa podokiennika i z gorączkowym pragnieniem pochylała się cała naprzód, jakby w tych

chmurach rozplynać się chciała. Znowu światło piorunu błysło.

— Ach, Boże! dlaczego to światło błyska tak daleko? Takbym pragnęła do tego światła, jak ptak...

Zamyśliła się znowu.

— O! jakie to wierutne kłamstwo — ciągnęła dalej, bój tocząc z własnymi myślami — kto mówi, że kobieta jest silną, że dość jest wolę posiadać, dość jest chcieć, ażeby możliwe pragnienia urzeczywistnić! Do czego takie łudzenie się? Dlatego chyba, aby rozczarowanie stokroć więcej boleści przyniosło... Męszczyzna, gdyby pragnął nauki, porzuciłby wszystko, pogonił za nią i zdobył; a kobieta? Niech się odważy tylko! Odrobinę, którą zdobędzie, przypłaci życiem może... Ona bezsilna, bo zawsze potrzebuje cudzej pomocy: rodziców, braci, krewnych... Wszystko kupić musi, za wszystko zapłacić — bodaj wewnętrznem upokorzeniem!

Taką samą bezsenłą noc przebyła Wołczkowa, tylko jej myśli były pełne rozwagi i spokoju. Wołczkowa była nadto dobrą matką, aby nie mogła zauważyć, że Helka walczyła z sobą, że obowiązek i miłość stawały do boju z chęcią nauki i światła; przeciwnie, nietylko uczucia miotające córką odgadywała, ale, jak widzieliśmy, starała się jeszcze uzasadnić je i wytłómaczyć. Snadź te motywa uważała za bardzo ważne, bo

po długim rozmyśle zdecydowała się nie sprzeciwiać pragnieniom Helki. Po walce wśród bezsennej nocy, zakończyła rozumowanie słowami:

— Ha! niech jedzie, kiedy chce... niech się dalej uczy... Widać taka wola Boża...

Nazajutrz miała zamiar stanowczo rozmówić się z Helką i niektórych potrzebnych wyjaśnień jej udzielić. Matka i córka wstały, nie pokrępię spoczynkiem, ale jeszcze bardziej znękanę. Wołczkowa zwróciła uwagę na zmęczenie i bladłość Helki.

— Co ci jest? Chora jesteś?

— Nie, mam! burza spać mi nie dała...

— Ale jakoś świeżej po niej w powietrzu...

— O, tak...

— Fed'ko ucieszył się pewnie, bo stało się tak, jak projektował: rano do młyna, a popołudniu w pole...

Do południa każda z nich swoją miała robotę: Wołczkowa zajęta była w ogrodzie łamaniem kukurydzy, a Helka konfitury smażyła na sprzedaż. Kiedy pod wieczór zasiadły, jak zwykle, na ganeczku, z ręczną robotą, Wołczkowa tonem spokojnym i dobrym spytała Helki:

— A kiedyż to tam nauki rozpoczynają się?

Helka podniosła głowę i szeroko rozwartemi oczyma wpatrzyła się w matkę.

— Gdzie, mam?

— W Paryżu... bo widzisz, moje dziecko,

kiedy chcesz jechać, to się trzeba na czas przysposobić...

Helka z żywością kotki skoczyła do matki i ręce, potem twarz jej całować poczęła.

— O, moja dobra, droga mamó! więc się mama zgadza?

Wołczkowa nie zmieniała swego poważnego nastroju.

— Pragniesz nauki, moje dziecko, trzeba abyś ją miała... Wolałabym zapewne, ażebyś jej nie szukała tak daleko, ale cóż robić! Póki byłaś w Winnicy, co rok dwa, trzy razy mogłaś matkę odwiedzić; z Paryża będzie to niemożliwym... A ja coraz jestem starsza, coraz słabsza; myślałam, że, będąc w domu, oczy matce zamkniesz...

— Droga moja mamó! dłużej niż dwa, trzy lata, nie zabawię tam przecie...

Wołczkowa pokiwała głową.

— Dwa, trzy lata! Kto młody, temu to nie wiele; ale kto stoi nad grobem...

W głosie starej Wołczkowej czuć było wzruszenie, nad którem zapanować starała się. Helka odgadła wzruszenie; nad wszelki wyraz zrobiło się jej przykro i przyszła jej na myśl ta sama uwaga, z którą już śród bezsennej nocy, jak z widmem walczyła: „wszystko trzeba kupić!“ Wołczkowa zapanowała nad sobą i spokojnym głosem ciągnęła dalej:

— Wiem, że jesteś dobrem dzieckiem, i czy tu, czy w Paryżu, nie zapomnisz ani starej matki, ani starej chaty...

— Ach, mammo!...

— Ale chodzi o coś ważniejszego w tej chwili: o środki...

— Mama przecie wie, jak ja niewymagającą jestem... Zresztą, ograniczę się najmniejszymi środkami... będę się starać znaleźć jakies zajęcie, robotę... może coś przecie zapracuję.

— Może zapracujesz... nie chcę ci odbierać odwagi; sądzę jednak, że tam o zarobek trudno, bo ludzie stamtąd do nas przyjeżdżają szukać pracy i chleba; wiem tylko tyle, że tam będzie ci potrzeba więcej, niż w Winnicy, a ja nie wiem, czybym ci mogła dać więcej nad paręset rubli rocznie...

— Tego będzie aż nadto dosyć, moja droga mammo...

— Nie, moje dziecko, nie dosyć... Ty znasz nadto dobrze nasze położenie i wiesz, co mieć można; to, co zbieramy w polu i w ogrodzie, idzie na podatki, na gospodarstwo i na żywienie nas; jedynym czystym dochodem naszym był najem sadu: daje to, jak dotychczas, co rok, z innymi drobnymi dochodami, paręset rubli, otóż oddam je tobie... Spróbujesz; jeżeli nie zdołasz żyć tak, ażeby twoje zdrowie nie szwankowało, dasz pokój nauce. Na to, ażeby latać, potrzebne

są skrzydła. Wrócisz wtedy, a przy dobrej chęci znajdziesz dosyć czasu w domu, ażeby brakującą naukę uzupełnić.

Helka tak była uszczęśliwiona przyzwoleniem matki, że tylko pocałunkami okazywała swoją wdzięczność.

— Kiedyż wyjeżdża Justysia? — spytała po chwili Wołczkowa.

— Najpóźniej w połowie września.

— A ty z nią chcesz jechać?

— Ja sędzę, mamoo... było by to może najlepiej...

Wołczkowa nie była wcale przyjaciółką Justysi; nie podobała się jej nadto zamaszysta i kozacka natura dziewczyny, pełna excentryczności i nienaturalnej brawury; ale nie dała tego poznać po sobie, raz dlatego, ażeby nie krępować Helki, a powtóre, że zresztą w charakterze Justysi nie dostrzegła nic zdroźnego.

Helka, jakby odgadła usposobienie matki, dodała:

— Byłyśmy razem przez całą pensją, i teraz będziemy... Nawet przez wzgląd na moje szczupłe fundusze będzie to miało swoją dobrą stronę: razem możemy mieszkać, razem na uniwersytet chodzić, a w krytycznej chwili, sędzę, że u niej znajdę pomoc...

Wołczkowa wysłuchiwała wszystkiego w poważnem skupieniu, a przy ostatniej uwadze Helki

ledwie dostrzeżone skrzywienie ust zdradziło w niej niewiarę. Nie okazała jednak tego słowami.

— Ha! to jedźcie razem...— rzekła zwykłym, spokojnym głosem.

Od tej rozmowy rozpoczęły się częste odwiedziny Helki do Rajek i Justysi do Makosiejów, w celu bliższego porozumienia się co do planu nauki, wyjazdu i przygotowań. Raz Wołczkova była obecną na radzie przyjaciółek.

— Trzeba będzie wybrać się nam kiedy do Baru, moja Helko, i pomyśleć coś o twojej garderobie...— rzekła.

— O garderobie? — podchwyciła Justysia — alboż tego, co ma Helka, nie dosyć? My przecie nie jedziemy tam po to, ażeby się bawić wesoło...

— Ja też nie myślę o balowych sukniach...

— A zwykłych, codziennych, wystarczy?..

— Wystarczy, mamoo...

Wołczkova wysłuchiwała tych uwag spokojnie.

— To nie do Winnicy jedziesz — rzekła — tam mogłam łatwiej o twoich potrzebach pamiętać... Teraz muszę zaopatrzyć je zawczasu, bo ty nie będziesz mogła sama myśleć o tem.

— Ach, Boże! Jeszcze się o garderobę troszczyć!... Ubranie powinno być mocne i wygodne, a reszta: stroje, toalety, to wszystko barbarzyństwo cywilizowane! Tak ubierać się, jak chłopci — praktycznie przedewszystkiem.

Wołczkowa uśmiechnęła się łagodnie na te dowodzenia Justysi.

— Tylko też wygodę mam na uwadze — odrzekła — ale muszę ci powiedzieć, że oprócz własnych potrzeb, są jeszcze towarzyskie; nie można przecie na wykłady w uniwersytecie chodzić w zapasce i *kosnykach*.

— Dlaczego nie? Czyż koniecznie wszyscy mamy przywdziewać strój, tak zwany cywilizowany? Przyzwyczailiśmy się do niego—oto cała racya, chociaż nie jest ani wygodnym, ani trwałym, ani praktycznym.

— Moje dziecko, — odpowiedziała z pobłażliwym uśmiechem, jakby pragnąc zakończyć rozmowę, Wołczkowa — kiedy wszyscy zmieniają dotychczasowe ubranie, niechaj zmieni i Helka: nie będę jej przeszkadzać; ale teraz wszelkie excentryczności w stroju, wszelka przesada, skierowana zarówno do wygórowanego przestrzegania mody, jako też do nadto wybitnego pogardzania nią, zwraca tylko na dziewczynę niepotrzebne spojrzenia, wywołuje nieraz niesłuszne uwagi, a często krzywdzące; sądzę, że Helka potrafi swoim taktem uniknąć tego wszystkiego.

Na tem rozmowa o garderobie zakończyła się; Justysia więcej nie oponowała, a Helka godziła się w cichości ze słusznemi uwagami matki.

Wołczkowa, pragnąc nieco załagodzić tę rozmowę, po chwili spytała:

— Będziecie wy tam mieć kogo ze znajomych, ażeby czy rady, czy wskazówek potrzebnych wam udzielił?

— Już pomyślałam o tem...— rzekła Justysia zwykłą swoją przyspieszoną mową — nie będziemy zupełnie samotne.

— Zdaje się, że tam mieszka stale doktor Łasko?— wtrąciła Helka.

— Tak... mam właśnie list do niego.

— Mówiła mi Helka— dodała Wołczkowa — że młody Świderek z żoną, z Majdanku, miał także do Paryża wyjechać...

— I do niego mam list.

— I do Niuni? — spytała Helka.

— I do Niuni.

— Cóż to za ludzie? — spytała Wołczkowa.

— Jeden jest znany socjalista, drugi — uczony. To ludzie wielkiej przyszłości... wszystko poświęcają dla nauki, dla ludzkości...

— A któż to jest owa Niunia?

Justysia nie mogła powstrzymać się od uśmiechu podziwienia.

— Pani o Niuni nic nie słyszała?

— Nie, moje dziecko.

— Bardzo zdolna osoba... Pracowała nad Marxem i bardzo cenne dopełnienia porobiła do jego „Kapitału...” To bardzo sympatyczna jednostka...

Niewiele z tych zachwyków Justysi dowiedziała się Wołczkowa.

— Znasz ją?

— Znam... to jest... właściwie mówiąc, raz ją tylko widziałam w czasie pobytu mego w Warszawie... ale to jednostka społeczna bardzo wiele obiecująca... bardzo wybitna...

To wszystko, co słyszała Wołczkowa, nie wielką napawało ją otuchą, i w cichości duszy lękała się o losy swego dziecka w dalekiem mieście, w towarzystwie niepewnych ludzi; ale cóż miała robić? jaka była na to rada? Liczyła tylko na rozsądek i takt Helki i w powagę jej ufała. Skoro już raz zgodziła się na krok stanowczy, musiała się godzić z nieuniknionemi następstwami tego kroku: zetknięciem się z ludźmi, od których w domu możeby była ochronić potrafiła.

Od chwili, kiedy Wołczkowa zgodziła się na wyjazd córki, w Helce jakby jakaś zmiana nadzwyczajna zaszła: poweselała, ożywiła się i znowu domowem gospodarstwem zajęła się z taką energią, jak w pierwszych dniach po powrocie z pensyi w Winnicy. Matka niespostrzeżenie obserwowała ją często z daleka i, przypisując zmianę humoru i usposobienia niemal urzeczywistnieniu się projektów, szeptała sama do siebie:

— Ha! niech jedzie... może to i lepiej.

Tymczasem przygotowania postępowały powoli: szyto bieliznę, sukienki, nawet szewc z Woł-

kowiniec trzewiki robił; Wołczkowa nie chciała wypuścić córki z domu, nie zaopatrzywszy, jak należy. Czekała tylko na drugą ratę za wynajęcie sadu, aby w drogę wyruszyć. Helka spieszyła się, bo miała zamiar na miejscu już, w Paryżu, niektórych wskazówek zasięgnąć co do nauki dalszej. Liczyła trochę na listy rekomendacyjne, jakie zdobyć potrafiła Justysia, trochę na możliwość trafienia do doktora Łaski, który z daleka świecił dla młodego uczącego się pokolenia, jak latarnia morska. Im bardziej zbliżała się jednak chwila wyjazdu, tem smutniej, tem ciężiej było na sercu dziewczynie. Coś na podobieństwo wyrzutów sumienia opanowywało jej duszę, ile razy myślała o tem, że matkę, oczekującą na nią długie lata, będzie musiała znowu opuścić; zdawało się jej, że zaniedbuje jakichś obowiązków, aby tylko dogodzić własnemu, egoistycznemu zachciankom. Jakie to były obowiązki, do których poczuwała się — nie potrafiłaby może sformułować jasno, chociaż przedstawiały się one zawsze pod formą jednej i tej samej myśli: lepiejby może było w domu siedzieć. Tak samo nieokreślone były jej pragnienia: chciała się uczyć, ale jasno wytkniętego celu przed sobą nie miała; nie wiedziała jeszcze, czego się uczyć będzie i do czego ją ta nauka doprowadzić może. Głębsze zastanowienie wprawiało ją w stan jakiejś rozpaczliwej niewiary, bo ile razy przedstawiała sobie chwilę,

kiedy już nauki skończy, tyle razy z nieuniknioną prawidłowością stawało przed nią zapytanie: a co potem? Szukała rozwiązania jego w praktyce — i nie znajdowała. Widziała tylko, że w społeczności naszej zakreslono kobiecie wąskie kółko pracy i służby publicznej, poza które żadna nie wychyliła się bezkarnie. I pocieszała siebie nadzieją: może ja będę szczęśliwszą...

Nareszcie rata za dzierżawę ogrodu i sadu zapłaconą była, i w kilka dni potem Wołczkowa odwiozła sama córkę na dworzec kolei, pożegnała, pobłogosławiła i w daleką drogę wyprawiła.

II.

Helka nietylko razem z Justysią wyjechała, ale usiadły nawet w jednym wagonie, aby tem łatwiej było w podróży pilnować wzajemnie swoich pakunków. Z początku obie przyjaciółki jechały pod wpływem smutnego i ciężkiego wrażenia, wywołanego rozstaniem się z rodziną, podróżą daleką, niepewnością, na której spotkanie podążały. Położenie przyjaciółek było bardzo nierówne: Justysia należała do zamożnej rodziny, nie troszczyła się o jutro, a jeżeli niekiedy demokratyzowała się zanadto, nie było w tem żadnej potrzeby, a raczej tylko pensjonarska brawura, posuwająca się do gardzenia wszelkimi formami, w których upatrywała albo śmieszność, albo brak wszelkiej logiczności. Wcale inne było położenie Helki:

wychowana bez niedostatku, ale w wielkiej prostocie i mierności codziennego otoczenia, nie miała żadnych zachcianek pańskich, żadnych pragnień do zbyt kownego życia, a ubóstwo przyjmowała z całą naturalnością osoby, nieświadomej, wyrafinowanych pragnień. Wielkie miasto, do którego jechała, nie nęciło jej błyskotliwością swoją, zbytkiem, ponętami życia; w najgłębszym kąciaku duszy nie było o tem żadnej myśli; przeciwnie obliczając się z funduszami, ciągle obiecywała sobie największe możliwe uszczuplenie swoich potrzeb, ażeby stać się przez to jak można najmniejszym ciężarem matce.

Minęły stacyą jednę, drugą — ciągły ruch, świst, wrzawa, miganie coraz nowych, coraz odmiennych widoków, które w okienku wagonu przesuwaly się jak w panoramie, smutek i zamyślenie coraz dalej w głąb serca odsuwały. W wagonie, oprócz nich dwóch, nie było nikogo; mogły więc sobie spokojnie i swobodnie rozmawiać o tej przyszłości, ku której para je niosła.

Na jednej ze stacyi otworzyły się gwałtownie drzwiczki wagonu i wszedł podróżny. Rudą brodę miał dosyć pretensjonalnie przystrzyżoną, z pod kapelusza wychylały się mu pukle takich samych rudych włosów. Weiskając się powoli przez drzwiczki wagonu z dwoma kuferkami w rękę, z poza okrągłych, wielkich, dymnej barwy okularów, przez górę jakimś półtajemni-

czem, surowem wejrzeniem patrzył. Wsunąwszy się do wagonu, postawił na podłodze kufarki, odsapywał i siedzącym naprzeciwko siebie dziewczętom, patrząc ponad okulary, przypatrywał się. Obejrzał się potem za siebie, niezajętą ławeczkę dojrzał i ku niej z kuframi skierował się. Wkrótce też, ułokowawszy kufry na górnych pułkach, roztasował się i siedział w milczeniu, to przez okno wagonu, to na Helkę i Justysię spoglądając. Wejście do wagonu obcego człowieka przerwało rozmowę dziewcząt, które tylko od czasu do czasu cicho wymawianemi półsłówkami przerzuciły się ze sobą. Nieznajomy podróżny zachowywał się niespokojnie: to wąsy, to brodę gładził gorączkowymi ruchami, niekiedy czoło i twarz całą pocierał ręką, przez okno wyglądał, na siedzeniu poprawiał się, ku dziewczętom badawczem spojrzeniem rzucał, lub podparłszy się na rękę, udawał głęboko zamysłonego, chociaż na wąskim czole i niewyrazistej twarzy najmniejszego procesu myślenia, objawiającego się na zewnątrz, widać nie było. Podróżny przybierał rozmaite wyszukane pozy, marszczył sztucznie czoło, z chęcią zwrócenia na siebie uwagi i nadania wyszukanej, pretensjonalnej powagi całej swojej postaci.

Ruch na kolei był niewielki i do wagonu nikt nie wsiadał. Już tylko kilka stacyi dzieliło naszych podróżnych od austriackiej granicy,

kiedy na jednym z małych przystanków przybyła do obszernego wagonu jeszcze jedna postać — kobieta. Kobieta była młoda, rezolutna, z ostrymi nieco ruchami, małemi, szaremi, niespokojnymi oczkami, i wielkim, ale głęboko osadzonym, nosem. Rzuciwszy okiem tu i owdzie po wagonie, jakby dogodnego miejsca dla siebie szukała, usiadła nareszcie w kąciku naprzeciwko Helki i Justysi i zaczęła rozkładać na pułkach pakuneczki różnej wielkości i kuferki. Rozlokowawszy się, jak należy, uspokoiła się i zaczęła rozglądać się po wagonie, zatrzymując spojrzenie to na twarzach przypadkowych towarzyszek podróży, to kierując je do kąta, w którym nasepiony i namarszczony sztucznie siedział nieznajomy podróżny. Milczenie panowało ogólne. W wagonie czuć było jakąś duszność. Nieznajoma powstała, aby odsunąć okienko.

— Czy państwo pozwolą?

— Proszę...—odezwały się trzy głosy.

Potem słychać było skrzyp odsuwanego okna. Wiatr wionął i napełnił wagon dymem. Helka i Justysia zakaszwały.

— Zdaje się, że lepiej będzie zamknąć... — rzekła nieznajoma.

— Zdaje się... dym wchodzi...

— Możeby z innej strony otworzyć?

— I owszem...

Otworzono z przeciwnej strony okno i na-

wiązała się rozmowa, która zwykle w podróży nawiązuje się łatwo. Mężczyzna w okularach ciemno-dymowego koloru powstał, wyjął woreczek z tytoniem i papierosa kręcił; skończywszy tę robotę, przechadzał się środkiem wagonu i we wszystkich kieszeniach po kolei zapalek szukał. Namacawszy jedną w bocznej kieszonce od kamizelki, długo porał się koło niej, dopóki wyjął; wyjętą w dwóch palcach trzymał, i zbliżywszy się do pań, zapytał:

— Czy mogę zapalić papierosa?

— I owszem...

— Bardzo proszę...

— Jeżeli panie nie palą, może to szkodzić...

— Ja palę — odezwała się niedawno przybyła. Helka i Justysia milczały.

— O, teraz bardzo wiele kobiet pali... Ustrój organizmu mężczyzn i kobiet jest zupełnie identyczny, więc, abstrakcyjnie rzecz biorąc, jeżeli wolno coś robić mężczyźnie, dlaczego nie wolno kobietom? Żyjemy w wieku, dążącym do zupełnego równouprawnienia; dlaczegoż nie mamy dopomagać do umorzenia separatyzmu tak ideowego, jak i faktycznego, objawiającego się dotychczas jeszcze, niestety, tak w jednostkach kobiet i mężczyzn, jako też i masalnie. Co się tyczy moich osobistych, czyli indywidualnych przekonań, sądzę, że powinniśmy ten separatyzm organiczny,

że się tak wyrażę, sprowadzić do *minimum*, zachowując *maximum* woli każdej jednostce...

Skończywszy mówić, nieznajomy podniósł nieco w górę nogę, potarł zapałkę o podeszwę, papierosa zapalił i, buchając dymem, jak z kolumny, na wagon, tryumfująco na Helkę i Justysię spoglądał.

— Panie nie palą, naturalnie...

Ostatni wyraz nacisnął.

— Ja, nie—odpowiedziała Helka.

Justysia wstydziła się przyznać do tego, że separatyzm organiczny, zostający pod kontrolą rodziców, nie pozwalał jej dotychczas zachowywać *maximum* woli.

— Co do mnie — rzekła — ja palę trochę... ale mało... nie lubię...

— Ach, pani! jak to można nie lubić papierosa! Człowiek, otoczony dymem tytoniu, zapomina nieraz o troskach, kłopotach, o sobie, a lżej wtedy myśleć o całej ludzkości!

Po tej allokucyi, mężczyzna w okularach zwrócił się do nieznajomej podróżnej:

— Pani szanowna daleko jedzie?

— Ja, panie szanowny... do Monachium... to jest, właściwie mówiąc, zdaje się, do Paryża...

Obie dziewczyny na dźwięk wyrazu: Paryż, podniosły głowę ku nieznajomej.

— Pani prawdopodobnie na uniwersytet do Paryża?—spytała nieśmiało Helka.

— Tak jest, pani kochana... to jest, w każdym razie, bądź-co-bądź, jeżeli tylko wypadnie mi być w Paryżu, to nie będę mogła pominąć takiej świątyni, jak jest Sorbonna...

— O, jakżeby to było dobrze!—wykrzyknęła Justysia.—My obie jedziemy także do Paryża... na uniwersytet...

— A... może się jeszcze tam spotkamy...

— Bardzo, bardzo być może... Ja bądź-co-bądź, mam taki zamiar, i sądzą, że mi nic nie przeszkodzi doprowadzić go do skutku. Panie na jaki wydział? jeżeli wolno wiedzieć?

— Ja na literacki — odpowiedziała Helka— ale plan stanowczy myślę sobie dopiero na miejscu ułożyć.

— A ja, zdaje się, pójdę na medycynę... Bardzo mi się ten fach podoba... chociaż radzą mi niektórzy nauk społecznych słuchać.

— Tak, tak... nauki społeczne, szanowna pani, to grunt całej wiedzy ludzkiej. Dziś kto społecznych nauk nie studjuje, ten nic nie wart! —zakończył podróżny w okularach, górami ponad okulary na towarzystwo spoglądając.

Po długiej rozmowie na temat ważności i potrzeby nauk społecznych, Justysia zwróciła się do podróżnego w okularach:

— Pan także na uniwersytet?

— To jest właściwie ja nie potrzebuję... byłem już... słuchałem społecznych nauk w Smor-

goni... ale, bądź-co-bądź, nie ominę jeszcze sposobności, aby się uczyć. Nauka jest źródłem szczęścia ludzkości... Trzeba się ciągle uczyć... uczyć... uczyć... To moje zadanie!

— A potem? — wtrąciła nieśmiało Helka, myśląc, że może przecie posłyszysz jaką jaśniejszą wskazówkę.

Nieznajomy wydał się trochę zaambarasowany pytaniem, ale starał się zakłopotanie pokryć: uśmiechnął się uśmiechem wyniosłej wyższości i z pewnym wyrazem politowania na pytającą spojrział.

— Potem?... Służba społeczna, szanowna pani...—rzekł z naciskiem zadowolenia.

— Jaka? — znowu odezwał się cichy głos Helki.

— Oho-ho-ho... Tyle dróg, tyle pracy czeka na każdą myślącą społeczną jednostkę, tyle pozostaje do zrobienia, szanowna pani, że do wszystkiego trzeba czepiać się pazurami.

Mowę swoją nieznajomy ilustrował giestami: mówiąc o pracy, podnosił wysoko głowę, jakby w ten sposób wysokie zadanie pracy chciał pokazać; mówiąc o czepianiu się pazurami, kurczył palce na podobieństwo pazurów, rękę podnosił do góry i w powietrzu konwulsyjny ruch palcami wykonywał, naciskając na ostatnie wyrazy.

Mimo to wszystko, z namiętnej mowy nieznajomego Helka nie dowiedziała się niczego.

Wspólny cel, jedna droga, złączyły całe towarzystwo ściślejszym węzłem; czyniło to podróż o wiele przyjemniejszą, a nawet mniej uciążliwą. Ułożono wspólnie nowy plan na Zurych, który to punkt nieznamy w okularach uważał jako niezbędny do zwiedzenia dla każdego, poświęcającego się społecznym naukom — nie przez wzgląd na społeczne nauki, ale na kilku wybitniejszych prowodyrów twardego socjalizmu, którym w imieniu ludzkości hołd należało złożyć. Było to nieco z prostej drogi do Paryża, ale nagrodzić się miało, jak zapewniał nieznamy, sowicie. Odurzone jakimś wirem swobody, nowością wrażeń, czarodziejskiem brzmieniem samych wyrazów, które nieznamy rozsypywał przy każdej sposobności, dziewczęta dały się unosić prądowi, jak fali powrotnej, i oszołomione, płynęły do nieznanego morza. Wprawdzie Helka nie zapominała ani na chwilę o szczupłych swoich funduszach, ale w cichości przyrzekała sobie na innych wydatkach i potrzebach oszczędzić się, a pójść za głosem, wabiącym ją, jak syrena. Tak wielki jest urok nowości, połączony z chęcią wiedzy.

Ażebym zbieżenie do Zurychu okryć jeszcze większą tajemniczością i potrzebą, podróżny w okularach szepnął raz poważnie:

— Będziemy mieli sposobność poznać tam Derdidasa...

Dziewczęta zrobiły pytające oczy; nieznajoma tylko kiwnęła głową, na znak, że wie, kto to.

— Derdidasa? — spytały obie w jeden głos.

— Tak... Panie, zdaje się, nie wiedzą o nim?

— Nie—odpowiedziała Helka.

Justysia zażenowała się niewiadomości.

— Ach! tak... słyszałam już to nazwisko... przypominam sobie...

Nieznajomy tajemniczo obejrzał się naokoło siebie, jakby się przekonać pragnął, że w wagonie niema więcej nikogo.

— Jest to znakomita jednostka... przywódzca ruchu socjalistycznego w Niemczech... a nawet, można powiedzieć, w świecie całym... Niedawno z Ameryki było specjalne poselstwo do niego... Jest on autorem broszurki: *Socjalizm i kosmopolityzm*... Czytały panie tę broszurkę? Znakomicie napisana!

— Nie...

— Ja czytałam...—odezwała się nieznajoma.

— W odpowiednim miejscu będę mógł paniom dać po egzemplarzu... warto się zapoznać z treścią...

— Może nawet sam Derdidasa da po egzemplarzu na pamiątkę—wtrąciła nieznajoma.

— O, tak... sędzę... W każdym razie, bądźco-bądź, jest to człowiek bardzo, bardzo świątły!—zakonkludował podróżny w okularach.

Justysia zapalała się chęcią poznania Derdidasa.

— Szkoda—rzekła—żeśmy się w list rekomendacyjny do niego nie zaopatrzyły!

Nieznajoma uśmiechnęła się pobłaźliwie, ale z odcieniem wyższości.

— O to niech się pani kochana nie troszczy... trafimy do niego...

Podróżny w okularach mowę jej przerwał:

— O... o... trafimy... już ja to biorę na siebie... Jeżeli tylko panie zapragną poznać się z przywódcami postępowej myśli, obowiązuję się z każdym z nich zapoznać.

— Dziękujemy panu... bardzo dziękujemy...— odezwała się Justysia. — Do Paryża mamy parę listów polecających... zdaje się, że się nam przydadzą bardzo...

— Do kogo? jeżeli wolno zapytać. Ja w Paryżu mam bardzo szerokie koło znajomych...

— Do Funia Świderka...

Po twarzy podróżnego w okularach prześliznęła się wyraz błęgiego zadowolenia z samego siebie.

— Do Funia? Znam go, znam... bardzo dobrze... to mój serdeczny przyjaciel.

— Kto to jest ten pański przyjaciel? On, zdaje się, z naszych okolic... z Podola?

— Tak jest, szanowna pani—odrzekł z przybraną powagą mężczyzna w okularach.

— Był na uniwersytecie w Paryżu?

— O, tak kochana pani—wtrąciła żywo nieznajoma—nie tylko w Paryżu...

Nieznajomi: kobieta i mężczyzna w okularach, spojrzeli ku sobie wzrokiem porozumienia się.

— Szanowna pani ma zapewne list do autora artykułu: *O potrzebie zniszczenia wielkiej własności ziemskiej?*

— Tak... zdaje się... przyznam... się, że artykułu nie czytałam...

— Będę mógł szanownej pani w odpowiednim miejscu złożyć... Prawdopodobnie, że to list do mego przyjaciela. W ruchu postępowym Funio Świderek znanym jest bardzo dobrze.

Nieznajoma podróżna miała widocznie na ustach jakieś pytanie, z którym powstrzymała się; znać było tylko z jej ruchów i zachowania się pewną niecierpliwość, źle tajoną. Nareszcie po długim wahaniu się, spytała Justysię:

— A do Niuni listu kochana pani nie ma?

— I owszem, mam właśnie do Niuni... pani ją zna?

— O, doskonale...

— Ja miałam przyjemność widzieć ją nawet w Warszawie raz... na zgromadzeniu postępowych panien... ale tak rozrywaną, że nie mogłam do niej kilku słów przemówić.

Podróżny w okularach dodał:

— Bo też ona zasłużyła się społeczeństwu bardzo swoim dopełnieniem „Kapitału“ Marxa.

— Słyszałam o tem... Czy już wyszła ta praca w druku?

— Nie jeszcze, kochana pani. Mówiła mi właśnie Niunia, że nie może znaleźć nakładcy.

Podróżny w okularach nasrożył się groźnie.

— *Burżoazy!*—zawołał z zapalem—oni boją się do śpiącej społeczności wpuścić choćby promyk światła, aby jej nie zbudzić, bo przebudzenie jej, to śmierć dla nich!

Taki wykrzyk zgrozy na *burżoazów* wywołał powszechne milczenie; tylko podróżny w okularach wyjął tytoń i, jakby na złagodzenie wewnętrzznego wzruszenia, papierosa począł kręcić, potem uśmiechnął się sam do siebie i rzekł:

— Ale Niuni panie w Paryżu nie znajdują.

— Dla czego?

— Z bardzo prostej przyczyny: Niunia umarła...

— Jakto? Czy to być może? dawno?

— Jaka szkoda, jaka strata dla ludzkości! Nieznajomy nadymał się poważnie.

— Tak, umarła—powtórzył.— Gdy na kobietę zawołają: żono!—już ją żywcem pogrzebiono...

— Więc tylko za męż wyszła?

— Tak—potwierdził podróżny w okularach.

— To utrudni nam nieco odszukanie, ale nie wątpię, że tak znakomita osoba znaną będzie szerszemu kołu.

— O, niezawodnie! — dodał podróżny. — Zresztą, ja ułatwię paniom poznanie się.

Bez przygód nadzwyczajnych, wśród ciągłej różnaitości natury, kraju, ludzi, wśród częstych zachwyków, jeszcze częstszych rozmów, podróżni nasi zblížali się do Lindau, aby przez Badeńskie jezioro przejechać do Romanshornu, a stamtąd do Zurychu, dla złożenia hołdu Derdidasowi. Pociąg pędził z góry jak szalony, pomiędzy wzgórzami złączącego się do słońca winogradu, i staczał się, jak kula, do Lindau. Już widać miasteczko... kupa szarych domków, rozrzuconych nad brzegiem, pomiędzy nimi sterczą kominy fabryk, różowieją ceglane dachy domów, a poza domami, wielką, błękitną, spokojną płaszczyzną, ściele się tafla jeziora.

Staął pociąg; jak mrówki wyskoczyli z wagonów pasażerowie, i z torbami podróżnemi, z kuferkami i bez kuferków, biegli do statku, stojącego w przystani, buchającego parą i nawołującego do pospiechu świstawką. Cały ten ruch wielki kilka minut trwał tylko, poczem statek spokojnie na szerokie jezioro wypłynął.

Podróźni nasi znaleźli się na pokładzie razem. W kwadrans może po wyjeździe, Helka i Justysia zapatrzone były w szafir jeziora, w migające nadbrzeźne wioski i miasteczka, okolone schylającymi się ku nim winnicami, kiedy Justysia, odwróciwszy się, obaczyła przy sobie stojącego męszczyznę w okularach, pod rękę trzymającego nieznaną towarzyszkę podróży.

— Panie pozwolą nam przedstawić się...

Dziewczęta zdziwione nie mogły odgadnąć mistyfikacyi, a mężczyzna w okularach ciągnął dalej:

— Ja jestem Funio Świderk... a to... moja żona, Niunia.

— O, jakąż państwo nam niespodziankę zrobili!—zawołała Helka.

Funio tajemniczą minę przybrał.

— Trzeba się było nieco zamaskować; gdzie my się ruszymy, tysiące oczu śledzą, patrzą... We Lwowie Namiestnik mnie zna, mógłby był łatwo poznać i zapytać, co tu robię? w Krakowie, w Wiedniu takie samo pytanie mogło mnie spotkać od dyrektorów policyi—a to po co? My chcemy incognito podróżować, aby mieć ręce zawsze wolne.

— Ależ państwo ucharakteryzowali się doskonale—zawołała Justysia.

— Oho, to dopiero pokaże się w Zurychu; tam dopiero pani pozna prawdziwą Niunię i prawdziwego Funia Świderka.

Kiedy już zbliżano się do Romanshornu, a Helka i Justysia znalazły się same, Helka spytała:

— Jakże ci się podobają państwo Świderkowie?

— Ja jestem zachwycona! Jaka energia, jakie stosunki, jaka śmiałość!

Helka dodała cicho:

— I jaka blaga! Przyznam ci się, żałuję, żem nie umiała nad uniesieniem zapanować i zgodziła się jechać do Zurychu.

- Dla czego?
- Bo zdaje mi się, że i ów chwalony Derdidias należy do tego samego gatunku.
- No, no, nie uprzedzaj się...
- Czyż nie domyślasz się tego?
- Nie, widzę tylko, że jesteś pessimistką...

III.

Jakim był Derdidias, Helka sprawdzić nie mogła, bo go już w Zurychu nie zastano — wyjechał do Paryża. Miała więc jeden więcej powód do niezadowolenia ze swojej lekkomyślności, bo, zastanawiając się nad nagłym projektem wyjazdu do Zurychu, nie mogła inaczej kroku tego napiętnować, jak lekkomyślnością. Pojechała z ludźmi nieznanymi poznać nieznanego człowieka, nie wiedząc nawet, czy ów człowiek jest w Zurychu, lub nie. Zdawało się jej tedy, że słusznie ukaraną była stratą czasu i pieniędzy. Nie chciała więc na te straty narażać się dalej i, dowiedziawszy się o nieobecności Derdidiasa, postanowiła nazajutrz rano do Paryża wyjechać. Justysia ulegała o tyle wpływowi przyjaciółki, że postanowieniu temu nie oponowała. Wiejska dziewczyna, wychowana w twardem, ale trzeźwem otoczeniu, łatwo poznała się na płytkości charakteru i wartości zdawkowej Świderków, mających także instynktownie mniej pędu do niej, niż do Justysi, w której domyślili się łatwo zapalnego

materyału. Zdawało się Helce, że nagłym postanowieniem wyjazdu potrafi może uwolnić się od natrętnego towarzystwa Świderków, ale nie było to rzeczą łatwą: państwo Świderkowie nie mieli co robić w Zurychu, projekt Helki zaakceptowali i do niego przyłączyli się.

Pierwsze rozczarowanie ochłodziło nieco Helkę. Nie zwierzała się z tem wcale przed Justysią, widząc jej zachwyty, bo wierzyła, że, wcześniej czy później, na hałaśliwości beztreściwej Funia i Niuni sama się pozna. Pragnęła co prędzej dostać się do Paryża, aby się do roboty zabrać i od przymusowego towarzystwa uwolnić, i liczyła na to, że może od doktora Łaski będzie mogła przecie poważnych wskazówek zaczerpnąć. Dotychczas jeszcze ani z Funiem, ani z Niunią, mowy o nim nie było. Z wypadku przyszło do tego.

— Państwo gdzie ulokują się? — spytała Helka Niuni.

— O! my, pani kochana... zdaje się na przedmieściu Saint-Antoine, bo w każdym razie, bądź-co-bądź, my musimy zawsze mieszkać w centrum bluz robotniczych... My tam dopiero jesteśmy w swoim żywiole...

— Czy z tego przedmieścia daleko do Sorbonny?

— O! naturalnie, pani kochana.

Funio smoktał papierosa tak szczerze, że mu aż skóra pa palcach skwierczała.

— Dla pań najbliższa dzielnica: *Quartier latin*... — wtrącił.

— A, to ta właśnie, gdzie mieszka doktor Łasko — podchwyciła Justysia.

— Doktor Łasko? A... wiesz, moje złotko? — rzekła Niunia, zwróciwszy się do męża — to ten, co z Darwinem się pora...

— Tak...

— Państwo go znają?

— Jak łysego konia... Idealista, który czas i siły marnuje... — zauważył z pewną złośliwością Funio.

Justysia wyjęła z torbeczki podróźnej list i zaczęła czytać. Adres na kopercie „*Quartier latin, rue Monsieur-le Prince, Hôtel du Globe Nr. 45.*“

— Zawsze w tej samej dziurze! — zauważyła z politowaniem Niunia.

— Czy to blisko Sorbonny?

— Bardzo blisko nie jest, ale punkt dobry... dzielnica studencka... i panie mogłyby doskonale zamieszkać w *Hôtel du Globe*...

— Pani pewnie łądzi się głośnym tytułem: *Hôtel du Globe*... Rozczaruje się pani prędko... jest to taka sama brudna dziura, jak zajazd Maryi, lub Silbersteina w Barze... a co do taniości, znajdzie tam pani najrozmaitsze ceny.

— A kobiety mogą tam mieszkać? — dopytywała się Helka.

— Naturalnie... dlaczegóżby nie mogły mieszkać, kiedy są pokoje do wynajęcia?

Niunia zwróciła się do Helki z uśmiechem złośliwym i dodała:

— Pani kochana, kto wyjeżdża do Paryża uczyć się, ten musi sporą dozę konwencyjonalnej pruderyi zostawić w domu...

Helka nie na tę uwagę nie odpowiedziała.

Ranek już świtał, kiedy przez okienko wagonu odkrył się imponujący widok: z daleka, na bezbrzeżnej, zda się, równinie, wznosiła się niepoliczona ilość domów, różnej wysokości, przedstawiających się, jak fale morza. W miarę posuwania się pociągu naprzód, pomiędzy te mury przebłyskiwała niekiedy wstęga brudno-srebrzysta, ponad którą zwieszały się poszarpane, przelatujące po nad nią, kłęby mgły. Była to Sekwana. Po nad tą olbrzymią murowaną masą gmachów, tu i owdzie na wzgórzach strzelały do góry kopuły, jedne z krzyżami, drugie bez nich, lub jakieś wybitniejsze budynki, imponujące jeszcze bardziej z daleka swoją milczącą wielkością. Po nad tą zbitą masą murów, ciągnących się w bezbrzeżną perspektywę, rozścielały się szare, gęste dymy, lub leniwie, przez ciężkie warstwy powietrza, wiszącego nad miastem, podnosiły się zwartą, czarno-burą kolumną z fabrycznych kominów. Na skraju tej nieskończonej, zda się, panoramy domów, kościołów, fabryk, pa-

łaców, przeplatanych kępami drzew, złocistą koroną jesieni ukoronowanych, nagle, jak z pod ziemi, wystrzelił kłęb dymu, jeden, drugi, dziesiąty, i jak smok jakiś powietrzny rozwijał po nad szczytami kominów swoje wężykowate ciało, elastyczne, zwinne, giętkie, i pędził do samego środka tego olbrzyma. Był to pociąg, od północy zdażający.

Helka spuściła okienko. Deszczyk mżył drobny i zdawało się, że smutną atmosferę, wiszącą nad miastem i nad całym dalekim obrazem, czynił jeszcze bardziej szarą, posępną, jednostajną. Do okienka zbliżyła się Justysia.

— Paryż... — szepnęła Helka.

Serce ścisnęło się jej jakąś radością i tem niepojętem uczuciem, które opanowuje na widok czegoś nieznanego, a spodziewanego dawno.

— Co za olbrzym! — dodała Justysia.

Umilkły obie, jakby z trwogi przed tym olbrzymem.

Tymczasem pociąg pędził dalej. Ów olbrzym, obwinięty mgłą własną, stawał się coraz bardziej widocznym: już widać głowę jego, wyciągniętą do góry z poza szarej mgły, z dymów i deszczu złożonej, już błysnął łeb — to Panteon, spoglądający naokoło z najwyższego pagórka; już widać żebra jego — to wielkie bulwary. Daleko wywija się ogon tego smoka ludzkości — to Trocadero, Marsowe pole, pałac Inwalidów. Sły-

chać gwar, szum jakiś głuchy, daleki, niewyraźny... Pociąg pędzi pomiędzy domy przedmieścia, sapie, świszczce, wjechał nareszcie w jakąś paszczę i stanął.

Miasto prawie całe spało jeszcze, kiedy nasi podróżni, wzięwszy dwie doróżki, kazali się zawieść do *Hôtel du Globe*. Niunia i Funio zdecydowali się także tam zajechać i kilka dni zabawić, dopóki stosownego pomieszkania sobie nie upatrzą. Po długiej jeździe w zygzaki, doróżki zatrzymały się na wąskiej i dość brudnej uliczce. Była to właśnie ulica *Monsieur le-Prince*.

Funio wysunął głowę z doróżki.

— Otóż i *Hôtel du Globe*... Chwała Bogu, że będziemy mogli przespać się porządnie.

Wysiadł pierwszy, zbliżył się do bramy domu, niczem się nie różniącego od innych, a związanego nieprzerwanym ciągiem z całą linią murowanych domów ulicy. Po uważnem wpatrzeniu się we fronton jego, dostrzegano się nad bramą mały owalny szyld z napisem na czarnem tle, spłowiałemi od słońca i słoty, złotemi literami: *Hôtel du Globe*. Funio, wyciągnąwszy rękę do wiszącej rączki od dzwonka, silnie szarpać począł. W hotelu służba spała jeszcze. Całe więc podróżne towarzystwo stało przed bramą i mokoło na deszczu, który padać nie przestawał.

Po długiem oczekiwaniu, otworzyła się nareszcie brama, do której mogli się schronić przed

deszczem, a po chwili wysunęła się postać półubranego garsona hotelowego, który z Funiem poufale się przywitał.

— Przyprawdzam do was podróźnych...

— Polacy pewnie?

— Tak.

Garson minę zrobił, która miała oznaczać: wiem, to golizna pewnie...

— Niechże pan da pokoik dla nas i dla tych panienek...

Garson ukłonił się.

— Służę... — rzekł i poszedł przodem na wązkie, brudne i nieoświetlone schody. Najprzód ulokował Niunię i Funia; potem, zwróciwszy się do panien, zapytał:

— Paniom na kilka dni pokoik, czy na miesiąc?

— Mamy zamiar stale zamieszkać, jeżeli to okaże się możebnem — powiedziała Helka.

— A... bardzo mi będzie przyjemnie...

— Niech pan pokaże nam pokoik na dwa łóżka, za cenę najprzystępniejszą...

— Najprzystępniejszą? — powtórzył.

— Tak jest.

— Będzie nieco za wysoko... — rzekł dwuznacznie.

— To nic nie znaczy...

Schody, im wyżej, tem były krętsze, brudniejsze i ciemniejsze. Nareszcie wszyscy zatrzymali

się w kurytarzu zupełnie ciemnym. Oko, oswoiwszy się nieco z brakiem światła, dostrzegąo szereg numerowanych drzwi z obu stron. Garson zatrzymał się przed jednemi, na brudno-orzechowy kolor malowanemi, na których pośrodku był wypisany czarną farbą Nr. 67, i w pęku kluczów, trzymanyh w ręku, począł szukać potrzebnego mu; znalazłszy nareszcie klucz z metalową tabliczką i wyciśniętym na niej Nrem 67, drzwi owe otworzył. Pierwsze wrażenie nie odbiło się wcale przyjemnie: powietrze w pokoju było jakiegoś niezdecydowanego zapachu, jakąś mieszaniną starego brudu, potu i niewidzialnej zgnilizny. Dziewczęta skrzywiły się. Garson może sam doznał nieprzyjemnego wrażenia, może dostrzegł skrzywienie się podróźnych, dość, że zbliżył się do okna, rygiel odsunął i ramę środkową pchnął mocno. Okno otwarło się szeroko i prąd świeżego, wilgotnego powietrza wpłynął do pokoiku. Dziewczęta oglądały się wokoło. Najprzód uderzył je widok kominów i poczerniałych dachówek, któremi kryte były dachy domów. Z okienka, oprócz dachów i kominów rozmaitej wysokości i formy, nic więcej nie było widać; ani jednego drzewa, ani jednego obrazu z jakąś przyjemniejszą perspektywą. Poszarpane linie dachów przerywały się niekiedy — był to ślad, że pod tą przerwą przechodzi ulica; rozmaite kombinacye tych przerw odkrywało czasem wy-

sokie poddasze z galeryą od dziedzińca, na której poręczach rozwieszzone były pieluszki, materacyki dziecinne z żółtymi plamami, lub kołdry i bety mieszkających na *mansardzie* ludzi. Ponad dachami i kominami, od których odbijały się krople spadającego deszczu, wisiało szare, bezbarwne, smutne jakieś niebo, a raczej nie wielki jego kawałek. Ściany pokoiku nie były także równe, jednostajnej wysokości, ale w jakieś połamane linie, a okno dotykało podłogi prawie. Był to tak zwany *mansard*.

Helka zwróciła się do garsona, który przez cały czas opatrywania pokoiku stał apatycznie, w bok prawą ręką podparty.

— Ile ten pokój kosztuje miesięcznie?

Garson zmiarkował, o co chodzi.

— Bez światła, opału, usługi, z bielizną, tylko dwadzieścia franków... To nie drogo...

— Nie drogo...

— Taniej panie w całym Paryżu nie znajdują...

Dziewczęta spojrzały sobie w oczy i przemówiły po polsku:

— Weźmiemy?...

— Dobrze...

Garson stał apatycznie.

— A więc dobrze... zamieszkamy tutaj... Każ pan przynieść nasze kuferki.

Uklonił się i z lokajską swobodą klucz Justysi podał.

— Jest to klucz od Nru 100... — Rękę wyciągnął na prawo i dodał: — Kurek od wody przy *lavabo*...

I wyszedł; misya jego była skończoną. Po chwili, stróż hotelowy przyniósł im kufferki — i zostały same.

Ten pokoiik, pogoda, służba — wszystko to jakimś smutkiem przygniotło dziewczyny; nie mogły do siebie przemówić, tylko niemym wzrokiem rozglądały się dokoła. I jedna i druga, zatęskniły do domu, do rodziny, do kraju własnego, gdzie było im jakoś swobodniej, czystiej, lepiej, cieplej, nie czuć tej stęchlizny starego domu, w którym mury, od kilku wieków może te same, przesiąkły cudzym oddechem. Łzy im zakreściły się w oczach, odwróciły się od siebie, ażeby odwagi nie odbierać, i poczęły bez potrzeby rozpakowywać kufferki.

Helka prędzej zapanowała nad sobą.

— Pocóż my się do kufereków zabrały? Trzeba pierwiej odpocząć, a potem coś obmyślimy...

— Ach, prawda! te bezsenne nocy w podróży...

Każda przystąpiła do swego łóżka i pościel przysposobiła, a po chwili już obie dziewczyny spały mocnym snem zdrowej młodości. Spały długo, ile — nie wiedziały jeszcze, kiedy Helka podniosła lekko głowę nad poduszkę i słuchała; zdało się jej, że słyszy pukanie. W pokoju ci-

sza była, a wśród tej ciszy rozlegało się równie jednostajne echo oddechu Justysi. Helka wytlómaczyła sobie pukanie owo przysłyszeniem się i głowę znowu w poduszkę schowała, ale pukanie powtórzyło się wyraźnie.

— Kto tam? — spytała po polsku.

— Ależ panie kochane śpią... można pozazdrościć... Czwarta już minęła.

Był to głos Niuni. Helka poznała go.

— Czwarta? — powtórzyła machinalnie.

— Tak... czwarta, ale po południu. Mąż mój ma zamiar pójść do doktora Łaski... może panie skorzystają ze sposobności...

— Dobrze, dobrze... dziękuję... zaraz rozbudzę Justysię...

W tej chwili słyhać było wołanie:

— Justysiu! Justysiu!

Poczem Helka zwróciła się znowu do Niuni:

— Przepraszam bardzo... za dobre pół godziny będziemy gotowe...

— Proszę przychodzić do Nru 35 na drugim piętrze... Czekamy!

— Dobrze...

— Tylko proszę nie marudzić!...

Rozmowa przez drzwi przerwała się; widocznie Niunia odeszła do swego pokoju.

Helka pierwsza porwała się na nogi i ubierać się zaczęła; za jej przykładem poszła Justysia. Świeże powietrze, które, przez okno napły-

wajac, wyparło nieco z pokoju zapach stęchlizny i brudu, wydało się jakimś rzeświejszem, czystsze, a pokój napełniony był światłem, niewiedzieć skąd dochodzącem. Helka wyjrzała przez okno — słońca nie było widać, ale szare, gęste chmury rozsunały się, deszcz ustał, dachy wyschły, a niebo nad niemi błękitniało bladym, jesiennym szafirem.

— Pogoda! — rzekła do ruszającej się jeszcze w łóżku Justysi.

— Chwała Bogu! Rozpakujno kuferek i zrób herbaty.

— Nie wiem, czy zdołam... Stukała już do nas Niunia... Obiecałam, że za pół godziny zjedziemy i pójdziemy razem do doktora Łaski.

— Pół godziny! to można cały obiad ugotować! Masz wodę, spirytus, herbatę... szklanki, widzę, są także... Spieszże się...

Helka w dziesięć minut zrobiła herbatę i obie zasiadły do spożycia śniadania, obiadu czy podwieczorku — nie wiem, jak nazwać właściwie ten posiłek; dość że go spożyły prędko i zbiegły na dół do czekającego na nich Funia.

— Już? — spytał zdziwiony nieco.

— Już...

— To po naszymu... lubię! — rzekł. — Chodźmyż teraz do doktora Łaski... on zwykle do siódmej w domu... A któraż to godzina?

— Wyjął zegarek i spojrzął.

— Po piątej... Chodźmy...

— Pani nie idzie? — spytała Justysia Niuni.

— Nie, pani kochana... jeszcze będę miała czasu dosyć nagadać się...

Wszyscy troje wyszli i skierowali się na te same schody, które do mieszkania Justysi i Helki prowadziły.

— Jakto? wracamy?

— Doktor Łasko mieszka na tem samym piętrze, co i panie.

— Tak? co za zdarzenie!

— Na innym tylko kurytarzu... — objaśnił Funio.

W lewym kurytarzu był pokój panienek, w prawym — doktora Łaski. Zdarzenie to jakieś nieprzyjemne zrobiło wrażenie na obie; nie były jeszcze dość otrzaskane z przypadkami i koniecznością studenckiego życia. Po chwili Funio do drzwi zapukał.

— *Entrez!* — odezwał się jakiś przyjemny głos z pokoju.

Funio nacisnął rączkę, drzwi otworzył i wszedł; za nim z pewną nieśmiałością wsunęły się Helka i Justysia.

W niewielkim fotelu, przy stole, tak zarzucanym stosami papierów, że formalne góry tworzyły, siedział zgarbiony jakiś mężczyzna i pisał. Przy wejściu ich nie odwrócił się.

— Już kończę... kończę — mówił — zaraz,

siadajcie, proszę, tylko książki proszę z kanapki odsunąć... A kto to?

Parę sekund trwało bez odpowiedzi. Czy milczenie zainteresowało, czy ciekawość przeważyła, czy może robota była skończoną, dość, że mężczyzna od biórka się odwrócił i zdumiony, ledwie dostrzeżonym ruchem cofnął się. Nie spodziewał się widocznie odwiedzin kobiet.

Był to mężczyzna dwudziestu dziewięciu — trzydziestu lat może, może o dwa, trzy lata starszy, w całej pełni i energii sił fizycznych i umysłowych; miał kształtną, rzymską głowę, krótko strzyżone włosy i ładną, jasną brodę, która łącznie z bocznym zarostem okalała regularną, delikatną i łagodną twarz. Piękny, poprawny profil, ujmujące, pełne prostoty i godności zachowanie się, nadawały mu cały ton poważnej skromności, pozbawionej wszelkiego pozowania. Był to doktor Łasko.

Podniósłszy się od stolika, zatrzymał najprzód na kobietach pytające spojrzenie, później z dobrym uśmiechem do Funia się zwrócił:

— Znowu tu jesteś? dawno?

Wyciągnął ku niemu rękę na powitanie.

— Dziś rano... i pierwsza moja wizyta — do ciebie.

Doktor Łasko na ten nacisk uwagi nie zwrócił.

— Niechże panie będą łaskawe usiąść.

Robił miejsce na kanapie, usuwając książki,

potem fotel, na którym siedział, przysunął. — Wszystko to chwilę trwało.

— Szanowne obywatelki — zaczęła z górnym nastrojem Funio — przyjechały do Paryża na uniwersytet... i życzyły sobie poznać ciebie...

Nastąpiła zwykła banalnych frazesów wymiana.

Obie dziewczyny były trochę zażenowane wizytą u młodego, nieznanego mężczyzny, ale godziły się z tą przykrą koniecznością, nieuniknioną prawie w koleżeńskim życiu; zresztą wizyta u doktora Łaski dała się łatwo wytłumaczyć listem polecającym, za którego pośrednictwem mogły zasięgnąć potrzebnych wiadomości co do planu uniwersyteckich studyów i kilku wskazówek do zorientowania się w nieznanym mieście. Powaga doktora Łaski i popularne w kraju imię, jako uczonego wielkich nadziei na przyszłość, były dostateczną rękojmią dla czysto towarzyskiego stosunku.

— Przepraszam za nieporządek — mówił tonem tłumaczenia się, usuwając z kanapy niepotrzebne książki.

— Niechże pan sobie nie robi ambarasu...

— Panie dawno z kraju?

— Dziś przyjechałyśmy...

Justysia sięgnęła do kieszeni.

— Mam list do pana...

I list wyjęty podała.

Doktor Łasko przebiegł oczyma adres, potem

powoli kopertę z jednego boku oderwał i na podpis spojrział.

— Od Stacha kochanego — rzekł nieco z rzewnym akcentem dobroci; widocznie, że z imieniem tem była związana spora wiązanka wspomnień.

— Pani go zna?

— O, tak... jest naszym sąsiadem...

— Jakże się cieszę... Cóż on, zdrów? Gospodaruje? Poluje? Dzieciaki pieści? Szczęśliwy...

Zapytania następowały jedno po drugim z pewną żywością, jak takty wybijane, ale z akcentem, w którym czuć było żal jakiś, własną skargę. W zakończeniu: szczęśliwy, odbijało się wewnętrzne echo spokojnej rezygnacji.

— Panie na uniwersytet? — zapytał, czytanie listu skończywszy.

— Tak, panie...

— Szczęść Boże... Kto pragnie światła, znajdzie je tutaj. Gotów będę służyć szanownym paniom wszelkimi wyjaśnieniami i wskazówkami...

— Bardzo będziemy wdzięczne...

— Panie gdzie zamieszkały?

— W tym hotelu właśnie...

— Na tem samem piętrze nawet — dodał Funio.

Uwaga Funia odkryła, zdawało się, pewną tajemnicę przed doktorem Łaską: było to odgądnienie materyalnego położenia przybyłych stu-

dentek, lub przynajmniej skali, według której życie swe uregulować pragną. Co do Helki, nie mylił się, że taka skala była potrzebą, co do Justysi — mylił się o tyle, że środków na wygodne życie nie brakło jej wcale, a ograniczenie potrzeb do minimum było według jej pojęć rodzajem bohaterstwa.

. Na uwagę więc Funia odrzekł tylko:

— A!... — A potem dodał spokojnie: — Będziemy mogli dokładnie o tem pomówić... panie mają jeszcze dwa tygodnie do rozpoczęcia kursów... Tymczasem można się będzie poznać z niewyczerpanymi skarbami Paryża.

Potem, zwróciwszy się do Funia, ciągnął dalej:

— A ty co tutaj robisz?

Funio poważną minę nastroił.

— Pocóż miałem siedzieć w kraju z założonymi rękoma?

— Czy tu lepiej?

— Zawsze coś się kuje...

Doktor Łasko uśmiechnął się; widocznie znał dobrze Funia.

— Raczej leje się powiedz... zawsze tę samą wodę przez ten sam przetak.

— Ty jesteś Tomaszem niewiernym...

— Szczególniej, kiedy niema w co wierzyć...

Żartobliwy nastrój mowy nie dekoncertował Funia; odpowiadał zawsze górnym stylem i z gęstą miną.

— Słyszałem, że się ożeniłeś?— spytał Łasko po chwili.

— Naturalnie...

— Będzie ci trochę trudniej odbywać teraz pielgrzymki...

— Wcale nie... właśnie pierwszą odbyłem, bo przyjechałem z żoną. Zresztą pomyślałem o tem, ażeby żona moja na tej samej drodze pracowała co i ja...

— Uhm — była odpowiedź doktora Łasko. Odpowiedź ta miała jednakże swoje znaczenie, któreby objaśnić się dało domysłem: pewnie jej praca tyle warta, co i twoja. Chcąc jednak te dwuznaczniki pokryć, zapytał:

— Z kimże się ożeniłeś?

— Z Niunią.

— Z Niunią? Doskonale! przecież znam twoją żonę...

— A tak... Ona dopełniła Marxa.

— Tak... tak... tak... dopełniła...

Poczem zerwał się Funio z krzeselka i kapelusza szukać począł.

— No, kochany doktorze, jeszcze zobaczymy się nieraz — na dziś... rozmawiajcie sobie pięknie, a ja was pożegnam, muszę pędzić na *St-Antoine*... Polecam twojej opiece panie... Każda z nich, osobno wzięta, jest doskonałym materyałem na społecznego człowieka...

Doktor Łasko z pobłażliwą poufałością po ramieniu go poklepał.

— Tak się górnie wyraziłeś, przyjacielu, że zgubiłeś sens...

Funio udał, że nie słyszy uwagi i żegnać się począł.

— No, do widzenia, do widzenia! — mówił prędko, zamaszycie ściskając ręce — nie ma czasu... roboty huk... huk... huk...

Justysia i Helka wstały także.

— I my panu doktorowi przeszkadzać nie będziemy... Przy sposobności zasięgniemy jeszcze rady pana...

Doktor Łasko nie zatrzymywał. Funio nie czekał wyjścia panien, pożegnawszy się, wyleciał jak z procy.

— Dobry człowiek — zauważył łagodnie doktor Łasko — ale nadto ruchliwa natura...

W tej uwadze czuć było myśl niewypowiedzianą.

Helka odgadła usposobienie i charakter Funia, na uwagę więc doktora Łaski uśmiechnęła się ledwie widzialnym, wyrozumiałym uśmiechem, i pod wrażeniem tego uśmiechu mieszkanie doktora opuściła. Już będąc na swoim kurytarzu i drzwi do pokoju otwierając, rzekła do Justysi:

— Przecież natrafiliśmy na poważnego człowieka, który z pewnością będzie nam pożyteczny.

— Zdaje się...

Od czasu wizyty u doktora Łaski kilka dni minęło. Funio i Niunia opuścili *Hotel du Globe* i, dla ułatwienia sobie pracy, jak mówili, przenieśli się na przedmieście *St-Antoine*, a dziewczęta, uzupełniwszy swoje domowe gospodarstwo, rozglądały się po Paryżu. Wracały właśnie około południa z galeryi obrazów w *Louvre*, kiedy na moście, dotykającym *Boulevard St-Michel*, spotkały doktora Łaskę. Zegar pneumatyczny pokazywał południe.

Po przywitaniu zawiązała się zwyczajna, okolicznościowa rozmowa:

— Panie z wycieczki po mieście?

— Tak... byliśmy w galeryi obrazów...

— I z przybytku sztuki idziemy wprost do garkuchni — dodała Helka.

— Zwyczajny ludzki obowiązek... Panie gdzie jadają?

— Jadłyśmy parę razy u Duvala, na *Boulevard St-Michel*...

— Ja znajduję — wtrąciła Helka — że Duval na moję kieszeń za drogi... Justysia może sobie na takie przyjemności pozwalać, ja zrujnowałabym się w ciągu miesiąca.

Szczerłość i prostota, z jaką to wypowiedziała, ujęły doktora Łaskę.

— Pani za jaką cenę potrzebuje obiadu?

— Choćby za cztery *sous* — rzekła żartobliwie.

— Widzę — rzekł doktor Łasko — że my mamy

bardzo równe wymagania kulinarne... Jeżeliby pani życzyła sobie, mógłbym polecić bardzo tanie restauracye i... dosyć znośne.

— Bardzo proszę...

— Tylko, że restauracye takie nie mają pięknych szyldów, mieszczą się w kątach wcale nieponętnych i nazywają się po prostu *crèmerie*...

— Ależ, panie, takiej kopalni szukam właśnie...

— Mam dwie, do których sam uczęszczam: Polydora na *rue Vaugirard* i M-me Gigot na *rue des Ecoles*. Wprawdzie dłużej, jak miesiąc, w żadnej z tych restauracyi nie jadam, ale zachowuję kolejkę: miesiąc u Polydora, drugi u M-me Gigot. Jeżeli panie sobie życzą, możemy pójść do Polydora, teraz właśnie kolej na niego.

— Co do mnie, zgadzam się chętnie; a ty, Justysiu?

— Chodźmy. Dlaczegożbym się zgodzić nie miała?

— Ażebyś nie pożałowała.

— O, nie.

W kilka minut potem wszyscy wchodzili po kolei do *crèmerie* Polydora. Już wchodząc, doktor Łasko rzekł Helce:

— Trzeba żądać *ordinaire*... jest to jeszcze najlepsze ze złego...

Ordinaire był to obiad całkowity, niezmiennie składający się z talerza zupy, sztuki mięsa i nieco jarzyny, a kosztował tylko czterdzieści cen-

tymów. Jeszcze całe towarzystwo siedziało przy zupie, kiedy drzwi otworzyły się nagle i wbiegł jakiś zaaferowany mężczyzna; był to słuszny szatyn, kształtny, giętki, z podstrzyżoną w dwa kliny brodą, pięknymi, ruchliwymi oczyma.

Witając się serdecznie z Polydorem, gościom przypatrywał się. Dostrzegł doktora Łaskę i ku niemu się zbliżył.

— Funio przyjechał... widziałeś go pan? — zapytał tajemniczo.

— Więc?

— Dziwi mnie to, że się do mnie nie zgłosił... Już cały Paryż mówi o jego przyjeździe... Chciałbym — ciągnął dalej, nachylając się do ucha doktora Łaski i szepcząc — ważnych wiadomości mu udzielić i przytem...

— Jeszcze coś ważnego? — spytał doktor Łasko żartobliwie.

— Jak dla pana, nic: posiedzenie robotniczego towarzystwa międzynarodowego.

— Wzajemnej blagi?...

— Pan zawsze swoje! — tonem wspaniałomyślnej tolerancyi mówił przybyły — ja tylko nie mogę zrozumieć, jakim sposobem pan idealizm swój godzisz z pesymizmem.?

— Bardzo prosto — odrzekł doktor Łasko spokojnie — przy pomocy zdrowego rozsądku.

Przybyły spoglądał na panienki okiem Don-Żuana, i do zbliżającego się Polydora, wysokiego

i chudego, jak tyczka, rzekł:

— *Ordinaire, s'il vous plaît.*

— Jakto? Pan już na *ordinaire* schodzisz?

Nieznajomy uśmiechnął się dwuznacznie, na doktora i na panienki spoglądając.

— Koniec miesiąca — szepnął.

Kiedy nieznajomy zdejmował palto i zawieszał na haku, Helka zwróciła się do doktora Łaski:

— Dziś rano widziałam Niunię... Mówiła mi, że wzięli mieszkanie na *rue des Mendiants*, numer czterdziesty czwarty...

Nieznajomy zasłyszał ostatnie wyrazy.

— W tym lokalu mieszkał rok temu Funio — rzekł.

— Właśnie panie mówią, że i teraz tam mieszka.

Nieznajomy do doktora Łaski się zwrócił:

— Niechże pan będzie łaskaw przedstawić mię paniom...

— Bardzo chętnie: pan Derdidias, student, zapisany na medycynę, ale nie uczęszczający na kursa z braku czasu, wybitna jednostka wielkiego niemieckiego narodu, spadkobierca bankowego domu w Berlinie po najdłuższem życiu ojca, członek ligi swobody pracy, co się tłumaczy w ten sposób, że jedni powinni pracować, czy chcą, czy nie chcą, a drudzy — kiedy im się podoba, członek wielu innych towarzystw, uznanych i tajnych, i tak dalej, i tak dalej.

Derdidas, witając się z Justysią i Helką, chcąc w żart obrócić całą rozmowę — rzekł z uśmiechem:

— Gotów pan ze mnie zrobić wielkiego człowieka.

— O, niech się pan nie lęka... pan już jesteś nadto... wielkim... nie do tej wielkości nie potrafiłbym dodać.

Obiad zakończył się filiżanką czarnej kawy za trzy *sous*, poczem wszyscy wyszli. Derdidas pożegnał się natychmiast i przyspieszonym krokiem pobiegł do tramwaju, aby co prędzej z Funiem się zobaczyć; doktor Łasko z Helką i Justysią wracali razem. Już byli w bramie wjazdowej, prowadzącej do *Hotel du Globe*, kiedy Helka spytała:

— Kiedy będziemy mogli być u pana?

— Zawsze jestem do usług... a jeżeli panie mają czas wolny, proszę dziś o piątej...

— Dobrze, skorzystamy z łaskawego pozwolenia...

Na mansardach pożegnali się szczerze i rozeszli — doktor Łasko na prawo, panienki — na lewo.

— Rada jestem bardzo, żeśmy się z nim poznały... widać, że człowiek seryo... Powiedz, cobyśmy były robiły z listami polecającymi do Niuni i Funia?

Justysia nie odpowiadała.

— Jeździliśmy do Derdidasa do Zurychu — rzekła po chwili Justysia — a tu wypadek go razem z nami sprowadził.

— Ot, wiesz, zdaje mi się, że nie omyliłam się, zaliczając przesławnego Derdidasa do tej samej kategorii, co i Funia.

Justysia odpowiedziała zupełnie w inną myśl.

— Uważałaś oczy jego i brodę? Ach! oczy, oczy! Nie można się napatrzeć na nie!

Helka poważnym wzrokiem spojrzała na przyjaciółkę, jakby sobie wytłómaczyć chciała zagadkę zachwytu, potem rzekła spokojnie:

— Oby ci te oczy uczyć się nie przeszkodziły!

— O, nie.

Helka i Justysia, przed przyjazdem swym do Paryża nie stykały się nigdy z życiem studenckiem, które teraz prowadzić musiały. Wychowane po zaściankach, jak wilczęta, oddychające na pensyi już tą gorączkową atmosferą, przesyconą nieokreślonym pragnieniem czynów, działalności, nauki, chęcią zerwania z tradycją, wiążącą kobietę do ogniska domowego, życie to znały z opowiadań, z przecucia, uzupełniały je fantazją, tworzyły sobie własne, ekscentryczne pojęcie postępowania. Helka, poważniejszego umysłu, praktykom nowego życia oddawała się z wielką naturalnością, znajomości zawierała ostrożnie; Justysi daleko trudniej przychodziło miarę właściwą utrzymać: czasem zapominała, że jest

kobietą, że poza swobodnym, koleżeńskim stosunkiem z mężczyznami pozostaje coś jeszcze, co powinno być nietylko w każdym czynie, ale w każdym ruchu, w każdym słowie widocznem — godność niewieścia. Ona to jest balastem, utrzymującym równowagę na śliskiej drodze codziennego stosunku, jest pasem neutralnym pomiędzy dwiema płciami, który koniecznie poszanować należy. Wadą prawie powszechną dotychczas kształcących się na uniwersytetach kobiet jest naśladowanie koleżeńkiego stosunku mężczyzn, czyli, mówiąc inaczej, pominięcie owego pasu neutralnego. Ile to rozczarowań przynosi, wiedzą tylko te, które następstw takie ekscentryczności na sobie doświadczyły. Im także zdawało się, że równouprawnienie polega na formie i da się przeprowadzić z pominięciem wszelkich praw przyrodzonych; że dość jest tak samo mówić, chodzić, grać w bilard, pić wino, piwo, i śpiewać nieraz takie same piosenki, aby mieć wszelkie prawa do równouprawnienia. Jeżeli w dodatku do tego uczyły się tych samych nauk, co mężczyźni, już według swego widzenia rzeczy dopełniły wszelkich zadań i obowiązków, ciężących na kobiecie. Nawiasem powiedziawszy, znamionuje to tylko pewną płytkość umysłową i często nie jest wadą ani charakteru, ani serca.

Podobną bardzo teorią postępowania prędko przyswoiła sobie Justysia. Ona z rozmysłem szu-

kała nowych, nieznanym sobie wrażeń, skazywała się na mieszkanie na *mansardzie*, na jądanie obiadów po ośm *sous*, ażeby mieć przyjemność robienia tego samego, co robi większość kształcącej się o głodzie i chłodzie męskiej młodzieży. Pochlebiało jej próżności jadać obiad w tej samej *crémérie*, w której zasiadali doktor Łasko, Funio, Derdidias i inni. W takiej pogardzie wykwintnej strony życia przebijało się niezaprzeczenie pewne bohaterstwo, wyrażające się lekceważeniem zwierzęcej strony życia, pewna siła, umiejąca zapamięnować nad własnym przekonaniem — ale sprężyna poruszająca była mała, cienka i nadto elastyczna.

Wkrótce po przybyciu pańienek do doktora Łaski, pokazało się, że obie nie miały dostatecznych kwalifikacyi do wstąpienia na uniwersytet.

— Oczywiście, utrudni to paniom bardzo zadanie — rzekł po namyśle. — Ale — ciągnął dalej — jest to jeden z błędów, którego najczęściej dopuszczają się kobiety, pragnące specjalnych studyów w uniwersytecie. Źle sobie po prostu tłómaczą wolność nauki. Zdobyć można wszystko, ale kosztem funduszu i czasu, a nie wszystkie oba te środki mają do dyspozycyi: stąd wynika, że zdobywają tylko trzecią część tego, coby w danym czasie zdobyć można; większość, podsmaliwszy sobie skrzydełka, jak komary, lecące

do ognia w lecie, wraca do domu rozczarowana, lub zwichnięta.

Nastąpiły odpowiednie wyjaśnienia, bo pokażało się, że Justysia zdecydowała się na medycynę, musiała więc zacząć od „przyrody“ i od egzaminu do egzaminu dążyć pomału do *licence es science*. Helka wybrała sobie *faculté de lettres* i tak samo, przez wszystkie szczeble egzaminów, musiała podążać do *licence es lettres*. Po rozmowie, omawiającej specjalne kwestye, doktor Łasko zauważył spokojnie:

— Długa to droga... ale do przebycia.

W głosie jego było trochę zwątpienia.

— Pan jesteś, zdaje się, nieprzyjacielem nauki dla kobiet? — spytała Justysia.

— O! wcale nie! Ale jestem przyjacielem poważnej nauki. Dla nas mężczyzn nauka jest taką zwyczajną, konieczną potrzebą, że uważamy ją jak wodę, powietrze, światło. Kobiety z nauki robią coś nadzwyczajnego, bawią się jej powagą, uważają za coś równie tajemniczego, jak egipcscy kapłani hieroglify. Zdaje się im, że jak tylko się dotkną świątyni, to już cały świat, a przynajmniej własna społeczność powinna je otoczyć aureolą chwały, otworzyć wszystkie wrota przed nimi — i biada, jeśli tego nie uczyni. Krótko mówiąc, dla nas nauka jest obowiązkiem, dla większości uczących się pań — modną rozrywką,

połem, na którym ekscentryczność znajduje pewną wyrozumiałość.

Justysi bardzo nie przypadły do smaku poglądy doktora Łaski, ale nie miała odwagi wszczynać dyskusyi. Śmiałe jego sądy ten tylko miały skutek, że zraziły dziewczynę, która może w cichości duszy czuła żal do niego za odgaśnięcie jej usposobienia i myśli. Od ostatniej bytności minęło dni kilka. Dziewczęta korzystały z wolnego przed wykładami czasu i zwiedzały wszystko, co się tylko zwiedzić dało — a było bardzo wiele, co ich ciekawość zaspokajało i podniecało. Przez ten cały czas uniknęły nawet spotkania się z Funiem i Derdidasem. Doczekały się nareszcie otwarcia kursów i do Sorbony poszły. Zdziwienie ich było wielkie. Do wyrazu *uniwersytet* przywiązuje się zawsze jakieś imponujące, wielkie pojęcie; mimowolnie identyfikuje się wyobrażenie wielkości i powagi nauki z wielkością gmachu uniwersyteckiego. Chciałoby się go widzieć takim przynajmniej, jak w Wiedniu, w Berlinie, w Kijowie nawet: poważnie surowym, z amfiladą ciężkich, niekształtnych doryckich kolumn, przypiętą do głównego frontonu — a tu zupełnie co innego! Sorbona miała tylko dziedziniec Richeliengo wspaniały, zresztą była gmachem szarym, brudnym, starym, niekształtnym, noszącym na sobie ślady długiego życia i licznych przebudowań.

Przed wejściem do sali, siedzący przy stoliku *appariteur* podsunął im pióro i do rozwartej książki kazał swoje imiona wpisać. Sala, w której się odczyt miał odbyć, mała, niska, ciasna, ciemna, bez żadnych nowożytnych urządzeń, mających na celu wygodę i higienę, zdawało się, że najmniej pięć wieków dźwigała na sobie, taki miała schorzały, pogiębiony wygląd. Nieśmiało obrzuciły okiem salkę i usiadły na ławeczce, na której najwięcej było wolnego miejsca. Sala napełniała się co chwila. Dziewczęta ciekawie rozglądały się naokoło, krzyżowały się ze spojrzeniami kolegów w surdutach, ku drzwiom otwierającym się patrzyły.

Znowu drzwi skrzypnęły i na progu ukazał się Derdidas; stanął, jakby się pragnął w całej okazałości przedstawić i oczyma szukał miejsca dla siebie. Spojrzenia jego skrzyżowały się z Justysią; dziewczyna uczuła jakieś mimowolne drżenie i głowę schyliła do kajetu. Derdidas poważnie skierował się do wolnego miejsca przy Justysi, unikanego przez innych poprostu w chęci nieżenowania nieznanym kobiet, i głośno usiadł. Justysia chciała nadać sobie więcej swobody i głowę od kajetu podniosła. Derdidas skorzystał z tego i przywitał się.

— Będę miał przyjemność kolegować z panią?

— Zdaje się...

Rozmowę przerwało wejście profesora, za

którym słychać było szczełk klucza w zamku — to *appariteur* salę zamknął; dla spóźnionych sala była już niedostępna, dla zamkniętych w niej — więzieniem.

IV.

Na wykładach słuchacze Sorbony zachowywali zwyczaj, wszędzie przestrzegany: prawie wszyscy siadali na tych samych miejscach, na których raz przypadkowo usiedli. To samo stało się z Helką, Justysią i Derdidasem. Helka nie była wcale zadowolona z tego sąsiedztwa, traktowała Derdidasa chłodno i z daleka; ale Justysia, zdawało się, pragnęła mu nagrodzić obojętność przyjaciółki. Derdidas szukał bardzo chętnie sposobności rozmawiania z Justysią i sposobności tej nie zabrakło mu nigdy. Po kilku wykładach, wspólnie na jednej ławie spędzonych, pierwsze lody były przełamane — zbliżył ich kałamarz.

Kiedy profesor wykłady rozpoczął, a Justysia miała już przygotowany kajet i pióro, zaczęła szukać kałamarzyka kieszonkowego, który zwykle miewała przy sobie. Szukała go po wszystkich kieszeniach po kilka razy z taką ostentacją, że nareszcie Derdidas domyślił się o co chodzi, tembardziej, że, nie znalazłszy go, z rezygnacją położyła na kajecie pióro. Helka pisała ołówkiem.

Derdidas dostrzegł gorączkowe ruchy Justysi i kałamarz swój z ugrzecznieniem ku niej pod-

sunął. Justysia ledwie kiwnęła mu głową, ale w tym ruchu było takie słodkie podziękowanie, że Derdidas, skrzyżowawszy ręce na piersi po napoleońsku, patrzył w profesora i słuchał niby, — w istocie zaś ani patrzył, ani słuchał, lecz myślał o pięknej sąsiadce, która mu jednym, ledwie dostrzeżonym uśmiechem spokój odebrała. Po skończonym wykładzie nastąpiło oddanie kałamarza, podziękowanie i — przeprosiny; w ten sposób rozmowa była niejako konieczną.

Derdidas owo zapomnienie przez Justysię kałamarza wziął na seryo, bo odtąd nie omieszkiał nigdy przychodzić na wykłady, zaopatrzony nie tylko w kałamarz, ale w pióro, papier i ołówek, jakby spodziewał się, że zawsze cokolwiek zapomnianem będzie. Trzeba mu przyznać spryt pewien, czy instynkt: odgadł ukryte chęci. Justysia stała się taką roztrzepaną, że regularnie do każdego wykładu zapominała kałamarz, pióra albo papieru; pretekstu więc do rozmowy nie brakło, a rozmowa coraz była dłuższą, podziękowania coraz szersze. Ku powszechnemu zdziwieniu, Derdidas stał się także pilnym i na wykłady akuratnie uczęszczał, a nawet robił notatki. Miało to swoją dobrą stronę: ułatwiało siedzącym obok siebie Derdidasowi i Justysi uzupełnienie notatek zaglądaniem wzajemnem do kajetów; przy tej sposobności często bardzo mimowolnie zaglądało się i w oczy.

Widocznem było, że młodzi ludzie podobali się sobie. Derdidas nie zadawałniał się lakonicznymi rozmowami na wykładach w Sorbonie, lub w powrocie do domu; zaczął uczęszczać na obiady do Polydora, gdzie miał sposobność częściej widywać się z Justysią i dłużej rozmawiać. Oczywiście, że wizyty u Polydora nie mogły obejść się bez spotkania się z doktorem Łaską, który na motywach, kierujących temi wizytami, poznał się łatwo.

— Widzę, że się panu *ordinaire* podobają... coraz częściej zaszczycasz Polydora... — rzekł raz, przyszedłszy nieco wcześniej i zastawszy już siedzącego przy stoliku Derdidasa.

Derdidas brodę poważnie gładził.

— Ha! co pan chcesz... Człowiek ma piękniejsze zadania i cele na świecie, niż napychanie brzucha smaczniemi potrawami...

— O, pewnie...

— Człowiek dla potrzeb ducha... — wtrącił Derdidas.

Doktor Łasko w słowo mu wpadł:

— Zapomina o pieczeniu... prawda?

Derdidas zmieszał się trochę.

— Pan jesteś zawsze cierpki...

— Dłużej od pana jadam *ordinaire*, które, pan wiesz, do najlepszych obiadów nie należą; nic też dziwnego, że czasem uspasabiają cierpko...

Przyniesiono zupę i obaj do jedzenia zabrali

się. Derdidas siedział niespokojnie, oglądał się, niecierpliwił,—widocznie czekał na Justysię, która nie przychodziła. Skończywszy zupę, doktor Łasko niechętnie rzucił okiem na ławeczkę i wpadła mu w oko plika książek Derdidasa.

— Cóż to za foliały? Uczysz się pan?

Derdidas ruch zaferowany ręką zrobił.

— Książki... atlasy... obrzydło mi to wszystko... ale mam niezadługo egzamin z anatomii...

— Uczęszczasz pan na wykłady?

— I pilnie do tego...

— Do Sorbony?

— Do Sorbony także.

W tej chwili weszły Justysia i Helka; rozpoczęły się przywitania, potem zjawiała się tyczkowata figura Polydora, który okruszyny ze stołu serwetą zmiatał. W trakcie obiadu Derdidas znowu głos zabrał, zwracając się do Justysii i Helki:

— Dziś rozpoczynają się odczyty Flammariona w Trocadero... panie nie wiedzą?

— Ja pojedę — wtrąciła Justysia.

— Czy to z historyi filozofii? — spytała złośliwie Helka.

Justysia szczerwieniła. Za poradą Funia zapisała się była na historią filozofii, na której ani razu jeszcze nie była. Po chwilce milczenia głos zabrała:

— Na historią filozofii będę miała dość czasu, a Flammariona mogę drugi raz nie posłyszeć...

Zwróciła się do Derdidasa.

— Pan będzie?

— Niezawodnie...

— O której rozpoczyna się wykład?

— O siódmej.

— Jeżeli pan ma zamiar być, proszę przyjść do mostu Henryka... stamtąd pójdziemy *mouché*'a...

— Dobrze...

Obiad się skończył i jadłodajnia Polydora opróżnić się poczęła. Derdidas pożegnał się i gdzieś na miasto poleciał, a Helka, Justysia i doktor Łasko wracali razem do *Hôtel du Globe*. Justysia była nachmurzona i milcząca; widocznie, że wtrącanie się i uwagi Helki nie podobały się jej; Helka rozmawiała z doktorem Łaską. Dziewczęta weszły do swego pokoju, nie mówiąc ani słowa; wzajemne niezadowolenie było nadto widocznem. Helka usiadła w foteliku przy stole, książkę do rąk wzięła, ale nie czytała: snadź myśli, które ją opanowały, odrywając uwagę od książki, skupiały ją na czem innem. Justysia przy oknie stała i, bokiem zwrócona ku Helce, w milczeniu na dachy i kominy patrzyła. Chwila tego niemego natężenia trwała dość długo. Nareszcie Justysia odwróciła się od okna i ku Helce spojrzenie skierowała.

— Wiesz, Helko, mogłabyś względem mnie oszczędzić trochę purytanizmu...

Głos Justysi drżał gniewem, źle hamowanym.

Po tej uwadze, przyjaciółki zmierzyły się spojrzeniem: w jednym błyszczał gniew, w drugim — oburzenie. Obie odgadły, o co rzecz idzie.

— Nie wiem, czego chcesz... — odrzekła chłodno na pozór Helka.

— Wiesz... chcę, abys kontrolę swoją mniej nademną rozciągała... Mam swoje zasady, według nich chcę postępować i nie pozwolę nikomu wtrącać się do mnie.

Helka pohamowała się i odrzekła spokojnie:

— Nie pragnę wcale kontrolować ciebie... ale nie mogę nie widzieć niewłaściwości twego postępowania. Poważne rzeczy trzeba poważnie traktować: przyjechałaś uczyć się — ucz się na seryo! Bawiąc się lekkomyślnie na rachunek nauki, szkodzisz sobie i innym: powiedzą, że przyjeżdżamy tutaj dlatego tylko, ażeby za plecami matek swobodniej strzelać oczkami na wszystkie strony. Możesz się na mnie gniewać lub nie, ale powiem ci prawdę, że po to, ażeby się przerzucać spojrzeniem z jakimś Niemczykiem, nie warto było jechać do Paryża...

Na twarzy Justysi wystąpiły rumieńce gniewu.

— Ja nie patrzę wcale, dokąd biegną twoje spojrzenia...

— Szkoda, że nie patrzysz... dopatrzyłabyś się, w jaką stronę...

— Mało to mnie interesuje... a jednak wiem, w jaką!...

— Sama ci powiem: do sadyby w Makosiejach...

Rozmowa przerwała się; dziewczęta zamilkły, ale pośród milczenia czuć było w pokoiku atmosferę gniewu. Helka nie ruszała się od stolika, czytała, a Justysia krzesło sobie postawiła przy oknie, wzięła do rąk *Germinal* i także czytać poczęła. Z początku odrywała wzrok od książki, spoglądała na kawałek błękitnego nieba, rozpięty ponad dachami i kominami domów, później czytała coraz namiętniej. Zegar na wieży *Notre-Dame* wybijał godzinę po godzinie, a Justysia, zdawało się, uwagi na to nie zwracała.

Nareszcie w pokoju zrobiło się szaro, a zegar szóstą wydzwonił. Justysia zamknęła książkę, na kolanach położyła i zasłuchała się w szum daleki, którym drżało bezustannie powietrze. Zegar wydzwonił półgodziny. Justysia wstała szybko, narzuciła płaszczyk, kapelusz, wzięła parasol, zwinęła w rulonik kajet, włożyła do środka ołówek — i do wyjścia była gotową.

— Idę... — rzekła, wychodząc — pojedę do Trocadero...

— Szczęśliwej podróży...

— Dziękuję...

— Tylko... nie zapomnij ołówek i papieru...

Justysia odgadła alluzją i z nachmurzonym czołem pokój opuściła. Za odchodzącą Helka nie odwróciła głowy. Już był wieczór, latarnie zapa-

lono, kiedy Justysia przez *Boulevard St-Michel* ku Sekwanie podążała. Szła gniewna, rozdrażniona, obrażona, i mimowolnie o Derdidasię myślała. Podobał się jej — czyż to była jego, albo jej wina? Nie mogła przebaczyć Helce, że go pogardliwie Niemczykiem nazwała. Co się z tej dziewczyny zrobiło? Skąd się wziął w niej taki ciasny pogląd patryotyczny, który każe narodowi pokutować za winy rządów? Co winien Derdidasi, że Bismark urodził się wilkiem, który rozkoszuje się w krwi ciepłej? Uważała Derdidasa za pokrzywdzonego przez przyjaciółkę, i w obec samej siebie starała się go bronić. Coś ją przyciągała do tego pięknego młodzieńca. Taki jest charakter natury ludzkiej, że wszystko zabronione, tajemnicze, poniżone, pociąga jeszcze bardziej ku sobie.

Pod wrażeniem tych myśli Justysia zbliżała się do *Quai St-Michel* i wpatrywała się w oświetlone wybrzeże, czy nie dojrzy postaci Derdidasa. Pomędzy szarymi pniami platanów migwały i krzyżowały się rozmaite postacie, ale znajomej dojrzeć nie mogła. Wiatr ledwie dosłyszalnie poruszał wysokimi koronami drzew, i za każdym szelestem gałązek spadały powolnie, balansując w powietrzu, szerokie, blade-złote, prążkiem purpury otoczone liście, i słały się na chodniku wybrzeża. W dole przebłyskiwała brudnym, czarnym połyskiem Sekwana, i regularnie co kilka minut mi-

gało światełko *Mouche* lub *Hirondelle*, i ciągnęło się wężykiem aż do przystani.

Justysia zbliżała się do stacyi parostatków, kiedy dostrzegła wyniosłą postać Derdidasa z głową na dłoni, z łokciem opartym o kamienną balustradę wybrzeża; patrzył na *Nôtre Dame* i w głębią rzeki, profilem z jednej strony zwrócony ku Sekwanie, z drugiej do chodnika wybrzeża. Zdawał się być głęboko wzruszonym, zamyślonym, smutnym; oczy zamknął, do połowy ręką zasłonił, i w takiej posągowej postawie zatrzymywał na sobie spojrzenia wszystkich przechodzących dam. Lepiej znające się na ludziach widziały tylko pozę romansowego bohatera, drapującego swoje serce w purpurę fałszywej boleści.

Justysia, dojrzawszy go zdaleka, doświadczyła jakiegoś ściśnięcia serca i, ażeby mózdz lepiej zapanować nad sobą, zwolniła kroku; chciała mu dać czas zbudzić się z zamyślenia. Ale Derdidas, zdawało się, skamieniał: zatopiony sam w sobie, nie widział nikogo. Justysia zbliżyła się ku niemu lekko, jak motyl, stanęła i budzić go z tego zamyślenia bała się. Światło od gazowej latarni, wprost na twarz mu padając, rzucało na nią jakąś pełną uroku i tajemniczości powłokę. Chwilkę wpatrywała się w niego z jakimś drżeniem wewnętrznem — nareszcie zdecydowała się przemówić.

— Dobry wieczór panu... — rzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

Derdidas powoli rękę odjął i napół błędnem okiem na dziewczynę spojrzął, uśmiechnął się potem i rękę wyciągnął.

— Dobry wieczór... Myślałem, że pani nie przyjdzie...

— Mówiłam przecież...

— Zdawało mi się, że przyjaciółka pani nieco samodzielność jej krępuje...

— O, wcale nie! — odrzekła z akcentem uporu. — Nie spóźniliśmy się? — odrzekła potem.

Derdidas spojrzął na Sekwanę; właśnie z pod mostu wypływała *Mouche*.

— Nie... Schodźmy zaraz...

Za chwilkę zeszli i na pokładzie statku w tłumie znikli.

Pojechali oboje w jakimś rozgorączkowanym, nerwowem usposobieniu; jesienny chłód nad wodą uspokoił nieco gorączkę. Za mostem, prowadzącym z Passy do Marsowego pola, statek zatrzymał się. Derdidas podał rękę Justysi i powoli pod górę podążali do Trocadero; wchodzili właśnie do głównych drzwi, kiedy zegar siódmą wybijać począł.

— Nie spóźniliśmy się — rzekł Derdidas.

— Mało brakło...

Po tej zamianie kilku słów, do sali wykładowej weszli. Ponieważ odczyt Flammariona

o gwiazdach spadających do treści opowiadania niepotrzebny, — możemy pozwolić go wysłuchać spokojnie Justysi i Derdidasowi.

Godzina, którą tam spędzić mieli na słuchaniu rzeczy poważnych, zdawało się, że uspokoi nieco rozkołysane marzeniem głowy; ale nie stało się tak wcale. Ledwie się wykład zakończył, Justysia, wychodząc na kurytarz, rzekła pospiesznie:

— Ach! jakże tam było okropnie gorąco!...

Poczęła sforsowaną piersią wciągać powietrze.

— Pójdźmy ochłodzić się na galeryą...

— Pójdźmy...

Wspaniała galerya, łukiem otaczająca Trocadero, wydała się im rajem, po opuszczeniu sali wykładowej; było tu świeżo, zacisznie, wygodnie. Derdidas przysunął do samej balustrady stolik i krzesła i ustawił je naprzeciwko siebie. Jeszcze nie usiedli, kiedy zjawił się wyfrakowany lokaj, któremu Derdidas polecił przynieść dwa syfony limoniady, aby coprędzej temperaturę wykładowej sali zrównoważyć.

Derdidas pił limoniadę zamyślony; oparł się o balustradę w takiej samej postawie romansowego bohatera, jak na *Quai St-Michel*, wpatrywał się w oświetlony Paryż, nad którym wisiała wielka, jasna atmosfera gazu, wsłuchiwał się w jego oddech, dolatujący z daleka jednostajnym szmerem. Na Sekwanie migwały ciągle, jak błędne

ogniki, łodzie parowe, poza któremi włókił się długi ogon iskier.

— Czego pan dzisiaj taki zamyślony, taki smutny? — spytała z pewnem współczuciem Justysia.

— O! pani! — rzekł z nieco patetycznem zacięciem — nasuwa mi się jedna uwaga z powodu gwiazd spadających...

— Jaka?

— Nietylko na niebie, ale i na ziemi są gwiazdy spadające...

Justysia czekała na dalsze wyjaśnienie, nie domyślając się, o co chodzi Derdidasowi.

— Jest to moja teorya — ciągnął dalej, w poetycznym nastroju będący Derdidas — nie da się ona wprowadzić pogodzić z teoryą astronomiczną, ale do przekonania mi trafia... Czasem przelatuje po ziemi jakaś gwiazda... Bóg wie, skąd się wzięła, Bóg wie, dokąd leci, gdzie spadnie; a jednak, lecąc, krawędzią swoją zaczepia o naszą duszę i oświecla ją...

Mówiąc, przymglonym wzrokiem spoglądał na Justysię.

— Prawda, pani?

Justysia nie odpowiadała.

Derdidas jeszcze poważniejszy ton przybrał.

— Niech pani tego, co mówię, nie bierze za komplement... Pani sama, należąc do socjalistycznej partji, wiesz dobrze, jak my wysoko sta-

wiamy kobietę w społeczeństwie, nadto wysoko, ażeby ją karmić cukierkami i komplementami... Ona ma w społeczeństwie tak wybitne zadanie, takie piękne cele, że... że... powinna być wolną od ocukrzonych nadskakiwań... Ona powinna kochać nie tego, kto słodkimi frazesami głowę jej zawraca, ale kogo wybierze jej rozum, kogo przeczuje dusza... Dla mężczyzny jest to samo prawo, co i dla kobiet... Krótko mówiąc, kobieta, którą się kocha, spada w naszą duszę, jak gwiazda, i oświeca ją...

Justysia drżała pod wpływem tych słów; nie rozumiała dobrze ich znaczenia, a jednak czuła, że słowa te sprawiały jakby zamęt jakiś w jej głowie, jak młotem uderzały w serce, odurzały ją. Derdidas wielkie błękitne oczy otworzył na Justysię.

— Prawda, Justysiu? — pytał.

Pierwszy raz z ust mężczyzny posłyszała imię swoje wymówione tak, jak je wymawiała matka; coś ją dotknęło, oburzyło może.

— Proszę tak do mnie nie mówić...

Derdidas tonem obrażonej wyższości odrzekł:

— Przepraszam, myślałem, że pani stosunek koleżeński bierze z poważnej strony, bez sentymentalizmu... My, kiedy godzimy się ze sobą duszami, nie ważymy słów na szali towarzyskiej etykiety; mówimy szczerze i prosto: Janie, Funiu... ty... Przepraszam... myślałem, że pani, jadąc

na uniwersytet, już się trochę panięńskiej, pensyonarskiej grzeczności pozbyła...

Głos Derdidasa przybierał intonacją takiej głębokiej powagi, że Justysia bronić się nie potrafiła; nie wiedziała, gdzie jest prawda, a gdzie szelest cicho pełzającego węża. Powstała więc od stolika i rzekła spokojnie:

— Chodźmy już.... boję się, ażebyśmy nie spóźnili się na statek...

— I owszem, chodźmy.

Spojrzał na zegarek.

— Dziewiąta blisko...

Na te słowa „dziewiąta blisko,“ Justysia poczuła jakby jakiś wyrzut sumienia, lęk jakiś ją opanował. Przyszła do świadomości tego, że w nocy, daleko od domu, jest samą z mężczyzną mało znanym. Nieraz przybłyskiwało jej w umyśle poczucie jakby obrażonej godności niewieściej, pojęcie jakieś niejasne o lekkomyślności, mogącej mieć jak najgorsze następstwa; z drugiej strony czuła się pod wpływem słów i spojrzeń Derdidasa. Była to walka ducha z krwią.

Pod wpływem takich wrażeń opuścili Trocadero. Załedwie kilkadziesiąt kroków zrobili do stacyi łodzi parowej, ciemność była coraz większą: latarnie stały rzadziej, a po nad skwerem, dotykającym, a raczej okalającym Trocadero, jakby była rozwieszoną gęsta zasłona mgły.

— Niech mi pani poda rękę... — rzekł Derdidas... — ciemno...

— Ciemno... śpieszmy...

Justysia, podawszy ramię Derdidasowi, czuła, że drży czegoś i nie miała siły tego drżenia powstrzymać; zdawało się, że samo dotknięcie się Derdidasa w stan febryczny ją wprawiło. Czegoś bała się — i nie wiedziała czego.

— Chodźmy przez skwer... bliżej będzie... — zauważył Derdidas.

Justysia w kierunku skweru spojrzała.

— Tam ciemno bardzo... głucho...

— Boi się pani? — spytał Derdidas złośliwie.

Dziewczyna wahała się dać taką odpowiedź, jaką czuła; po chwili wahania się, odrzekła mu stanowczo:

— Boję się...

— O! kobiety, kobiety! — zawołał Derdidas głosem, w którym politowanie czuć było — w żyjcie nerwami, a nie głową!

W wykrzykniku Jystysia dostrzegła sprzeczność między tem, co mówił Derdidas na galeryi Trocadero, a co mówił teraz; ale uwagi mu nie zrobiła żadnej, tembardziej, że sprzeczność, wypowiedziana przez Derdidasa, przebijała się więcej w dźwięku jego mowy, niż w słowach. Na stanowczo wygłoszoną odpowiedź Justysi, Derdidas rzekł:

— A więc chodźmy dłuższą drogą...

Na szerokim chodniku, którym szli, przecinając linią tramwajową, do stacyi parostatków, ruchu nie było prawie wcale, i tylko kiedyniekiedy migiała na krzyżujących się drogach jakaś postać spóźnionego przechodnia. Oboje szli śpiesznie, nie rozmawiając wcale ze sobą. Po chwili Derdidas zapytał:

— Uspokoila się pani nieco?

— O, nic mi nie było wcale! ale nie lubię chodzić głuchymi ogrodami, w nocy szczególnie.

Derdidas westchnął.

— O! dzieci, dzieci!—wykrzyknął z pewnym patosem. W tej chwili uczuła Justysia, że rękę jej, trzymaną pod swoim ramieniem, Derdidas do siebie przycisnął. Jakieś wstrętne oburzenie opanowało ją; chciała gwałtownie wyrwać od niego rękę, powstrzymała się jednak, zapanowawszy nad sobą. Nie dała uczuć mu tego oburzenia, ale, przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, rękę wycofała.

— Przepraszam pana... — rzekła, wysuwając rękę — daleko swobodniej idę sama...

Derdidas, zdaje się, przyczynę tej zmiany postępowania odgadnął. Justysia, jakby pragnąc zatuszować przykre wrażenie, jakie może wywołała na towarzyszu podróży, przyspieszyła kroku z pewną brawurą i do Derdidasa zwróciła się:

— Prawda? tak lepiej?...

— Naturalnie... prędzej będziemy w domu...

— Tem lepiej... spóźniliśmy się...

Oboje w nachmurzonym usposobieniu do Paryża wrócili. Kiedy Justysia znalazła się w pokoiku na mansardzie, zastała Helkę, siedzącą przy stoliku nad książką; nie podniosła nawet głowy na jej powitanie. Widocznie nie przebaczyły sobie: Helka nie mogła darować awanturniczej wyprawy w nocy do Trocadero, widząc w tem z jednej strony egzaltowane zrozumienie koleżeńskich stosunków, z drugiej nadto lekko-myślne bohaterstwo; Justysia nie mogła przebaczyć zbytycznej moralnej kontroli i uszczypliwości Helki. Pod wpływem zwyczajnych a koniecznych codziennych stosunków, ze wspólności mieszkania wynikających, rozdrażnienie Helki i Justysii ułagodziło się o tyle, że się przynajmniej na zewnątrz nie okazywało; w głębi duszy wzajemne niezadowolenie pozostało, i z punktu widzenia Helki dawało się w zupełności usprawiedliwić.

Rozbrat w sposobie myślenia i poglądach, nie tylko na zwykłe, codzienne, towarzyskie stosunki, przeciwko którym, narażając swoją dobrą sławę, niemal z zamkniętymi oczyma biegła Justysia, zarysowywał się coraz bardziej od chwili przyjazdu do Paryża, gdzie Justysia zetknąwszy się z kolegami, aplikowała swoje — a raczej nieswoje — nadto zaawansowane teorye „koleżeństwa“ i równości. Rozbrat ów znajdował jeszcze więcej podsycenia w coraz bardziej wyra-

biających się bałamutnych poglądach na sprawy i stosunki społeczne, własne i cudze. Ludzie, tak pozbawieni równowagi umysłowej, jak Funio, Niunia i Derdidas, nasyceni komunałami, wyrwanymi z dzieł mistrzów, a raczej szlachtetnych utopistów, zapatrzonych w przyszłe szczęście ludzkości, porywali Justysię ze sobą. Natura jej, skłonna do excentryczności, poszukiwała czegoś niepowszedniego, i to coś znalazła w paradoksach społecznych, politycznych i towarzyskich, powtarzanych za innymi w otoczeniu, w którym wypadek ją postawił. Nic tedy dziwnego, że, nie obdarzona bystrzejszym rozumem z natury, oddychając, wsiąkała to powietrze, które ją otaczało. Niezdolną była odgadnąć, że po za pięknymi frazesami, wygłaszanymi oderwanie, bez związku z całością myśli głoszącego je, odbijały się echa tych frazesów, jak w próżni; wywoływały wprawdzie wrażenia, ale ginęły bez śladu i pożytku. Frazesy te nosiły na sobie wszelkie charakterystyki echa, odbijały wyrazy: prawda, praca, ludzkość, szczęście, ale rzeczywiste — prawda, praca, ludzkość, szczęście były z przeciwnej strony echa; stąd też ludzie, zbłąkani w lesie pięknie brzmiących, ale paradoksalnych pojęć, szli często za głosem echa, i w przeciwnej stronie szukali prawdy, ludzkości i szczęścia. Było to omyłką, wynikłą z nieumiejętnego oryentowania się. Błędowi temu uległa Justysia, i stąd powód

do niezadowolenia z Helki, trzeźwiej oceniającej stosunki z ludźmi.

Niezadowolenie to niezakończyło się w sferze uczuć i przekonań. Justysia, znalazłszy sobie inny świat, który ją pociągał, i ludzi, których myśli trafiały jej bardziej do przekonania, czuła się trochę krępowaną wspólnem mieszkaniem z Helką; zresztą rola dobrowolnego ubóstwa, przyjęta na siebie, poczęła się przykrzyć, — dla niej była to rola nadto cierpka i bezcelowa. To wszystko, razem wzięte, doprowadziło do tego, że się z Helką rozstać musiała. Rozstanie się nie było wcale motywowane rzeczywistymi powodami. Justysia skarżyła się, że nadto wysoko, że zajmowanie się domowem gospodarstwem za wiele czasu zabiera, że w pokoju czuć stęchliznę, że cierpi na tem. Skargi powtarzały się peryodycznie, ale regularnie. Nareszcie nadarzyła się sposobność. W sąsiednim domu mieszkała praczka, która przed kilku dniami przeniosła się na *Battignolles*, pokoiik więc był do wynajęcia. Helka zajrzała do niego; przedstawiał się czysto, schludnie; miał kominek i piecyk malutki; rzekła więc do Justysi:

— Gdybyś ty chciała zmienić mieszkanie, wzięłabym sobie ten pokoiik po praczce.

— Byłby dogodny dla ciebie?

— O, bardzo... zresztą, ja wymagającą być nie mogę...

— A cena jaka?

— Właśnie dla mnie... dziesięć franków miesięcznie...

Justysia pomyślała.

— To dobrze... ja sobie najemę pokój w *Hôtel de l'Etoile*, już upatrzyłam nawet.

W ten sposób przyjaciółki rozstały się na pozór zgodnie. Mieszkanie w *Hôtel de l'Etoile* było bardzo wygodne: składało się z obszernej alkowy i obszernego pokoju, umeblowanego jak salon, a miało tę dogodność, że w obcowaniu z nowymi kolegami niczem nie krępowało Justysi. Od tego czasu rozpoczęły się częstsze stosunki z Funiem i Niunią, którzy szukali prozelitów dla zdobycia środków do prowadzenia „walki“ i do posuwania „pracy“ naprzód. Justysia nadawała się doskonale na „materyał na społecznego człowieka“ — jak utrzymywał Funio: była głową, łatwo zapalającą się, zdolną do szlachetnych uniesień, i miała dosyć pieniędzy, ażeby usiłowania kolegów z cechu wspierać. Na czem walka i teoria „posuwania pracy“ swojej „grupy“, według pojęć Funia, polegała, trudno było dowiedzieć się nietylko od Funia, ale i od generałów grupy; każdy mógł tylko widzieć bez trudności, że członkowie „grupy“, do której Funio, Niunia, Derdidias, a nareszcie i Justysia miała zaszczyt należeć, absolutnie nic nie robili i nie mieli z kim walczyć. Ci, z którymi niby walczyli, uważali występy „grupy“ za pozbawione wszelkiego sen-

su, a członków jej za skrzydła wiatraków, obracające puste kamienie—pozwalali więc im obracać się swobodnie; nie oni walezyli, ale wiatr za nich skrzydła obracał. „Praca“ zaś polegała na tem, że ludziom dobrej woli, ale słabej głowy, opowiadali stare rzeczy, jako nowe, i wmawiali w nich, że stoją pod najpostępowszą chorągwią, na której wypisane godło: *ludzkość*.

Kiedyś, nad wieczorem już, Funio, pędząc w jakimś bardzo ważnym interesie, o którym nikt nic nie wiedział, na przecięciu *Boulevard St Germain* i *St Michel* spotkał Helkę i rozmowę rozpoczął:

— Obywatelkę dokąd bogi prowadzą?

— Do domu... na poczcie byłam... A pan?

Funio za głowę się ścisnął.

— Ach! obywatelko, mam tyle zajęcia, że nieraz myślę sobie: zwaryuję... wszystko opiera się o moją głowę... muszę rozległą prowadzić korespondencją...

— Z kolegami?

— Tak... w naszej sprawie... Trzeba ją popychać...

Szli przez *Boulevard St-Michel* i rozmawiali. Funio, zagadawszy się, zapomniał o bardzo ważnym interesie, którego nie miał, a rad był, że spotkał kogoś do gawędki. Zbliżyli się właśnie do narożnej restauracyi, a Funio był jeszcze nie-

zdecydowany, czy wracać, czy odprowadzić Helkę do *Hôtel du Globe*.

— Ha, to już chyba odprowadzę panią...

— A dobrze...

Przed bramą *Hôtel du Globe* dogonił ich doktor Łasko, także wracający do domu z jakimś pakietem. Zamiana kilku słów wyjaśniła stan rzeczy.

— Niema takiego ważnego interesu—mówił doktor Łasko—któregobys ty, Funiu, nie poświęcił dla gawędki; otóż dobra nastrecza się tobie sposobność... niosę właśnie paczkę świeżych *cervelas*, herbatę man, cukier także; ogień na kominku zrobię i przegadamy sobie godzinkę...

— Nie mogę... Muszę pędzić na *Porte-Royale*; ty wiesz: jak służba, to służba, jak interes, to interes. Nie można.

— Cóż to znowu za interes, tak ważny?

— W naszej sprawie—odrzekł tajemniczo.

— No, to możesz ją o parę godzin później załatwić.

Funio odetchnął.

— Prawda...

— Panna Helena idzie z nami i rolę gospodyni odegra.

Wszyscy troje poszli po schodach.

— Mam dla was także ciekawe wiadomości—mówił doktor Łasko.—Dziś rano otrzymałem gazety z kraju...

— Cóż to? Nowe projekta pruskie?

— A nowe... przeczytajcie.

Rozmawiając, do pokoju doktora Łaski weszli.

— Ponieważ mam występować w roli gospodyni—rzekła Helka—proszę więc o pozwolenie zrobienia herbaty.

— Nietylko pozwalamy, ale prosimy — odpowiedział doktor Łasko.

Zaczął szukać na stoliku między gazetami czegoś, potem jedną z gazet wzięwszy, rozwinął i czytać począł. Treści tego, co czytał, powtarzać nie będziemy: był to w całej rozciągłości edykt banicyjny dla trzydziestu tysięcy Polaków, nie posiadających obywatelstwa pruskiego. Kiedy doktor Łasko czytanie skończył, głucho milczenie oburzenia zapanowało, potem trzy głosy w jeden wykrzyknik się złąły:

— Podli!

Był to wykrzyk policzkowanej niemocy. Funio, pod wpływem przeczytanego edyktu, poczuł na sobie ślinę pruską, zapomniał naraz o socyalizmie, o swoich zasadach, o przyszłości ludzkości.

— Ach! szelmy, łotry! ach, łajdaki! żeby ich piorun trzasł!—wrzeszczał ze zgrozą.—Pomijam już szlachtę; czy tak, czy inaczej, ona, zarażona gnilcem, zgninać musi, ale co im winni robotnicy?

— Ty pomijas szlachtę—rzekł doktor Łasko—a ja nie pomijam. Pojęcie sprawiedliwości i krzywdy jest jednakowe, bez względu na to,

czy się krzywda lub niesprawiedliwość dzieje chłopu, czy szlachcicowi. W tym edykcie jest początek czegoś gorszego; jest to fakt złamania prawa siłą; kto się raz tego dopuści, ten musi konsekwentnie dopuścić się drugi raz i trzeci, i więcej; a kto może przewidzieć i powiedzieć, na czym się zatrzyma? Dalsza walka siły z prawem staje się koniecznością, a raczej dalsze poniewieranie prawa przez siłę, i musi wynikać już jako następstwo obrony pewnego stanu rzeczy.

— W zasadzie zgadzam się z tobą, że pruskie rugi i motywa do nich są złe i niesprawiedliwe, ale z mego punktu widzenia, ponieważ wspomniałem o robotnikach, o części ludu, miałem do tego racją; mnie interesuje tylko lud, krzywdzony zawsze i wszędzie. Szlachta, tak samo, jak Prusacy, krzywdzi i wyzyskuje robotników; gdyby więc nawet usunięto szlachtę z Poznańskiego wszystką, to stan rzeczy pozostanie ten sam, bo lud, robotnik, zmieni tylko pana, wyzyskiwacza. Z tego punktu rzecz interesuje mnie mało.

Doktor Łasko pół uśmiechnięty zauważył:

— Wpadłeś na swego konika: źle było — szlachta winna, źle jest — szlachta winna — a ponad tem wszystkiem furczy zawsze jedna chorągiewka: lud, lud, lud, który, prawdę powiedziawszy, i dla gnębieli, i dla obrońców jest jednakowo obojętny.

Funio zapalał się.

— Bo ciemny, głupi, nie umie w sobie poznać siły...

— Przyjdzie czas...

— Cóż to za kunktatorstwo? Przyjdzie czas! Kiedy? za ile tysięcy, czy setek lat? Trzeba ten czas zbliżyć!

Doktor Łasko widocznie w dysputy z Funiem wdawać się nie chciał; znał go nadto dobrze. Odpowiadał półsłówkami. Na ostatnią uwagę odrzekł:

— Zbliżać, ale jak? Czy myślisz, że wasza robota jest zbliżaniem się do jakiegoś rozwiązania? Nie, stokroć nie!

— A ja ci powiadam, że jest... Nasza robota dąży do wspólności ziemi i narzędzi pracy. Każdemu według pracy, każdej pracy według zdolności — oto nasze godło.

— O godło łatwo, ale jak dojść przez nie do lepszej przyszłości? Mówisz o wspólności ziemi, jako o ideale przyszłości, kiedy dziś nikt tego ideału nie pragnie, oprócz nielicznej garstki utopistów, ideologów; czyż to nie jest najlepszym dowodem, że myśl ta nie dojrzała, a wykonywanie jej byłoby, co najmniej, nierozsądnem? Jeżeli istotnie w idei kolektywizmu tkwi szczęście ludzkości, to dążenie do tego szczęścia objawiać się musi koniecznie, z początku mało, później coraz więcej i silniej, aż nareszcie organizm państwowy przetworzy się zupełnie.

— To, co mówisz, nie jest pochodem do celu, ale jechaniem na raku. Gwałt i siła wyzyskuje lud i robotników, gwałtem i siłą bronić się potrzeba.

— Piękne teorye! Cóż trzebaby zrobić w myśl twoję?

Funio stuknął pięścią o stół.

— Wyrznać szlachtę i kapitalistów, ziemię rozdzielić pomiędzy lud na zasadzie wspólności, narzędzia i warsztaty—pomiędzy robotników!

Doktor Łasko zachował obojętne milczenie, w którym czuć było więcej litości dla Funia niż gniewu. Funio tryumfującym spojrzeniem patrzył na interlokutora.

— Cóż ty na to?

— Nie mamy prawa — odpowiedział doktor Łasko spokojnie.

— A Prusacy kogo pytają o prawo?

— To wcale nie usprawiedliwia gwałtu. Prawo jest to postępowanie z innymi bez czynienia krzywdy. Ktoś posiada rzecz jakąś, rzeczy tej używa, jako własności, szanuje własność innych tak samo, jak inni jego, kto więc dał nam prawo pozbawiać go tej własności?

— Mówmy tylko o ziemi...

— Dobrze...

— Czy Brissot nie mówił, że potrzeba jest jedynym tytułem do posiadania własności? Czy Rousseau nie mówił, że pierwszy, kto kawał zie-

mi ogrodził i przywłaszczył sobie, był złoczyńcą publicznym, bo owoce ziemi należą do wszystkich, a ziemia do nikogo?

— Zdaje mi się, że to, co ktoś powiedział— odezwała się Helka—nie daje jeszcze prawa na nieomyślność.

— Słusznie pani mówi—wtrącił doktor Łasko—tem bardziej, jeżeli to coś, jak w tym wypadku, jest tylko świetnym paradoksem. Kiedy ktoś zagroził ziemię, to znaczy, że obsiał ją, zorał, skopał, jednym słowem, użytkować zaczął; taki człowiek zbrodniarzem nie był, a jeżeli posiadał ziemię, to dlatego tylko, że włożył w nią swoją pracę, to jest kapitał jedyny, jaki miał, mówiąc inaczej: kupił ziemię za cenę pracy. Wolno ją było kupić każdemu. Czy to nasza wina, żeśmy się wtenczas nie porodzili? Paradoksalność swego twierdzenia czuł najlepiej sam Jan Jakób Rousseau, bo swoją „umowę społeczną“ oparł na własności indywidualnej, religii narodowej i wszechwładztwie państwa. Co zaś do twierdzenia Brisota, nie zbijam go nawet, bo gwałtowność jego twierdzeń pozbawiona logiki; to nie są myśli filozofa, ważącego wszystko na szali, ale race, wypuszczane wysoko i połyskujące chwilkę przed oczyma, szukającemi rozrywki. Możliwość się powołać na ludzi głębszej myśli: na Sokratesa, który powiedział, że rolnik, nieumiejący uprawiać swego pola z pożytkiem, nie powinien go posia-

dać; na Platona, który w „prawach“ radził podzielić ziemię na parcele i wylosowywać je,—tyle wieków od tej chwili minęło, ale czy ta rada stworzyła bodaj malutką rzeczpospolitą? Nie. Więcej ci powiem: są gminy w głębi Rosyi, które co do podziału ziemi, jakby skopiowały prawa ateńskiego filozofa—myślisz, że one znalazły szczęście we wspólnej własności? Bynajmniej. Żyją w kłótniach z sobą i w ubóstwie. Własności prywatnej nie możemy zniszczyć dopóty, dopóki świat egzystować będzie; chociaż nie przeczę wcale, że kiedyś własność zmienić może formę na odpowiedniejszą, że się ukształtuje na jakichś innych, nieznanych nam jeszcze zasadach ekonomicznych, dopuszczających większość do zysków. To samo zupełnie da się odnieść do każdej innej własności, czy kapitału, czy warsztatu. Przeobrażenie to nie stanie się wcale drogą rewolucyi, która nietrwale gmachy buduje na ruinach, ale drogą prawdziwego postępu ludzkości, drogą ewolucyi.

— Jakto, więc ty myślisz, że walka o szczęście ludzkości może zakończyć się spokojnie? Czy myślisz, że będą kiedyś zapomniane słowa Izajasza: nie będziesz budował domów dlatego, aby obcy w nich mieszkali; nie będziesz sadzić winnic, aby obcy jadł te owoce?

— Sądzisz, że nie—odpowiedział ze zwykłym spokojem doktor Łasko—ale nie wtrącaj religii

do filozofii, uczucia do myśli. Ja twoje cytaty biblijne powiększę jeszcze, i powiem ci, że święty Bazyli bogacza nazywał szubrawcem, święty Chryzostom mówił, że bogaty jest rozbójnikiem; święty Hieronim—że własność indywidualna jest następstwem złodziejstwa: jeżeli kradzież nie była popełniona przez posiadacza, to przez przodków; święty Grzegorz z Nizy—że bogaty jest zwierzęciem drapieżnym, którego paszcza zawsze otwarta, żeby pożreć pożywienie innych.

Helka, filiżankę z herbatą na stoliku stawiając, rzekła:

— Przepraszam, że przerwę... nie słyszę, aby ktokolwiek z nich powiedział, że bogatemu należy gwałtem jego własność odebrać?

— Miałem właśnie tę uwagę zrobić—rzekł doktor Łasko—ma to swoją przyczynę: religia stawia ideał sprawiedliwości, wykonywać sprawiedliwość nie do niej należy. Nie rozumiem przeto, dlaczego rozbójnicze zachcianki usprawiedliwiać tem, co powiedział święty Bazyli, święty Hieronim, lub ktoś inny? Zresztą, gdyby to, co powie jeden, było bezwzględna prawdą, nie nie byłoby łatwiejszego, jak uszczęśliwić ludzkość: zastosować się do tej prawdy za zgodą powszechną, — a jednak nie nastąpiło to nigdy jeszcze i nie nastąpi. Nikt nie uorganizował państwa na zasadzie rzeczypospolitej, lub praw Platona, Francesca Doni, Mallego i wielu innych, bo państwa

organizują się na podstawie faktów i stosunków istniejących, a nie myśli oderwanych. Zupełnie to samo stanie się z ludzkością, z ludem, z robotnikiem, z własnością; wszystko to nie zmieni się i nie ukształtuje według wzorów zachwalonych.

— Zejdźmy bliżej, do naszych stosunków—mówił zaperzony Funio.—Szlachty jest kilkadziesiąt tysięcy, ludu kilkanaście milionów, a ziemia prawie porównu między te dwie klasy podzielona; odebrać od szlachty ziemię jednym zamachem!...

— Nie mamy prawa, powtarzam ci—przerwał mu doktor Łasko.—Mówicie także o ludzkości, o sprawiedliwości, o miłości, a właśnie pragniecie największą nieludzkość, niesprawiedliwość i jakiś dziki szal zemsty wykonać. Kto dał wam prawo krzywdzić w imię ludzkości jednych, a nagradzać drugich? Jesteście w niezgodzie sami z sobą... Albo może—ciągnął dalej powoli—wy inaczej kochacie ludzkość, a ja inaczej. Dla mnie ludzkość nie składa się ani z samych chłopów, ani szlachty, ani mieszczan; jakażby to była miłość ludzkości, gdybym ja w imię tej miłości mordował jej połowę, a nagradzał drugą? a jednak wy w taki właśnie sposób kochacie ludzkość. Ludzkość—to ludzie; czy oni są szlachtą, czy nie, nie wolno ich krzywdzić w imię sprawiedliwości; nikt nie może mieć prawa rozporządzać się pracą innych.

— A wyzyskiwać pracę innych ma prawo?

— Nie ma go. Jest to także złem oburzającym, ale to bynajmniej nie usprawiedliwia marnocieleńskich zachcianek, że tworzyć trzeba jakąś nową, idealną społeczność i państwa; nie, należy tylko przekształcać ten organizm, który już istnieje, uszlachetniać go. Społeczeństwo i państwo, to nie dom, który dziś się zbuduje, a jutro zwalić go można. Dlaczego wy słuchacie takich, którzy wam mówią: zniszczyć trzeba państwo, które istnieje, a stworzyć nowe i w ruinie szukać rozwiązania socjalnego problemu, a nie szukacie go u tych, którzy mówią: wyszukajcie takie połączenie, w którymby człowiekowi niemożliwym było stać się złym, lub nieuczciwym, lub w którym byłby on najmniej złym. Dlaczego wy nie idziecie za głosem, który mówi: rozpowszechnijcie cywilizacją i oświatę, porzućcie przesady ras i klas, zjednoczcie narody tak, ażeby więcej szanowano naród uczciwych ludzi, niż małą garstkę bohaterów, każcie zamilczeć waszej dumie i chciwości narodowej, a szczęście i cnota zapanuje na ziemi. Tak myślano przeszło sto lat temu, przed wielką rewolucją, a wam się zdaje, że przodkowie ludzkości i chcecie ją odrodzić przez zniszczenie. Anarchia nie ma przed sobą przyszłości, po niej tylko ruiny pozostają; przyszłość należy do harmonii, zgody i rozumnego spokoju. Potrzebą ludzkości nie jest tylko zdobywanie sobie pożywienia, ale także możność zaspakajania swo-

bodnie wszystkich swoich potrzeb moralnych i duchowych. Taka przyszłość jest przed nami, a wy, stawiając dla tej przyszłości mętny ideał kolektywizmu, czy komunizmu, ideał czysto materialny, mimowolnie chcecie ją cofnąć do pierwotnego stanu i przekonywacie, że w tem cofnięciu się ludzkość znajdzie dla siebie szczęście. I cóż robić, ażeby dojść do tego niejasnego ideału? W imię niby dobra i szczęścia całej ludzkości, rzucacie pochodnią zapaloną w łono własnego społeczeństwa, które jest częścią ludzkości; chcecie ratować całość, a niszczyć część, budować coś bardzo wysokiego, a usuwacie fundamenta, a raczej kładziecie je na trzęsawisku.

— Wkraczasz w dziedzinę sentymentalnego patryotyzmu...—rzekł Funio z odcieniem sarkazmu.—Powinieneś przecie wiedzieć o tem, że socjalizm nie ma na celu narodu, lecz ludzkość, która żadnej barwy narodowej nie posiada.

— Wiem... i dlatego właśnie widzę tę samą niekonsekwencyą u was w praktyce, którą głosicie w teorii: chcecie uszczęśliwić ludzkość, całość jakąś idealną, a w imieniu tej całości usiłujecie podpalić i rozwalić dom własny, to jest częścią ludzkości. Nie dziw się tedy, że jak długo będzie egzystować logika, tak długo ja waszego postępowania nie zrozumieję. Oburzasz się na Bismarka, który nas podkopuje i niszczy; prawda, że jest to oburzająco podłe, ale z punktu

państwowego, Prusacy przynajmniej wobec siebie mogą się usprawiedliwić,—wasze postępowanie nigdy się usprawiedliwić nie da, bo dążycie do rozwalenia własnego domu.

— Do rozwalenia?—zapytał Funio zdziwiony—dążymy? Dokonanie aktu sprawiedliwości jest rozwaleniem domu?

— Do rozwalenia dążycie—powtórzył doktor Łasko z naciskiem i powolnie.—O tym wrzekomym akcie sprawiedliwości nie mówię; mówiłem już...

Tu doktor Łasko zastanowił się chwilę, potarł ręką czoło i ciągnął dalej:

— Wyobraź sobie, że posiadamy dom; na dolnem piętrze mieszka lud, na pierwszym szlachta, na drugim kapitaliści. Ty pragniesz, ażeby w całym domu lud mieszkał: musisz się pozbyć szlachty i kapitalistów—jakże chcesz się pozbyć? Chcesz zwalić pierwsze i drugie piętro; oczywiście, gdyby to było możebnem, szlachta i kapitaliści zginęliby w ruinach, ależ te ruiny zasypałyby dolne piętro i lud. Chcąc go ratować, zgubiłbyś go. Przypuśćmy, że zniszczenie dwóch pięter jest środkiem nadto gwałtownym i chwycić się tego środka nie będziecie mogli, ale wy robicie trochę inaczej: kłóćcie ze sobą mieszkańców w domu i pokazujecie każdemu inne cele, inne zadania i inne środki, kiedy dla wszystkich mieszkańców domu jest tylko jeden cel i wspólne

środku do celu. Czy mam cię odsyłać do starożytnych filozofów, abyś się dowiedział, co to jest dom? Jeżeli wiesz, to robota wasza, mętna, jak ideał, do którego dążycie, jest nikczemnością, wyrządzoną własnemu domowi, nierównie gorszą od tej, jakąby dziesięciu Bismarków wyrządzić mogło!

— Szlachcic!—zawołał Funio z naciskiem, nie znajdując na potępienie innych argumentów.

Doktor Łasko spojrział na niego wyrozumiałym spojrzeniem.

— Człowiek... powiedz raczej. *Homo sum...* i wstętno mi jest wszystko, co ludzkim nie jest...

— Słuchaj, kochany doktorze! muszę ci powiedzieć, że dotychczas mieliśmy ciebie za socyalistę, za żołnierza sprawy pokrzywdzonego i poniewieranego ludu...

— A ja was—przerwał z pewnym uniesieniem—nigdy za socyjalistów nie miałem, ale za ogony, wlokące się po śmieciach socyjalizmu, za ludzi nie pożytecznych, lecz szkodliwych, nie przez złą wolę, ale przez niewiedomość, za bębny głośne, ale próżne. Chcecie posuwać ludzkość naprzód, a zapominacie o własnym domu, o tem, że prawdziwi i sumienni robotnicy pracują cicho, bez hałasu. Niejasność celu stawia was w kolizyi ze sobą samymi i nie pozwala widzieć tego; stąd ciągła sprzeczność między waszemi słowami a czynami...

Funiowi brakło argumentów, lub może nie chciał dalej prowadzić dyskusyi, zbyt długo przeciąganej. Spojrzał na zegarek.

— Pół do dziesiątej... — rzekł. — Zagadałem się i spóźniłem...

— W ważnej sprawie... dokończył doktor Łasko.

Znowu na zegarek spojrzął.

— Nie wiem, czy zastanę kogo... muszę lecieć...

— Leć, leć! Ludzkość cię woła!

Funio pożegnał się i wyszedł razem z Helką.

V.

W parę dni po ostatniej rozmowie Funia z doktorem Łaską, Helka, wychodząc na wykłady, spotkała się z doktorem, który, jak codziennie, szedł właśnie do biblioteki.

— Raz przecie — rzekła Helka — Funio posłyszał *verba veritatis*...

— Pani mówisz o naszej rozmowie?

— Tak.

— Z takimi ludźmi dyskutuje się nie dlatego wcale, aby przekonywać, że poglądy ich nie wiele warte, prędzej powiedziałbym, z poczucia obowiązku odsuwania od siebie doktrynerskich pigułek, niesmacznych i wstrętnych. Jest to raczej instynktowna samoobrona.

— Ja sędzę inaczej — odpowiedziała Helka. — Takie zapalone głowy, jak Funia, należy zimną

woda zdrowego rozsądku oblewać, wykazywać im całą nicość i jednostronność ich poglądów... Odwróci to od nich ludzi szlachetnych a młodych, którzy teraz lgną na byle jaki lep.

Doktor Łasko głową stanowczo pokręcił.

— Nie, nie, nie, pani! W tym wypadku pani nie ma racyi; przekonywać można tylko te głowy, w których są przekonania, są jakieś myśli, jakieś idee, logicznie ze sobą związane; ale gdzie jedna myśl z drugą się nie wiąże—co tam zrobić można? Dyskusya z takimi ludźmi możebna tylko skutkiem naszej niepowściągliwości.

— A jednak, trzeba się przecie bronić od rozmaitych Funiów i Derdidasów. Ci ludzie pochwycili zapaloną pochodnię i biegną do chat spokojnych, nie po to, ażeby nieść światło, lecz żeby ogień rozniecić.

Doktor Łasko, jakby dalej myśl rozpoczętą ciągnął, rzekł spokojnie:

— Z podobnymi ludźmi walczyć na seryo nie można: oni chorzy umysłowo, ich trzeba leczyć. Jest to odcień tej samej choroby, która się nazywa *idée fixe*; zarodek jej rozlokowuje się w jednej komórce mózgu, a potem opanowuje całość. Są ludzie, mający siebie za bogów i proroków; są nieumiejący pisać, a mający siebie za poetów i uczonych; niemający pojęcia o mechanice, a utrzymujący, że wynaleźli *perpetuum mobile*. Czyż jest możność walczenia z tymi ludźmi na

seryo? Wykazywanie ich maleńkości i nieuctwa będą uważać jako dowód zazdrości, lub głupoty naszej. Jedyna na to rada: pozwolić im gadać, pozwolić biegać z pochodnią; prawo niech tylko stara się uczynić ich nieszkodliwymi; ludzie zdrowi poznają się prędko na tem, że słowa ich są puste, a pochodnie kopcą i swędzą.

— Pan mówisz, że ich leczyć trzeba—rzekła Helka—ale jak? Jeżeli to jest choroba umysłowa, niezawodnie należy ona do tych, które są nietylko dziedziczne, ale i zaraźliwe. Od takich chorych trzeba się bronić...

— O tyle tylko, o ile są szkodliwymi—przerwał doktor Łasko; — co zaś do kuracyi, dwie tylko drogi: albo nauka, albo życie. Jedni, wzięwszy się na seryo do nauki, sami poznają płytkość swoją; inni, wróciwszy do codziennych obowiązków życia, przekonają się, że to, co mieli za ideał, było mrzonką.

Po tej uwadze, oboje szli czas jakiś w milczeniu; widocznem było, że na ten temat rozmowa stała się już niemożliwą.

— Dostałam wczoraj zaproszenie na dzisiejsze posiedzenie Towarzystwa Międzynarodowego—rzekła Helka.

— Byłaś już kiedy pani?

— Nie.

— Proszę pójść... dla ciekawości.

— Ciągłe dostaję zaproszenia, ale chęci wielkiej nie mam.

— Proszę pójść—powtórzył doktor Łasko— chociażby dlatego, ażeby mieć pojęcie o *Towarzystwie Międzynarodowem*.

— Pan nie należysz?

— Nie; należałem jednak...

Chociaż doktor Łasko myśli swej nie skończył, czuć było, że miał zamiar powiedzieć: ale nie warto.

Helka zdecydowała się pójść tym razem. Posiedzenia „Towarzystwa Międzynarodowego,“ które, pomimo paroletniego istnienia, nie mogło się rozwinąć i zaledwie kilkudziesięciu członków, rozrzuconych po całym Paryżu, liczyło, odbywały się niekiedy w mieszkaniu Funia. Stałego lokalu nie było; niektóre posiedzenia, jak ostatnie, miało się odbyć w najętej sali. Helka poszła piechotą. Było to wprawdzie za daleko, ale nie mogła sobie pozwolić na przyjemność pojechania tramwajem, z powodu poprostu braku pieniędzy. Już zmierzch zapadał, kiedy na przedmieściu *St-Antoine* stanęła. W kwadrans potem znajdowała się już na *rue des Mendians* i zdążała prostą linią do Nru 44.

W miarę ściemniania się, ulica Żebaczka, jakby ją najlepiej po polsku nazwać wypadało, zapełniała się ludźmi. Kobiety i mężczyźni wysuwali się z brudnych kryjówek, za dzieńne schro-

nienie służących, z koszami na plecach, z laską, haczykiem żelaznym zaopatrzoną, i powolnym, ociążalym krokiem, z głową pochyloną, ze spojrzaniem w ziemię skierowanem, podążali na nocną wyprawę po gałgany, kości i resztki kuchenne do miasta. Ludzie ci żyją z resztek bogatszych: gałgany i kości sprzedają do fabryk, a z odpadków kuchennych gotują sobie zupeł. W sabotach dziurawych, strzępkami odzieży okryci, przesuwali się pojedynczo, w milczeniu przez ulicę, jak cienie. Na pół nagie, bosonogie, wybladłe dzieciaki, z jakąś chorobliwą ociążałością kręciły się, wypełniając ulicę brudną i cuchnącą.

Helka szła powoli, wymijając co chwila ła-chmaniarzy, nareszcie zatrzymała się przed rozwartą brudną paszczą jakiegoś domu: był to *le passage sans-culotte*, a nad bramą blaszka z szafirowym, poblakłym Nrem 44. Do pasażu tego weszła Helka. Był to wielki dziedziniec, przechodzący na drugą ulicę. Wszedłszy na ten dziedziniec, niewiadomo, co należało podziwiać: niesłychany smród zgnilizny, zmieszany w jeden wyziew bez nazwy, czy brudy i nędzę, które dziedziniec ten otaczały dokoła. Ze wszystkich stron widać było mieszkania, które raczej brudnymi norami nazwaćby wypadało. Każda rodzina gałganiarzy przed swymi drzwiami zrobiła z desek rozmaitej wielkości, barwy, grubości, małe ogrodzenie, widocznie w celu powiększenia miej-

sca zamieszkałego, a na tem ogrodzeniu widać było porozwieszane żebracze łałchmany, znalezione wśród nocnych wycieczek kawałki rozmaitej odzieży, przesuszające się tutaj na wietrze, o ile dziedziniec był dla niego dostępny. Niektóre z tych ogrodzeń pokryte były dachem z takich samych, jak i ściany, kawałków desek, których spojenia lub większe szpary zasłonięto kawałkami blachy, papieru smołowcowego itp. Na tym improwizowanym dachu tu i owdzie porozrzucano łałchmany odzieży, czerepy naczyń kuchennych, dzbanków stłuczonych, a pomiędzy nimi wędrowało wychudłe kocisko, błyszczące śród ciemności ślepiami.

Przed drzwiami, prowadzącymi do tych nór ludzkich, przypiętych do szarych i brudnych murów domu, bawiło się na ziemi kilkoro półnagich dzieci, bez obuwia i ubrania, w jedną tylko brudną koszulę odzianych i klekocących zębami od chłodu jesiennego; druga gromadka takich samych dzieci skupiła się przy studni; szturchając się i krzycząc, podstawiwały kolejką gliniane wysokie dzbanki pod wąski strumień wody, który powoli napełniał te naczynia jedno po drugim.

Helka przeszła przez cały dziedziniec, z którego wszystkich kątów wyglądały nędza i brudy, i znikła w jakimś ciemnym i wąskim kurytarzyku. Z początku odurzył ją zapach zgniłej kapusty tak silnie, że aż zawrotu głowy dostała; już miała się cofnąć, niepewna, czy trafiła dobrze,

kiedy naraz z ciemnej przestrzeni, w którą bezskutecznie wpatrywało się jej zmęczone oko, doleciał hałas jakiś, szum, a nareszcie obił się o jej uszy chóralny wykrzyk niczem niehamowanego śmiechu. Domyśliła się, że za tym głosem iść trzeba. Zrobiła krok naprzód, wyciągnęła obie ręce i, odchylając je na bok, ściany szukała, która jej za przewodniczkę służyć miała. Znalazła wreszcie ścianę, i ostrożnie stąpając, szła dalej; po chwili ściana usunęła się nagle pod ręką, a noga jej jednocześnie zbliżyła się na kraj schodka. Schodki prowadziły na dół i było ich kilka tylko. Czowała, że noga jej znowu dotknęła się kamiennej podłogi, ale nie wiedziała, gdzie jest i dokąd iść. Dokoła panowała ciemność i woń gnijącej starzyzny, która oddech tamowała prawie zupełnie. Poczęła więc znowu ścianę naokoło obmacywać i natrafiła na jakieś drzwiczki, które były zamknięte; szukała przeto wyjścia i znowu natrafiła na otwór jakiś; zbadała go ręką i nogą—pokazało się, że to były drzwi, prowadzące do piwnicy, czy do podziemnego mieszkania. Cofnęła się więc, i znowu, z nadzwyczajną ostrożnością suwając nogami, szukała wyjścia z tego labiryntu.

Wtem do jej uszu doleciały znowu frenetyczne, głośne śmiechy; zdawało się, że te głosy już nie muszą z daleka pochodzić, a czystość ich i siła łamią się tylko na zakrętach i sklepieniach kurytarzy. Trafiwszy więc na wyjście, posunęła

się znowu wśród ciemności na przód, nareszcie stanęła przed drzwiami, przez które słyhać było głośne śmiechy i krzyki; trąciła klamkę i weszła.

Było to tylne wejście do *Café des Mendians* który frontem wychodził na boczną uliczkę. Wnętrze stanowiła sala, mogąca pomieścić kilkadziesiąt osób, naokoło stolikami i krzesłami obstawiona, w głębi posiadająca wzniesienie i trybunę dla mowców, oraz boczne drzwiczki, zamykające się po każdym przejściu za pomocą sprężyny. Drzwi te komunikowały się z głównym lokalem *Café*, skąd garson, na zapotrzebowanie, przynosił *szopki* i *boki* piwa dla zwyczajnych konsumentów, a dla amatorów: *ptiwerki*, *vermouth*, lub absynt. Właściciel *Café des Mendians* salę tę wynajmował zwykle na posiedzenia rozmaitych towarzystw za kilkanaście franków na wieczór i za konsumpcją; w takim razie, na owych bocznych drzwiach, od strony lokalu zawieszano napis: „Zajęta,” który nieinteresowane osoby powstrzymywał.

W sali już było kilkanaście osób; siedziały grupami po dwie lub trzy przy stolikach, a przed nimi *szopki* i *kanetki* z piwem. Kiedy się na progu ukazała Helka, wnet od stolika porwał się Funio, za nim Niunia, i na powitanie Helki pospieszili.

— Cóżto obywatelka kochana tak rzadko pokazuje się w towarzystwie młodzieży?

— Nie mam czasu... niezadługo egzamina.

Niunia jaszczurczem wejrzeniem na Helkę spojrzała.

— O, pani kochana! jak ja jestem zajęta!... Od 8-ej do 9-ej historia; od 9-ej do 10-ej historyozofia; od 10-ej do 11-ej ekonomia społeczna; od 11-ej do 12-ej teoria kontrapunktu; od 2-ej do 3-ej historia papieżstwa; od 3-ej do 4-ej estetyka; od 4-ej do 5-ej historia najnowszej doby...

Niunia chciała dalej wyliczać, kiedy poważnie nastrojony Funio przerwał jej:

— Wie szanowna obywatelka? Niunia okropnie pracuje... zapracowuje się...

Niunia zwróciła ku mężowi słodkie spojrzenie.

— Ależ, moje złotko... są ludzie, którzy więcej pracują...

— O, są, mój kotku...

— Już ten Marx tak ci wyczerpał siły...

— O, moje złotko! wcale nie... W każdym razie, bądź co bądź, zawsze się znajdzie trochę czasu na sprawy publiczne.

— O, mój kotku...

Nastąpiła chwila milczenia, z której skorzystała Helka, aby naokoło siebie rozejrzeć się nieco. Najprzód zwróciła uwagę na Niunię, która była ubrana niechlujnie, ale z pewną pretensją i kokieterią niechlujstwa: włosy miała rozpakłane i brudne, a z poza czystego kołnierzyka wyglądała szyja, na której rzodkiewkę siać można

było, ręce zaś i paznogie w grubej żałobie, atramentem pochłapane i nieumywane od tygodnia prawie; kończyny dwóch palców na prawej ręce, wielkiego i wskazującego, były zasmolone i zaskopcone od papierosów, tak samo jak i u Funia. Później, powiodłszy wzrokiem przed siebie, dostrzegła kilka nieznanomych twarzy i spojrzenie od nich cofnęła. Justysi i Derdidasa nie było. Funio, widząc ją milczącą, starał się do rozmowy nakłonić.

— Obywatelka co teraz robi? nad czym pracuje?

Niunia patrzyła na nią z boku, z uśmiechem pełnym chytryści i sztucznie przybranej słodyczy.

— Cóż, panie, mam innego robić?... Uczę się.

— O, tak, szanowna obywatelko... nauka — to grunt na świecie! Ale robota mózgu, szanowna pani, wymaga siły, napięcia... ja to widzę po Niuni...

— Ależ, moje złotko...

— Ależ, mój kotku...

— To żadna tajemnica... ty pracujesz teraz, jak Syzyf...

— A ty?

Funio gwałtownym ruchem do Helki się zwrócił.

— Wie obywatelka — rzekł, chwytając się za głowę obu rękoma — ja jestem teraz taką suchą pracą zajęty, że głowa mi pęka!

Rozczochrane włosy, błędny wzrok, słupem

stojący, gorączkowe ruchy rąk i głowy, nadawały mu w istocie pozór człowieka, cierpiącego na umyśle.

— Pan nad czem teraz pracuje?—nieśmiało spytała Helka.

Funio nachmurzył brwi i dzikiem spojrzeniem wpatrzył się w dziewczynę.

— Engelsa tłómaczę... O początkach rodziny...—rzekł głucho.

— To będzie bogata danina, społeczeństwu złożona...—zauważyła poważnie Niunia, modulując głos najśłodziej...

— O! tak, mój kotku...

Tymczasem drzwi boczne i tylne, któremi weszła Helka, otwierały się co chwila i sala napępniała się.

— Dziś, zdaje się, będzie liczne posiedzenie—zauważyła Helka.

— Z pewnością... — odrzekł Funio.

— Funio ma zgromadzeniu przedstawić różne wnioski...—dodała Niunia.

W tej chwili, przy tylnych drzwiach szmer jakiś powstał; Funio, Niunia i Helka odwrócili się w tym kierunku.

— Obywatel Derdidias i obywatelka Kaleńska...—rzekł Funio głosem woźnego, wywołującego strony.

Derdidias i Justysia, witając się na wszystkie strony, postępowali ku środkowi sali. Justysia

była ubrana z pretensją, imitującą męszczyznę: miała włosy bardzo krótko strzyżone, nieuczesa-
ne wcale, spodniczkę gładką, krótką, zamiast sta-
nika—wiszącą niedbale bluzkę, krojem męskim
uszytą, stojące kołnierzyki z krawatką, po męsku
zawiązaną, a na głowie męski kapelusz, którego,
wzorem współbiesiadników, nie zdejmowała. Chód
i ruchy starała się, o ile można, zbliżyć do mę-
skich; naśladowanie nie udawało się jej wcale,
pomimo widocznej chęci zachowania swobody
i giętkości, a całość robiła wrażenie niesmacznej
arogancyi.

Justysia, od chwili opuszczenia wspólnego
mieszkania z Helką, emancypowała się coraz
bardziej i poddawała coraz chętniej wszelkim wy-
maganiom i wybrykom kółka, w którym żyła.
Zaraziwszy się raz tą myślą, że postęp i samo-
dzielność kobiety, jako też równoprawność jej
z męszczyzną polegają na zbliżaniu się do
tego ostatniego, w ekscentrycznem zachowaniu
się i życiu znalazła rozwiązanie zagadki postępu;
przebaczyła więc Derdidasowi Lowelasowskie wy-
cieczki, a raczej wytłómaczyła je sobie po swo-
jemu i żyła dalej, jakby w gorączce jakiej.
Oczywiście, że w takim położeniu towarzyskiem
i umysłowem, o nauce na seryo mowy być nie-
mogło; wpadłszy w wir, musiała się w nim obra-
cać, pomimo swej woli.

Zbliżywszy się do stolika, przywitała się za-

maszyście z Funiem i Niunią, ledwie głową kiwnąwszy Helce. Funio nie omieszkał skorzystać z metamorfozy Justysi.

— Oto zuch dziewczyna! To lubię!—wołał, trzęsąc ręką Justysi, jakby ją oderwać pragnął. —Tak, to lubię! POCO te fioki, loki, warkocze, gorsety, kwiaty przy kapeluszach etc.? Funta kłaków to wszystko nie warto! Wszystko, obywatelko, do możebnej prostoty doprowadzić—oto mój systemat! Czas jest najdroższy na świecie, zdrowie najpotrzebniejsze, a zawijanie loczków—splatanie warkoczy — to pańska robota. Noszenie gorsetów — to duszenie się dobrowolne! Niech chorym na sentymentalizm pańienkom zdaje się, że na loczkach, lub na ściśniętym jak u osy gorsecie siedzie amerek ze strzałą... ja wolę prawdę, zdrowie, siłę!

Przy tych wykrzykach, obracał naokoło Justysię i chwalił jej prostotę sukni, kapelusz, fryzurę. Dobra, ale w gruncie płytka i próżna Justysia rosła, wynoszona pochwałami Funia, jak na drożdżach.

— Ubieram się tak wcale nie z zamiarem pozowania—odpowiadała, skromność udając—ale mi tak dogodniej poprostu; zamiast godziny, tracę dziesięć minut na ubranie się...

— Słusznie, słusznie!—wołał Funio—prawda przedewszystkiem! to jest moja zasada!

Była to w istocie zasada nieszczęśliwa o tyle,

że się z nią codzien niezliczoną ilość razy kłócił.

Do chwalonej na wszystkie strony Justysi zbliżył się Derdidasa.

— Każ sobie, obywatelko, dać piwa... i trzeba otworzyć posiedzenie.

Funio nacisnął guzik od dzwonka na kelnera, i za chwilę przed Justysią stanął największy kufel piwa.

Posiedzenie, pod prezydencją Derdidasa, rozpoczęło się oficjalnem sprawozdaniem, którego wszyscy wysłuchali w milczeniu; poczem prezydujący dał głos Funiowi.

Funio, wzięwszy swój kufel piwa do ręki, przeszedł przez salę, na stole prezesa go postawił, a sam obok stołu stanął na podwyższeniu, jedną rękę niedbale w boczną kieszeń od spodni włożywszy, drugą za kamizelkę, i łamaną niemiecką mówić rozpoczął.

— Po polsku! po polsku proszę mówić! — odezwało się kilka głosów z końca sali.

Uwaga ta skonfundowała trochę Funia: zatrzymał się na chwilę, jakby nie wiedział, co począć, i wahał się, w jakim języku dalej mowę kontynuować. W tej chwili dzwonek Derdidasa do porządku zawołał.

— Szanownym interpelantom — zauważył prezes — przypomnieć muszę, że Towarzystwo jest *międzynarodowem*; każdy więc może przemawiać językiem, najlepiej zrozumiałym większości.

Głos z końca sali zainterpelował znowu:

— Więc po francusku proszę mówić!

— Francuzów pośród nas niema—odrzekł Derdidas.—Dziwi mnie to mocno—ciągnął dalej w patetycznem *tempo*—że panowie podnoszą na tem zgromadzeniu sprawę języka wtedy, kiedy nas łączy idea inna: troska o przyszłość ludzkości. Nie idzie nam wcale o to, jakim językiem mówić będzie robotnik, ale ile on zarabiać będzie; nie idzie o to, jakiej narodowości jest wyzyskiwacz, kapitalista, *burżoa*, ale o to, ażeby ludzi wyzyskiwanych, krzywdzonych, wyzutyh z pod wszelkiego prawa przez silnych i potężnych cywilizowanych rozbójników, bronić,—do tego nie potrzebny nam język i narodowość!

Potem zwrócił się do Funia:

— Głos ma obywatel Świderk...—rzekł.

Funio pociągnął haust piwa, odchrząknął, i z ręką w kieszeni, z nogą wystawioną naprzód, mówić począł. Mówił o wszystkim i o niczem; temu, co powiedział z początku, zaprzeczył w kilka minut potem; to, co z błotem zmieszał, za chwilę wyniósł pod niebiosa. Robił zaskoki, jak zając, na wszystkie strony, a nikt ze słuchaczy nie wiedział, dokąd go rozumowanie Świderka zaprowadzi. Kiedy cierpliwi współtowarzysze zdrzemnęli się nieco, budził ich z drzemki ryk Funia, który rzucał zgromadzonemu, jak racę, jakiś frazes gwałtowny.

— Patryotyzm, panowie, to pojęcie szlacheckie, to sztandar spłowiwały; pod tym sztandarem nie pójdziemy w bój w przyszłości. Naszem hasłem jest lud, wszystko przez lud, wszystko dla ludu!

— Tak! tak!—odzywały się głosy.

— Nie lud, lecz robotnicy!—ktoś dodał.

— Tak jest! robotnicy!—ciągnął Funio—ci wszyscy, którzy pracują rękoma własnymi...

I znowu puścił w ruch młynek swojej wymowy, a frazesy bez składu i ładu sypały mu się, jak z rękawa. Temat jego mowy brzmiał bardzo ponętnie: *O potrzebie samoobrony*; ale już blisko godzinę pracował Funio piersiami, a jeszcze o samoobronie nie mówił. Nareszcie głos jego zabrzmiał znowu *furioso*:

— Panowie!—wołał—ludzkość dąży do przepaści, trzeba ją ratować, zatrzymać, póki czas jeszcze. Przemoc i gwałt rozsiadły się tak szeroko, że jeżeli nie przedsięweźmiemy energicznych środków ratunkowych, zginiemy, panowie!... rządy zniszczą wszystkie szlachetniejsze jednostki i na świecie zapanuje noc, noc czarna, pośród której przechadzać się będą upiory, nasycone krwią ludzką. Dziś, panowie, Bismark wydała z Prus 30 tysięcy Polaków — czyż i my w ich obronie słowa jednego nie wyrzekniemy, a będziemy milczeć tak, jak cała Europa milczy?

Dérdidas nieznacznie głowę zwrócił ku Fu-

niowi i pod wąsami prześliznął mu się uśmiech złośliwy, ale mowy mu nie przerywał.

— Nie, panowie,—ciągnął dalej Funio—Towarzystwo Międzynarodowe musi zaprotestować w imieniu sprawiedliwości przeciwko takim gwałtom. Napisałem na imię kanclerza protestacyą, którą pozwolę sobie szanownemu zgromadzeniu przeczytać.

Tu sięgnął do bocznej kieszeni, wyjął papier, rozwinął i począł czytać dobitnie:

— „Trzydzieści tysięcy Polaków wypędzono z Prus! Europo! niema już dla ciebie wolności! Krzywda staje się uciśnionemu narodowi i nikt go nie broni! Protestujemy gorąco przeciwko samowoli rządu pruskiego...“

Pomimo wszystkie wymówki krasomówcze Świderka i socyologiczne łamigłówki, czuć było, że Funio, zniżywszy się z obłoków marzeń do codziennego życia, głęboko odczuwał krzywdę krzyżacką i więcej wtedy myślał o własnej biedzie, niż o całej ludzkości.

— Protestujemy!—wołano, gdy skończył.

— Protestujemy!

Derdidas zadzwonił i głos zabrał.

— Widzę—rzekł spokojnym głosem—że się stało nieporozumienie: zdaje mi się, że jesteśmy *Międzynarodowem Towarzystwem...*

— Tak jest!...

— Tak!...

— A więc naszym zamiarem jest wywalczenie lepszych warunków dla pracującej a ubogiej ludności?

— Naturalnie!

— W takim razie któż z was zareczy, panowie, że owych wypędzonych trzydzieści tysięcy Polaków nie znajdą właśnie za granicą lepszych warunków egzystencji, niż w Prusiech? Ja utrzymuję, że znajdują. Ekonomia społeczna uczy nas, że im ludność mniej liczna, ziemia tańsza, środki pożywienia przy zapotrzebowaniu na pracę zdobywa się łatwiej. Wschód Europy jest jeszcze, panowie, miejscem, które ludzi chętnych łatwego i dobrego zarobku nęcić będzie. Mojem więc zdaniem, Bismark wyrządza Polakom dobrodziejstwo, już nietylko z powodów wyżej wzmiankowanych, ale i dlatego, że naród, uważając owych trzydzieści tysięcy wydalonych za pokrzywdzonych niesprawiedliwie, niezawodnie przyjdzie im w pomoc, inaczej nie przyszedłby nigdy. W ten sposób wydaleni zyskają tylko. Jeżeli tak, jakież mamy prawo protestować w ich imieniu? Wyrządzilibyśmy im krzywdę, bo protest nasz nie przeszedłby głucho w Europie, szczególnie zainicyowany przez takie znane osobistości, jak szanowny kolega Świderek. Dlatego uważałbym, ażeby w sprzeczności z naszymi socyologicznymi przekonaniem nie stawać i nie protestować; pokrzywdzeni, jeżeli się czują pokrzywdzonymi, według

mego przekonania, którego, sędzę, tylko ludzie bardzo ograniczeni podzielać nie będą,—powinni sami protestować.

Derdidas zamilkł. W sali zapanowało milczenie: nikt nie miał odwagi przyznać się do tego, że należy do ludzi ograniczonych. Śród milczenia jeden głos odezwał się tylko ze środka sali, ku któremu skierowały się wszystkie spojrzenia; był to głos Helki:

— Pan prezes podniósł rzecz wyłącznie ze strony ekonomicznej, jeżeliby wyraz ten mógł być odpowiednim; ja sędzę, że ją należy jeszcze traktować z punktu prawnopaiństwowego i ogólnoludzkiego; co zaś do protestu, jestem przekonaną, że on nie może i nie będzie miał żadnej doniosłości, chociaż uznaję słusność słów, że trzeba się bronić od „potężnych cywilizowanych rozbójników.“

Derdidas poczerwieniał lekko. Widział, że stawał w sprzeczności ze sobą samym. Postanowił więc uciec się do dyalektyki.

— Uwagi szanownej obywatelki są głęboko sprawiedliwe, tylko z punktu socjalistycznego nie widzę w tym wypadku żadnego gwałtu. Pannie! Jeżeli stu robotników zarabia tyle, że ledwie wyżyć może, czy, dając zarobek pięćdziesięciu w innem miejscu, popełniamy względem jednej i drugiej połowy gwałt i zbrodnią? Wszak nie? Wyrządzamy jednym i drugim dobrodziej-

stwo, bo dajemy możliwość lepszego zarobku, dwa razy większego, niż był poprzedni. Jakiż więc cel miałyby nasza protestacya? W gruncie rzeczy protestowalibyśmy przeciwko temu, ażeby nie dać robotnikom większego zarobku! Byłoby to więcej, niż głupstwem z naszej strony, nonsensem, a jako prezydent Towarzystwa międzynarodowego, nie zgodziłbym się nigdy na dobrowolną kompromitacyą; byłoby to stawaniem w sprzeczności z własnymi zasadami, byłoby to przyznaniem się do niedołężności umysłowej, niezdolnej zrozumieć wyższych celów; sądzę, że między nami, gdzie zasiadają ludzie tak jasnych i stałych przekonań, jak państwo Świderkowie, jak obywatelka Kaleńska, nie znajdą się tacy, którzyby na mój wniosek odrzucenia projektu nie zgodzili się.

Po skończonej przemowie Derdidasa, chwilę trwało milczenie; Funio, podrażniony w uczuciu miłości własnej, głos zabrał:

— W zasadzie nie podobna nie zgodzić się na słuszne wywody obywatela Derdidasa, ale z punktu narodowego...

Derdidas wpadł mu w mowę.

— Pan jesteś socyalistą?—zapytał.

Funio odrzekł z pewną dumą:

— Dałem tego dowody. Cała moja przeszłość i praca mówią, pod jakim stoję sztandarem...

— To też imię Świderka znane jest całemu światu... Nie wątpię o tem nigdy, że pan je-

steś socyjalistą i że ci wszyscy, pośród których mamy zaszczyt przemawiać, stoją pod najpiękniejszym sztandarem ludzkości; ale co nas obchodzi naród, idea narodowości? Jest to małe ziarnko, zlewające się z wielką ideą ludzkości; cóż ono może obchodzić tych, których celem jest cała ludzkość, wielka i niepodzielna? Broniąc narodowości, wysuwalibyśmy się mimowoli na ciasne drożyny socyjalistycznego partykularyzmu, cóżby się wtedy stało z naszym szerokim gościńcem ludzkości?

Derdidas zamilkł. Świderek powstał gwałtownie ze swego siedzenia i z giestem i głosem furioso zawołał:

— Wobec przekonywających dowodów szanownego obywatela Derdidasa, czuję się pokonanym i wniossek cofam.

Ponieważ głosu więcej nikt nie zabierał, Derdidias posiedzenie zamknął, z trybuny zeszedł i przy stoliku, przy którym już siedzieli Świderkowie, usiadł.

Większość członków Towarzystwa międzynarodowego była z Polaków; czuli oni, że garstka Niemców rej wodzi, że im narzuca swoje przekonania, opinie, że z każdej strony ciska na nich obelgą; ale byli to ludzie młodzi, niedouczeni, którzy, jak ślimaki do liści, przyczepiali się do cudzej sławy, do cudzego imienia i, zacierając swój własny, wychwalali jakiś inny ideał, uwa-

żany za piękniejszy i lepszy. Łączyły ich z obcoplemienną garstką awanturników nie przekonania, ale wygórowane pojęcie koleżeńskiej solidarności w imię niby wspólnej idei, pojęcie rozumiane z całą szczerością młodzieńczą, które nie pozwalało im wątpić o powadze wodzów, chociaż płytkość ich i sofisterya rzucały się często najmniej uważnym w oczy. Idąc za głosem innych, wymyślali na szlachtę, narodowość, patryotyzm; ale ile razy krzywda rzeczywista stała się jakiejś częścią narodu, tyle razy krzywdę tę odczuli. Byli to ludzie, których bałamucić można było mniej więcej długo, ale do pewnej granicy; opamiętawszy się, odsuwali się ze wstrętem od tych, którzy ich z rozmysłem nieraz, a często we własnym interesie, prowadzili na kręte ścieżki, tłómacząc, że prowadzą na szeroki gościniec.

I ostatnie posiedzenie, którego byliśmy świadkami, nie obeszło się bez krótkich protestów, w których więcej było myśli i uczuć, niż słów, które jednak przechodziły bez odgłosu pod wpływem dyalektyki Derdidasów różnej narodowości. Po skończonem posiedzeniu, część towarzystwa wyszła natychmiast, do tej części należała także Helka. Pozostali, przy wspólnej biesiedzie, mieli jeszcze parę godzin spędzić. Funio ustąpił wprawdzie dyalektyce Derdidasa, więcej może dlatego, aby dać dobry przykład zgodności i nie pokazywać drogi do rozłamu stowarzyszenia, niż przed ar-

gumentami przędującego; w głębi duszy czuł jakiś gniew, jakąś urazę za obrażone uczucie narodowe, za niesprawiedliwość, popełnioną na trzydziestu tysiącach ludzi, niesprawiedliwość tak podłą, że dla niej nazwiska wyszukać nie mógł. Czy chciał wewnętrznej potrzeby uczynić zadość, czy może poprostu dać głośno wyraz swoim uczuciom, dość, że, kiedy Derdidas zaproponował śpiew, Funio powstał, podniósł frenetycznie rękę do góry i huknął z całej siły znaną piosenkę:

Bartoszu! Bartoszu!
Hej nie traćwa nadziei!

Za nim kilkunastu młodzieży zamasyście podchwyciło piosenkę. Derdidas słuchał z udaną powagą, z gniewem źle tajonym, ciągnął z kanetki powolnie łyki i w kufel wzrok zatapiał. Po skończonej zwrotce powstał i głośno zawołał:

— *Rogo vocem!*

Uciszyło się zupełnie.

— Szanowni obywatele i obywatelki! Jakkolwiek nawet w nieznaney mowie przyjemnie jest słuchać piosenki, w której zapewne Polacy chcą wyśpiewać nasze wspólne cele i zadania; co do mnie, muszę waszę uwagę, szanowni obywatele i obywatelki, zwrócić, że my, studencką tradycją chowając ściśle, powinniśmy śpiew rozpocząć międzynarodową pieśnią. — Tu ręką w powietrzu tak machnął, jakby znak dawał, czoło

zmarszczył, gębę otworzył szeroko, jakby miał połknąć wszystkich, głowę nieco do góry zadart i śpiewać począł:

Gaudeamus igitur,
Juvenes dum sumus...

Cały tłum, napełniający salę, księżowskim głosem *gaudeamus igitur* ryknął. Derdidas nie dał sobie po pierwszej strofie przerwać i dalej śpiewał zapamiętale:

Vita nostra brevis est,
Brevi finietur,
Venit mors velociter,
Rapit nos atrociter,
Nemini parcetur...

Po skończeniu piosnki rozmowa potoczyła się wesoło, a iskierki oburzenia, błyskające w polskich piersiach, nie gasły, ale zalewały się kolumnami, hojnie szafowanymi przez Derdidasa i jego adeptów. Kiedy wesołość, wrzawa, śmiechy dochodziły, zdawało się, do zenitu swego, Derdidas znowu z ręką wyciągniętą do góry o głos prosił:

— *Rogo! Rogo vocem!*—wołał, ale wrzawa była tak wielka, że go ledwie najbliżsi słyszeć mogli.

— Uciszcie się, panowie!

— Cicho! Derdidas ma głos!

— Niech mówi! Niech mówi!

Po chwilce Derdidas *speech* rozpoczął:

— Obywatele i obywatelki! W imieniu zebranych tu pozwalam sobie podziękować wam, żeście dzisiaj zgromadzenie tak licznie zaszczyliście; upatruję w tem dowód jeden więcej, że silnie i mocno jesteście zgrupowani koło jednej drogiej nam idei: szczęścia ludzkości. Tylko młodzi, szlachetni, bezinteresowni, jak wy, obywatele i obywatelki, możecie się poświęcać dla idei, która wam nic nie daje, a zaspakaja tylko poczucie własnych obowiązków. Niech więc żyje ludzkość! A żyć będzie, dopóki będzie miała takich, jak wy, obywatele i obywatelki, obrońców.

Od wszystkich niemal stolików poczęto wołać:

— Niech żyje ludzkość!

— Niech żyje Derdidas!

— Niech żyje Świderek!

Kiedy się nieco uciszyło, Derdidas znowu głos zabrał:

— Obywatele i obywatelki! Dziękuję wam za te oznaki uznania, tak dla mnie drogie. Nie mogę inaczej odpowiedzieć na nie, jak tylko: „Niech żyje wolność! niech żyje! Niech żyją Niemcy, obrońcy wolności!“

Przy ostatnim wiwacie, niektóre twarze nachmurzyły się. Spostrzegł to uważny Derdidas i złe wrażenie starał się zatrzeć; znał swoich słuchaczy i wiedział, że się dają najłatwiej złapać na górnobrzmiące słowa.

— Dzisiejszą uroczystą duchową zakończmy pie-

śnia na cześć wolności! — rzekł podniesionym głosem.

Nie czekając na innych, sam śpiew rozpoczął:

Freiheit, die ich meine,
Die mein Herz erfüllt,
Komm' mit deinem Scheine,
Süßes Engelbild!
Magst du nie dich zeigen
Der bedrängten Welt?
Führest deinen Reigen
Nur am Sternenzelt?

Zgromadzeni, po skończeniu piosnki, dopijali kuflów i wołali jeden po drugim, na cześć wolności, nieskończone, zda się: *prosi!* *prosi!* Niektórzy poczęli wychodzić.

Derdidas zwrócił się do Justysi:

— Szanowna obywatelko, i nam czas!

— Ależ, obywatelu, — mówiła słodko, sznurując usta, Niunia — jeszcze wcześniej... dziesiątej niema...

— Dobrze właśnie...

— Mamy już bilety do *Theâtre Eden*... dziś śpiewa panna Jeanneton...

— Warto posłuchać — dodał, zwróciwszy się do Funia z rodzajem zachęty.

— Idź, moje złotko... — rzekła Niunia, do której mąż pytające spojrzenie skierował. — Bądź-co-bądź, ostatecznie nic na tem nie stracisz...

— Doskonale! — podchwyciła Justysia — prze-

nocujesz pan u kolegi Derdidasa w *Hôtel de l'Etoile*...

— Idź, moje złotko, idź—nalegała Niunia—rozerwiesz się trochę... ty zawsze tak jesteś zajęty...

— Prawda... praca moja taka sucha...

— Więc idziemy?—spytała Justysia.

Funio palcem jej pogroził.

— Ej, obywatelko! gdyby to mama wiedziała o tem!...

— Nicby nie powiedziała, ręczę.

— Jako? nic?

— Nic.

— Moje złotko! czyżto kobiecie niewolno nawet do teatru, na spacer, pójść samej? Zawsze się ma trzymać spodniczki mamy, lub poły męzowskiego surduta?

Funio uśmiechnął się do żony.

— O, mój kotku! tobie przecież znane są moje przekonania; ja pragnę najszerszej autonomii, że się tak wyrażę, dla kobiety, najszerszej, najszerszej...—mówił, coraz bardziej na ostatnie wyrazy powtarzane naciskając. — Co wolno mężczyźnie, wolno powinno być kobiecie—oto moja zasada!

Ostatecznie Funio zdecydował się pójść; mieli tylko z Derdidasem i Justysią wspólnie odprowadzić do domu Niunią, która wymówiła się pracą gwałtowną, a potem wsiąść do tramwaju przy

końcu ulicy *Batignolles* i pojechać wprost na *Boulevard Sébastopol*. Nic im nie przeszkodziło udać się w tym kierunku.

VI.

W Edenie było tak duszno i parno, jak w piekle. Zdaje się, że licznie zgromadzeni widzowie czuli to najlepiej, bo garsoni snuli się we wszystkich kierunkach, roznosząc kawę, lody, ciastka, limoniadę. Niech to naszego polskiego czytelnika nie dziwi: w paryskich Edenach wszystko, a przynajmniej wiele rzeczy, wolno, a zarówno antreprenier, jakoteż widzowie i aktorowie, nie traktują wcale sztuki poważnie. Chodzi tylko o to, aby bawić publiczność najwesелей i najdowcipniej, a sama, jak osy do słodyczy, zlatuje się do teatru. Największą ponętą jest tu gruba niekiedy farsa, rzadko dowcipna komedyjka jednoaktowa, a najczęściej przysmak, znany u nas pod nazwą *szansonetki*.

Jaka sztuka, takie traktowanie. Cały wysiłek aktorów skierowany jest na to, aby ciągle drażnić grube zmysły episiejów, w ogóle *swojej* publiczności, która, nawykła do pieprzyku, byle czem się nie zadawalnia. Dlatego, ażeby się śmiać i łechtać ciągle nerwy, niekoniecznie potrzeba spokojnej uwagi: można swobodnie pić kawę lub koniak, chrupać czekoladkę lub cukierki.

Pomimo wcale nieidylicznego charakteru, Eden

bywał zwykle przepelniony młodzieżą płci obojej i starcami, którym jeszcze pozostały oczy i uszy do nasycania się dwuznacznymi ruchami i słowami śpiewaczek.

Do takiego przybytku sztuki zaprowadził Derdidas Justysię na mocy równoprawności kobiety. Justysia nigdy jeszcze w takim „Edenie“ nie była; olśniło ją to wszystko: wielkość, piękność, zbytek, który dokoła widniał, a przede wszystkim swobodne zachowanie się publiczności, wcale nie krępującej się obecnością płci pięknej i oklaskującej najwydatniejsze giesta i najsubtelniejsze podkreślenia aktorek. Panna Jeanneton знаła dobrze gust publiczności i umiała podkreślać co się zowie z gustem; żadnej sferze widzów i słuchaczy dłużną nie pozostała. Staruszkom, lubiącym silne wrażenia, śpiewała starą piosnkę Bérangera z wystudyowanymi giestami, niby mimowolnemi, ile razy wypadło powtórzyć: *Un peu plus haut relevons-la...* Zazdrośnym i sentymentalnym kochankom kładła do ucha:

Je sais bien qu'elle est coquette,
Ma Lise aux yeux bleus et doux...

Amatorom dwuznaczników śpiewała: *Déjà!*... przystosowując go do najsmutniejszych i najweselejszych stron życia. Wszyscy obdarzali ją hucznymi oklaskami, którym towarzyszyły rozpasane śmiechy ziemskiego Edenu.

Teatr (używam tego wyrazu w całej rozciągłości), jeżeli ma wpływ dobry wywierać, powinien nie tylko bawić, ale i uczyć; małe teatrzyki, do których kategorii Eden należał, miały cel jeden: bawić tylko—i bawiły dobrze, a przynajmniej wesoło; trzeba im to przyznać, bawiły kosztem chwili bieżącej, kosztem najżywoźniejszych nieraz, najgorętszych zadań społecznych. Wyśmiewano tu wszystko: małżeństwo, rodzinę, kobietę, miłość, z jednakowym cynizmem, a publiczność zawsze równie gorącymi oklaskami nagradzała dowcip, nie troszcząc się o to wcale, że zapach zarazy udziela się w oklaskach i uśmiechach wszystkim obecnym, że z dusznej sali Edenu wciska się do rodzinnego ogniska i tam spokojną atmosferę zatruwa.

Jedną z pałacych kwestyi dnia, którą panna Jeanneton rozwiązywała przed słuchaczami i słuchaczkami Edenu, była: *le recherche de paternité*. Z dzienników, z pism, z rozpraw porannych, kwestya ta ośmieszona stanęła nareszcie na scenie małych teatrzyków, a stąd przeszła do wszystkich warsztatów, kawiarni, *estaminetów*, bulwarów, a zakończyła się śpiewem i gwizdaniem gamenów. Nic tedy dziwnego, że i publiczność Edenu przyjmowała dowcipną satyrę z ust panny Jeanneton z frenetyczną radością i wrzaskiem:

On connaît toujours sa maman
Cer-tain-ne-ment ..

Panna Jeanneton rozciągała i podkreślała sylaby, wodząc zalotnem i zuchwałem spojrzeniem po zarumienionych twarzyczkach panienek, zasłuchanych w słowa, zapatrzonych w każdy ruch śpiewaczki, i połykających wrażenia z jakąś gorączkową skwapliwością, po rozognionych twarzach mężczyzn, ścigających wzrokiem ruchy estradowej bohaterki i z przytłumionym oddechem, z nerwowym kurczem w głosie, powtarzających za nią na głos:

Cer-tain-ne-ment...

Panna Jeanneton, w takt ogólnego nastroju, wtóruje z uśmiechem dwuznacznym: „Cer-tain-ne-ment...”

Głos jej znowu zmienił *tempo* i z *piano* podniósł się do żywego *moderato*:

Mais quand à son papa,
Ce n'est pas ça!
Ce n'est pas ça!

Cała sala zatrzęsa się od śmiechów i okłasków, a tłum, rozgorączkowany gazem, ponczem, absyntem, wrzeszczał za nią:

Ce n'est pas ça!
Ce n'est pas ça!

Justysia nie mogła się poznać na rozmaitych podkreśleniach i grze wyrazów, tak to wszystko było jej obce. Funio i Derdidas tłómaczyli jej.

Słuchała z początku obojętnie, jak słucha każdy rzeczy nieznanych sobie; potem jakąś obrzydliwość poczuła do tych malowanych śpiewaczek, do tych rozhlukanych gorączką namiętności męszczyzn, poniewierających publicznie uczuciem odrąconej matki, której nie broni ani prawo, ani obyczaj, ani głos publiczny.

— Ach, jakież to obrzydliwe!—rzekła do Derdidasa.—Chodźmy, nie mogę tu dłużej zostać...

— Co obrzydliwe?—pytał Funio.

— Dlaczego?—pytał Derdidasa.

Justysia w tej atmosferze paru, alkoholu i wydychanego z płuc powietrza, zawrot jakiś poczuła w głowie.

— Jakto? Panowie pytacie, co obrzydliwe? Dlaczego? Matka, która ma odwagę przyznać się do swego dziecka, przyznając się, popełnia rodzaj bohaterstwa; więc za cóż wlec ją tu przed forum publiczne i publikować? Dlaczegoż *on* się ukrywa?

— Kto winien, ten pokutuje—zauważył sentencyonalnie Funio.

— Przepraszam — odrzekł Derdidasa — ja tu żadnej winy nie widzę; jest to naturalne położenie naturalnego stanu rzeczy.

— Ach, nie, nie, nie, panie!—wołała Justysia, do Derdidasa zwrócona—to się wytłómaczyć nie da. Kiedy przyznaje dziecko matka, i ojciec przyznać powinien.

Szczyściem było to już *post festum*; kurtyna

spadła i słuchacze rozchodzić się poczęli do domów. Justysia z Funiem i Derdidasem przeciskała się powoli do wyjścia, a znalazłszy się raz na chodniku, odetchnęła swobodniej. Tam, w tej sali, gdzie tak wesoło śpiewano i śmiano się, czuła jakiś ciężar na piersi i głowie.

— Już nie prędko tu przyjdę — zauważyła, jakby sama do siebie.

Funio protekcyjonalnie uśmiechnął się.

— Pani jeszcze — rzekł — nie pozbyła się sentymentalizmu w życiu... ach, jakie to pęta!

Justysia, zostająca zawsze pod wpływem oburzenia, na uwagę Funia ani słówka nie odpowiedziała.

Czyż była to reakcja i punkt zwrotny w poglądach? Zdaje się. To jednak nie ulegało wątpliwości, że, zetknąwszy się z cyniczną stroną życia, poczuła pewną pogardę, pewien wstręt do ludzi, przedstawiających się takimi, jakimi byli w głębi duszy. Obrzydliwą wydawała się jej zarówno rozpasana swoboda męszczyzn, jak udawana gołębia skromność pańienek, spuszczających oczy, lub rzucających niby przypadkowe spojrzenia na ruchy dwuznaczne i wyciągających łabędzie szyje, aby co żywiej, co pełniej, pochwycić delikatnem uszkiem jakiś ton podkreślony, lub słowo.

Obrzydzenie to musiało być wielkie, bo słowa dotrzymała i do żadnego Edenu więcej nie poszła. Uważniej śledząc jej zachowanie się, można

było nawet pewną zmianę w niej spostrzedz: czasem wydawała się spokojniejszą, głębszą. Nie pozwalało to przypuszczać, aby było następstwem rozwagi i zastanowienia, tem bardziej, że przyczyny takie mogły tylko na dnie duszy — jeżeli to wyrażenie jest właściwe — oddziaływać. Natomiast spostrzeganą zmianę w postępowaniu Justysi starano się wytłómaczyć przyczyną daleko bliższą, a lepiej powiedziawszy, widoczną. Już w zimie gruchnęła wieść, że została narzeczoną Derdidasa. Wieść ta wydawała się bardzo prawdopodobną: Justysia była zamożną dziewczyną, Derdidas synem bogatego bankiera; wobec opinii publicznej, o ile ona do związków matrymonialnych wtrąca się, były to pozycye równe, związek możebny, tem bardziej, kiedy nikt jeszcze nie mógł przypuszczać nawet, że Bismarkowi podoba się pewnego pięknego poranku ustanowić coś podobnego do prawa, zabraniającego Niemcom małżeństw z Polkami.

Justysia nietylko nie zaprzeczała prawdziwości krążących wieści o swoim małżeństwie z Derdidasem, ale zdawała się rozmyślnie utwierdzać wszystkich w tem przekonaniu. Widywania się z Derdidasem, mające z początku charakter przypadkowych spotkań, coraz bardziej przybierały pozory bijącego w oczy przyjacielskiego stosunku, któremu oddawano się z obu stron ze swobodą, niekrępującą się towarzyskimi wymaganiami. Od

czasu bytności w Trocadero, które nieprzyjemne pozostawiło wrażenie Justysi, wiele się zmieniło, i skłonna do ustępstw dziewczyna przebaczyła małe natręctwo koleżeńskie; wkrótce też potem stosunek przyjaźni zmienił się na miłość wzajemną. Było to zresztą bardzo naturalnem następstwem przyjaźni dwóch płci odmiennych, niemożących w pewnych warunkach zachować równowagi uczuć, wyłącznie przyjacielskich. Gdyby Justysia była kobietą dojrzałą, byłaby łatwo odgadła, jaką drogą pójść musi przyjaźń i sympatya dwojga młodych ludzi, z których jedno nazywa się kobietą, drugie mężczyzną. Drogą tą musiała być miłość ze wszystkimi fazami, a często i następstwami.

To samo stało się z Justysią: nie spostrzegła, kiedy z przyjaciółki przemieniła się w zakochaną, a w koledze znalazła kochanka. Instykt samozachowawczy, poczucie godności i uczciwości, wyniesione z domu, nie pozwoliły pójść jej za daleko — uratowały ją właśnie te formy życia towarzyskiego, przeciwko którym walczyła, uważając je za pęta niepotrzebne, te same formy, wyniesione z domu rodzicielskiego, które stały, jak cel do pocisków, jak zaporą do postępu. Było to oczywiście mniemanie błędne, brano formę za rzecz, zapominając, że prawdziwy postęp, polegający na coraz dokładniejszym, lepszym, sprawiedliwszym kształceniu się myśli, może być wci-

śnięty w każdą formę. Nic innego, jak tylko pojęcie o grzeczności towarzyskiej obudziło w niej wstręt do donżuanowskich zalecanek Derdidasa; te same pojęcia osadziły go w zapędach miłosnych i zmusiły do szukania rozwiązania zagadki przyjacielskiego stosunku na innej drodze.

Derdidas, przekonawszy się, że na wedkę koleżeństwa i w imię mętnej idei Justysia nie robi żadnych ustępstw, i poza wszelkie pozory lekko-myślności ani kroku się nie posunie, mając na straży moralność domowego ogniska, której istnienia nie przypuszczał, zmienił stanowczo swoje postępowanie.

Tej właśnie okoliczności należy przypisać, że Justysia w szczerą uczuć Derdidasa uwierzyła; najbliższem zaś następstwem tego była wieść o małżeństwie jej. Wieści tej ani ona, ani Derdidas nietylko nie zaprzeczali, ale przy zdarzonej sposobności sami mówili o tem, jakby starali się stosunek swój uczynić wyrozumiałym i wytłómaczonym. Takie wytłómaczenie stawało się teraz właśnie najbardziej koniecznem, kiedy wobec znajomych pokazywali się zawsze razem, jak Orestes i Pylades. Młoda para narzeczonych nie dziwiła nikogo; zdarzało się już nieraz, że panienki, pozornie bardzo do nauki zapalone i ślubujące wieczną służbę u ołtarza światła, po dwóch latach bujania po bruku, knajpach, przerzucania się spojrzeniem z ładnymi chłopcami, przeplatanego czy-

taniem i przygodną nauką, ranione strzałą Amora, pokornie schylały głowę w barbarzyńskie jarzmo małżeństwa i przysięgały wierną służbę Hymenowi. Dlatego też i wieść o połączeniu się Justysi i Derdidasa przyjęto chłodno, ale, jak się zwykle dzieje, nie bez złośliwych uwag.

Oboje narzeczeni przyrzekali solennie uczyć się dalej, i oczekiwali spokojnie wiadomości od rodziców—Derdidas z Berlina, Justysia z Rejek, którzy mieli zezwoleniem swoim dwojgu ludzi drogę do szczęścia otworzyć... Nareszcie otrzymali listy, które nietylko ich wzajemnych żądań nie zaspakajały, ale nie nadawały się nawet do tego, ażeby treścią ich można było wzajemnie się podzielić. List ojca Derdidasa brzmiał w te słowa:

„Kochany synu! Od kilku lat już jestem zawsze przygotowany na rozmaite twoje wybryki, które mniej więcej przewidzieć się dawały; ostatni list twój dowodzi nietylko, że zdolny jesteś do niespodzianek najmniej prawdopodobnych. To, co robiłeś dotychczas i co nazywałeś „pracą,“ było próżniaczem majaczeniem, głupstwem poprostu, na które mogłem patrzeć przez szpary. Z socjalisty stawałeś się anarchistą, z anarchisty komunistą, z komunisty—jak sam powiadasz—stałeś się idealistą i utopistą; to wszystko mało mnie obchodzi: czy ty jesteś czarny, czerwony, czy srokaty. Dogadzałem do pewnego stopnia twoim fantazyom, przekupiłem pruskich urzędników,

ażeby na twoje szaleństwa przez szpary patrzyli; dawałem ci nareszcie pieniądze na wydawnictwo jakiegoś świstka, bez ortografii i sensu bazgranego—na to wszystko mogłem poświęcać kilka tysięcy franków rocznie. Taki wydatek nie groził ani mnie ruiną, ani tobie złamaniem przyszłości. Teraz rzeczy przybierają inny charakter: chcesz się żenić. Jest to nadto *zły interes*, abym się nań mógł zgodzić i zaakceptować. Żona Polka będzie kosztować drożej, niż wszystkie twoje dotychczasowe głupstwa; na ten zaś interes ani zgody mojej, ani pieniędzy nie dam.“

Dalej następowały motywa, z punktu pruskiego wyłożone, które, jako mało nas interesujące, pomijamy.

Justysia od matki nie otrzymała ani słówka, a list ojca był krótki, ale stanowczy:

„Kochane dziecko! List twój ostatni o projekcie małżeństwa z panem Derdidasem dowiódł nam, że za mało się uczysz, kiedy ci wiele czasu pozostaje na miłość; powtóre, że pan Derdidas jest człowiekiem lekkomyślnym, skoro, mając przed sobą najbliższy cel — naukę, i siebie i ludzi niemożliwymi do spełnienia projektami. Dziwi nas i zastanawia również twój wybór z tego względu, że, jak mówisz, pan Derdidas jest Prusakiem; czy we Francyi nie wiedzą, co wyrabiają z nami Prusacy? Jest w tem coś niewytłomaczonego dla nas, bo nie chcemy wierzyć, abyś

ty na seryo kochać mogła człowieka, którego może bracia mordują co dzień twoich braci i z ziemi ojczystej ich pędzą. Matka życzy sobie, abyś na czas jakiś przerwała nauki i do Rejek wróciła; w tym celu osobny list do ciebie napisze.“

List ojca i następujący wkrótce po nim list matki w rozpaczliwym jakimś położeniu ją postawiły; z ust ojca i matki słyszała te same przytyki Derdidasowi, którymi dwa lata blisko temu rzuciła jej w oczy Helka. Nie podzielała wcale takiej opinii, nie mogła zrozumieć ani złośliwych napaści na narodowość, ani prawdziwych przyczyn; zdawało się jej, że bezstronnym sądem, szerszym poglądem etycznym na międzynarodowe stosunki, z punktu niby wszechludzkiej sprawiedliwości, górowała ponad wąziutkimi patryotycznymi poglądami kolegów i rodziców. W gruncie rzeczy mniemana wyższość była zwykłą płytkością sądu, opartego na głośnych frazesach, a jeżeli powód do usprawiedliwienia tkwił gdzie, to jedynie w uczuciu miłości, jaką mieć mogła, lub miała, dla Derdidasa.

Bądź-co-bądź, ponieważ odpowiedzi ojca nie odważała się zakomunikować Derdidasowi, z konieczności rzeczy unikać go nieco musiała; w takim samym położeniu był Derdidas—bo ten nie miał czem pochwalić się przed Justysią. Kilka dni wystarczyło mu do zastanowienia się nad swoim postępowaniem; otóż w chwilach rozmysłu

mignął mu nagle przed oczyma plan inny. Z początku błysnął przed nim, jako idea jakaś mglista, ale kształtująca się i wyjaśniająca powoli, a nawet w wykonaniu jej spostrzegał pewne dobre strony. Plan ten, po rozważeniu złych i dobrych stron, przedstawił mu się pod formą ostatecznego rozumowania:

— Nie, Derdidasio! Ty nie jesteś stworzony do spokojnego życia przy domowym ognisku; nie twoje osobiste szczęście jest twoim celem, ale szczęście ludzkości. Ty musisz mieć zawsze ręce wolne, ażeby działać, działać, działać.

Żaden duch dobry nie podszeptał mu wtedy:

— Nie, Derdidasio! Ty jesteś próżniakiem, żyjącym za uciulanę przez ojca pieniądze; ty nie wart jesteś cichego domowego szczęścia, bo niema w tobie żadnej moralnej podstawy, a praca twoja jedyna nie jest dążeniem do utrwalenia szczęścia ludzkości, ale męczeniem bezustannem spokoju dla marzeń niepewnych i dalekich.

Nie mając szczerych zamiarów żenienia się, lecz idąc tylko za wpływem wrażeń i uczuć zmysłowych, zdecydował się był szybko na krok stanowczy, który miał go doprowadzić do małżeństwa z Justysią. Chłodny i cyniczny poniekąd list ojca oblał go zimną wodą, czego rezultatem było przytoczone wyżej rozumowanie. Justysia brała rzeczy na seryo, a o walkach i wahaniach się Derdidasa nic nie wiedziała, nie przypuszczała

nawet, ażeby do nich dojść mogło. Derdidas ze swej strony nie dawał do zrozumienia, że ma zamiary rozbicia pęt, przypadkowo włożonych na siebie; o listach otrzymanych milczeli oboje; Justysia nie traciła nadziei, że wymową swoją zdoła przekonać ojca i matkę, a Derdidas po prostu dlatego, że miał inne plany, które pozwalały już mu nie wspominać o liście ojca.

Tak mniej więcej stały rzeczy w połowie zimy. W postępowaniu Justysi tyle tylko można było dopatrzeć się zmiany, że starała się widocznie zbliżyć do Helki; czy potrzeba wywnętrzenia się i podzielenia się tem wszystkim, co odczuwała i myślała, czy może inne jakie pobudki działały, dość że nagle Justysia poczęła znowu na obiadach w *crèmerie* u Polydora się zjawiać. Był to najłatwiejszy sposób, bo na gruncie neutralnym, zbliżenia się do dawnych znajomych, tem pewniejszy, że ani doktor Łasko, ani Helka, z obiadami Polydora nie rozstawali się. Z porządku rzeczy i Derdidas na *rue Vaugirard* stał się gościem częstym. Przychodził zawsze zaafekowany, zawsze kogoś szukając niby, zawsze w jakimś interesie, chociaż wszyscy widzieli dobrze, że przychodził po to jedynie, aby się z Justysią widywać.

Ledwie po wykładach przedpołudniowych młodzież poczęła się schodzić do Polydora, kiedy

wpadł do sali Derdidas, jak bomba, i we drzwiach prawie z panią Polydore się spotkał.

— Świderka nie było?— spytał.

— Wczoraj był...

— A dziś?

— Nie jeszcze... nie wiem, czy przyjdzie...

— Nie codzień przychodzi?

— O, nie... bardzo rzadko...

Derdidas palcami ruch niecierpliwy. zrobił, o wielki palec pocierając kończyny wszystkich za pomocą przesuwania.

— Mam pilny interes...

Madame Polydore ręką ku stolikowi wskazała.

— Doktor Łasko może będzie wiedział...

Derdidas zwrócił się nagle z udaniem zainteresowaniem.

— Jest pan doktor? Nie wiedziałem.

Żywo ku stolikowi poskoczył.

Przy stoliku siedzieli: doktor Łasko, Justysia i Helka; najprzód z paniami, potem z doktorem przywitał się serdecznie.

— Szukam właśnie Funia... Nie było go?

— Nie...

— Oto gdzieś zawieruszył się!... Naznaczył mi *rendez vous* i zapomniał widocznie.

— Jeżeli naznaczył, przyjdzie...

Derdidas znacząco głową skinął.

— Już powinien być tu... umówiliśmy się na południe, a to jest człowiek akuratny.

Koniec końców, Funia nie było; kazał więc sobie podać nakrycie, przysunął krzeselko do stołu i usiadł.

— Pan nie byłeś na naszym ostatniem posiedzeniu? — zapytał, zwróciwszy się do doktora Łaski.

— Nie byłem...

W odpowiedzi doktora Łaski czuć było pewną niechęć.

— Uchwaliliście co? — spytał jednak po chwili.

— Nic ważnego... to było posiedzenie administracyjne...

— Zdaje mi się, że Funio jakieś wnioski stawiał?

— Stawiał, ale cofnął.

— Ważnego co?

— Nie... — odpowiedział niedbale Derdidas — to w kwestyi nieskończonego sporu między Polakami a Niemcami.

Po chwilce milczenia dodał:

— Pan Świderek chciał, ażeby *Towarzystwo Międzynarodowe* zaprotestowało przeciwko *rugom* pruskim... ale... my przecież nie jesteśmy towarzystwem politycznem! Cóż więc nas mogą obchodzić narodowe waśnie...

— Więc wy ludzkości bronicie, a narodu nie — zauważył doktor Łasko, spojrzawszy w oczy Derdidasowi, starającemu się spokój zachować.

— Funio sam cofnął... przekonał się, że to

nie jest czas na wyrażanie sentymentalnych patryotycznych uczuć.

W słowach Derdidasa czuć było ironią, sprawiającą przykrość obecnym.

— Zawsze jest czas nikczemność i barbarzyństwo napiętnować...— wtrąciła Helka.

— O, tak! tak! — żywo podchwycił Derdidas — tylko że w tym wypadku ani nikczemności, ani barbarzyństwa—ja przynajmniej—nie upatruję...

— Nie u-pa-tru-jesz pan? He? Tak, i pan z pruskiego punktu widzenia masz racją; ci, którzy rozpędzają spokojnych pracowników po świecie, wyrzucają z domów kobiety i dzieci, także w tem nic złego nie upatrują, przeciwnie, Bismark widzi nawet dobre...

Derdidas uśmiechnął się, starając nadać swemu uśmiechowi filozoficzną wyrozumiałość.

— Wy, Polacy, jesteście narodem, stworzonym do konspiracyi—rzekł.—O czemkolwiek mówionoby, cokolwiek by się stało na świecie, wy zawsze znajdziecie sposobność mówić o sobie...

— Pana to dziwi?

— Nie...

— Niechże nie dziwi wcale... Sądzę nawet, że w pewnych zdarzeniach pan potrafiłbyś robić to samo, co Polacy: gdyby pana kto śród białego dnia obrabował i uszłoby mu to bezkarnie, czy przy spotkaniu się codziennem nie pokazywałbyś

pan tego ktosia palcem i nie krzyczał: złodziej i łotr! Jest to obowiązkiem poniekąd moralności publicznej, bo w ten sposób nie można łatwymi i bezbronnych uchronić niekiedy przed wielkiem niebezpieczeństwem.

Derdidas nie zdawał się być wcale przekonany.

— To wszystko wkracza w dziedzinę czysto polityczną — rzekł — dla socjalizmu zupełnie obojętną...

— Przepraszam pana... nie dla socjalizmu, ale dla tej mgławicy socyalnej, w której wy żyjecie... Zresztą zostawmy socjalizm na stronie; czy to, co się dzieje, i dla zdrowego sensu jest obojętnem? Zdaje się, że nie...

— Pan, panie doktorze, bierzesz te rzeczy nadto gorąco do serca; dziś kłóćcie się, pogodzicie się jutro i zapomnicie sobie wzajemne krzywdy...

— Pogodzicie się? Pięknie pan mówisz... Kochany panie Derdidasio, znamy się nadto dobrze, abyśmy nie wiedzieli, co namawianie do zgody znaczy; znaczy to: stańcie się Niemcami, zapomnijcie o tem, żeście tysiąc lat żyli, czuli, myśleli, pracowali dla siebie, zapomnijcie własnych dziejów, języka, pragnień, stańcie się częstką wielkich Niemiec, oddajcie im swoje myśli i krew...

Derdidas dostroił się poważnie.

— Panie doktorze! oprócz socjalisty, ja je-

stem także Niemcem, i śmiem powiedzieć panu, że waszem najbliższem zadaniem politycznem powinna być zgoda w imię ludzkości; nienawiść i oszczerstwo, któremi dziś własną społeczność karmicie, niegodne są wielkiego narodu.

— Daruj mi pan, że poważna pańska mowa śmiech, ale śmiech gorzki we mnie budzi. Mowa pana przypomina mi mowę lisa, który wpadł do do studni i zaglądnącemu do niej kozłowi wodę chwalił, mając nie wodę na celu, ale własne życie. Otwartość za otwartość: kiedy pan mówisz o ludzkości, ja panu powiem, że Niemcy, wobec tego, co robią, stracili prawo przemawiania w imieniu ludzkości. Krótko mówiąc: wy ludzkość macie wprawdzie codzień na języku, ale codzień policzkujecie ją także...

— Pan wybryki ministrów zwalasz na karb narodu...

Chwilkę trwało milczenie wymowne i groźne.

— Panie Derdidasio! przepraszam, że pozwolę sobie jeszcze zapytać pana: skąd się u was biorą ministrowie i rząd? Czy ministrowi wasi są cudzoziemcy?

Derdidasio, zdawało się, nie rozumiał, do czego zmierza zapytanie doktora Łaski.

— Naturalnie, że nie...

— Wiedziałem, że mi pan taką dasz odpowiedź... Ministrowie są dziećmi waszego narodu... tak?

— Oczywiście...

— Mają być wybrani, jeżeli się nie mylę, z pośród najlepszych i najgodniejszych obywateli...

— Taki zwyczaj we wszystkich konstytucyjnych państwach...

— Słusznie bardzo... W ten sposób są oni do pewnego stopnia wyrazicielami opinii pewnego odłamu narodu?

— Do pewnego stopnia, jak pan mówisz, tak.

— Niechże mi pan teraz tę etyczną zagadkę wytłómaczy: jakim sposobem uczciwy naród może nieuczciwych ministrów wybierać, lub tolerować? Wasz naród przecie nie zapomniał czuć, myśleć, czytać, i musi albo dobrze wiedzieć, jak to się nazywa wszystko, co wasi ministrowie wyrabiają, albo spodlił się na pruskim łańcuchu i zapomniał, co to jest miłość i prawda.

Derdidas zbladł od gniewu.

— Gdybym nie był socyjalistą, któremu tylko losy klas robotniczych ciężą na sercu, w tem, co pan mówisz, dopatryłbym się obrazy i wyzwiał pana na pojedynek; ja wolę jednak wierzyć, że, po wywłaszczeniu szlachty, lud polski potrafi żyć w zgodzie z ludem niemieckim, pomimo tego, że pola ich będą graniczyć o miedzę tylko.

Doktor Łasko głową znacząco kiwnął.

— Możesz być pewny, panie Derdidasio, że-
bym pojedyнку nie przyjął... łatwo zapewne zgadniesz, dlaczego. Mam ku temu głębokie moralne

powody... Ja nie jestem dziennikarzem, ani posłem do parlamentu, abym sobie za pośrednictwem pojedynku szukał rozgłosu. Co zaś do zgody, powiem panu szczerze, co myślę: dajcie nam czysty pokój, nie maćcie rozmyślnie głów zapalonych, ale pustych; idźcie wy sobie swoją drogą, my swojej poszukamy sami. Nie żądamy od was miłości—żądamy sprawiedliwości; żądamy, abyście ściągnęli z naszego karku waszą rękę żelazną, abyście jak lasecznik nie wciskali się do naszego organizmu i nie zarażali go trucizną, ażeby po umarłych ojcowiznę zagrabić...

Derdidas, słuchając, uśmiechał się z wyrazem wyższości.

— O, panie doktorze!—rzekł—jak to łatwo innym zarzucać frazesy! Czemże to wszystko jest, co doktor mówił? Szczęściem, są między wami wolni od nienawiści narodowych...

Doktor Łasko czuł się głęboko obrażonym w swoich uczuciach narodowych i ludzkich podłością Derdidasa, chowającą się za ironiczne uśmiechy. Podniósł więc głowę, spojrzeniem pełnym dumy go przeszył i rzekł ze drżeniem w głosie:

— Wiem, że są... Idź, powiedz pan temu, kto was kocha i żyje z wami, że on albo waszych razów nie czuje i nie rozumie, albo jest podły!

Derdidas wysłuchał ostatnich słów doktora Łaski z cynicznym uśmiechem na ustach.

— Panie doktorze! tracimy tylko czas na rozmowie bezużytecznej...

— A pan na czym czas tracisz zwykle? jeżeli zapytać wolno.

Derdidas udał, że na zapytanie odpowiedzieć nie warto, ciągnął więc rzecz dalej:

— Wy, Polacy, każdą mowę zaczynacie i kończycie na ojczyźnie, a w gruncie rzeczy ojczyzna jest głupstwem; dla człowieka jedyną ojczyzną ludzkość...

— Jak dla kogo, panie Derdidasio; dla tych, co z tłumokiem na plecach wędrują dobrowolnie od kraju do kraju, co zakładają kawiarnie, sprzedają trunki, spekulują na papierach wartościowych, tam wszędzie jest ojczyzna, gdzie mogą wyzyskiwać łatwowierność, słabość ludzką, wady ludzkie, lub próżność; ci mogą sobie udawać kosmopolitów; dla nas tam ojczyzna, gdzie nasza ziemia, która nas wykarmiła i do której wrócić pragniemy po skończonym trudzie.

Obiad był już dawno skończony. Doktor Łasko, nie mając zamiaru dalej prowadzić z Derdidasem dyskusyi, wziął za kapelusz; na znak ten, jak na sygnał, poruszyli się wszyscy.

— Nie doczekałem się Świderka—zauważył Derdidaso.

— Ale możesz się jeszcze doczekać — dodał doktor Łasko.

— Nie mogę już... nie mam czasu...

Zwrócił się ku Justysi.

— Pani do domu? — spytał znacząco, widocznie z zamiarem ofiarowania swego towarzystwa.

— Nie; ja idę do Helki... dawno już u niej nie byłam.

Derdidas czuł, że w Helce przyjaciółki nie miał, z towarzystwem więc swoim nie narzucał się. Wyszedłszy od Polydora, kółko rozłamało się na trzy części: Derdidas poszedł ulicą *Vaugirard*, doktor Łasko nawrócił przez plac Odeonu na *Boulevard St-Michel*, a Helka i Justysia weszły na ulicę *Monsieur-le Prince* do *Hôtel du Globe*.

Obie dziewczyny były pod świeżem wrażeniem dyskusyi doktora Łaski z Derdidasem; obie były głęboko podrażnione i obrażone wyzywającą arogancją Niemczyka, ale z wrażeń nie zwierzały się przed sobą. Helka wiedziała również o tem, że Justysia uchodzi w całej kolonii polskiej za narzeczoną Derdidasa; rozmowa o przedmiocie tak drażliwym i tak świeżym, w której narieczony nieszczególną rolę odegrał, nie wydawała się Helce odpowiednią; nie chciała poprostu robić przykrości przyjaciółce, nawracającej się po długim oziębieniu. Justysia milczała z innych powodów: w rozmowie Derdidasa, pełnej pyszałkowatości zbogaconego niemieckiego żyda, widziała nie tylko niedelikatność, nieumiejącą poszanować narodowych uczuć narzeczonej, ale i niewesoły

horoskop na przyszłość. Wprawdzie stawiała nie-raz w obronie swobody przekonań, ale wymagała szczerości i szacunku dla przekonań innych. Kochając Derdidasa, nie przestała być Polką, i czuła wielką przykrość, jaką jej sprawiały pogardliwe wycieczki Niemca. Dawniej nie zastanawiała się nigdy nad charakterem i następstwem swego stosunku; kochała, i zdawało się jej, że to uczucie nie potrzebuje i nie wymaga żadnej analizy.

Rozmowa, której była świadkiem, coś śpiącego dotąd w jej duszy obudziła, coś zasłoniętego odkryła. Mimowoli zastanowiła się nad tem, co ją zbliżyło do Derdidasa i co powinno wiązać przez resztę życia, i ku zdumieniu swemu, nie znajdowała zaspakającej odpowiedzi. Przekonywała się, że zbliżyły ją mylne pozory jednakowych poglądów, bo w istocie godzili się jedynie na to, czego oboje dotykali po wierzchu tylko; Justysia szukała czegoś nowego, pragnęła nadzwyczajności, tak właściwej zresztą młodemu wiekowi, i znalazła to wszystko w ekscentrycznych formach życia, formy te wzięła za treść i łudziła się niemi. Teraz czuła, że są w niej inne jeszcze, głębiej schowane uczucia i przekonania, inny świat wewnętrzny, moralny; w świecie tym, spotkawszy się z Derdidasem, nagle doświadczyła czegoś przykrego: szukała nitki, łączącej ją z narzeczonym, i znaleźć nie mogła. A przecież w tym świecie trzeba będzie żyć co dzień, co godzina,

długie lata może. Poczwała, że od tego, którego kochała, powiało jakimś cynizmem, chłodem, jakby z lochu jakiego pustego i wilgotnego. Nic dziwnego, że takie wrażenie przestraszyło ją, zastanowiło.

Obie dziewczyny szły powoli do hotelu, myśląc o jednym przedmiocie i wzajemnie nie wyjawiając sobie swoich myśli, pokrywając je przeciwnie obojętną i nieinteresującą rozmową. W takim stanie weszły do *Hôtel du Globe*, zwróciły na lewo, i znanymi dobrze, wąskimi i brudnymi schodami szły na poddasze, na którym mieszkała Helka.

— Zawsze w tym samym pokoiku mieszkasz?

— O, naturalnie...

— Przyzwyczaiłaś się?

Helka lewą ręką, ruch lekki w powietrzu zrobiła.

— Nie...

Westchnęła i dodała po chwili:

— Ot, tęskno mi do mego pokoiku w Makosiejach...

Zabłocone schody, chłodne, wilgotne powietrze, jakieś gęste, ołowiane niby, przeciągało przez otwarte okna oświetlające schody, i z trudnością do piersi wciskało się. Nareszcie doszły do poddasza i do znanego dobrze kurytarza na lewo zawróciły. Chociaż było to zaledwie południe, w kurytarzu panowała prawie zupełna

ciemność. Helka poszła przodem i instynktownie prawie do drzwi trafiła. Zatrzymały się obie, a Helka, wydobywszy klucz z kieszeni, drzwi otworzyła.

Zimno jakieś przenikające, nieprzyjemne wionęło na nie.

— O, jakaż tu u ciebie lodownia! — zauważyła Justysia, ręce zacierając.

— Nie zrzucaj płaszcza... możesz przeziębć się...

— Nie każesz palić w piecu?

Helka zrobiła mimiczny ruch głową.

— Przyzwyczajam się nie ogrzewać wcale pokoju...

— Można ci powinszować amatorstwa...

— To potrzeba, a nie amatorstwo.

Helka podkreśliła ostatni wyraz. Justysia spojrzała na nią z pytającym wyrazem twarzy.

— Jakto potrzeba?

— Rzecz bardzo naturalna, moja kochana; nie mam za co kupować koksu.

Justysia ręce złożyła, związawszy je palcami, załamała, opuściła potem gwałtownie; ruch ten, wyrażający zdziwienie, chwilę jedną trwał tylko.

— Czemuż mi nic nie powiesz?

Helka starała się rozmowie nadać ton żartobliwy.

— Palić w zimie, szczególnie, kiedy niema wiele do wydawania, to rzecz zupełnie zbyte-

czna... siedzę sobie w paltocie i prawie chłodu nie czuję...

Justysia rzuciła okiem dokoła po pokoiku, później spojrzenie na Helce zatrzymała i doznała jakiegoś przykrego uczucia, z którego sprawy sobie zdać nie mogła. Helka była wychudła, blada, jakby tylko co z łóżka wstała po długiej chorobie; paltocik miała stary, wyszarzany, choć czyściutki, z pod paltocika przeglądała taka sama, szara, znoszona sukienka, a przecież matka wyprawiła ją tak, jak się u nas dziecko wyprawia, zaopatrzwszy ją w garderobę na lata całe. W pokoiku było jakoś pusto, ubogo. Rozpoczęła się rozmowa o lekcyach, o wykładach, o egzaminach, jak zwykle między uczącą się młodzieżą, ale bez zwykłej swobody, żywości. Helka wydawała się jakąś przygnębioną, przybitą, a powinny być inną przecie: zbliżała się już do końca zakreślonego dla siebie planu nauki. Owo przygnębienie miało jedną ogólną przyczynę: wpływało z troski o ten ostatni rok, który do przebycia pozostał.

— Miewasz listy z domu?—spytała Justysia.

— O, tak... dobra moja mama opędza się tam biedzie, jak może; czekam właśnie lada dzień listu od niej...

— Cóż tam słyhać w Makosiejach?

— Źle słyhać..

Wyraz „źle,” wymówiony jakoś smutnie, zastanowił Justysię.

— Jakto źle?

— Wtenczas, kiedyśmy wyjeżdżały, dobry był rok, a te dwa ostatnie lata okropne były... okropne... Nie wiem, jak sobie biedna mama poradziła... Pisała mi niedawno, że niema kupca na nic, ani na zboże, ani na sad, ruina i koniec w całym kraju! Dawniej Abramko z Wołkowiniec sam przyjeżdżał co rok do mamy i całą krescencyą kupował, tego roku ani pokazał się nawet; mama szukała już kupca i w Wołkowińcach, i w Barze, aby sprzedać za bezcen, byleby trochę gotówki na podatki dostać — nikt nie chce.

Parę godzin upłynęło im na gawędzie, i nie spostrzegły się, kiedy na dworze szarzeń poczęło. Helka zapaliła małą lampkę naftową i na stoliku postawiła.

— A gdzież twoja wielka lampa?

— Zamieniłam na tę...

— Przecież ta tak mało światła ci daje... szkoda oczu, możesz sobie łatwo wzrok nadwreżyć.

— O nie! Mnie ta wystarcza doskonale... Nawet, powiem ci prawdę, jest dla mnie pod pewnym względem dogodniejsza, pozwala mi co miesiąc najmniej dwa franki oszczędzić.

— A to jak?

— Bardzo prosto: mam dość wysokie *réchaud*, w które włożona lampka ogrzewa mi wodę w rą-

delku. W ten sposób nie potrzebuję kupować spirytusu, a czasem mogę ugotować herbatę, lub usmarzyć kotlet, kiedy do Polydora nie idę.

— Ale póki się zagotuje woda, czas tracisz, bo lampka, zamiast oświetać pokój, ogrzewa wodę.

— O nie! Siadam wtedy przy lampie i czytam.

— Winszuję ci.

— Zarazbym ci to wszystko pokazała na praktyce, ale muszę się przyznać, że już od miesiąca prawie herbaty w domu nie mam i nie pijam... Tak się wyekspensowałam na opłacenie egzaminów, że muszę się oszczędzać...

— Jakże sobie radzisz? Pewnie oszczędzasz pieniądze, a marnujesz zdrowie i głodem przymierasz?

— Nie... poczciwy Polydor ratuje mnie czasem parotygodniowym kredytem... Wprawdzie już mu dużo jestem dłużną i zezem na mnie patrzy, ale kredytuje jeszcze... Wieczorem chodzę do niego na szklankę mleka za dwa *sous*, i wegetuję jakoś. Mam jednak nadzieję, że na wiosnę pojedę do naszej kochanej sadyby w Makosiejach i odżywię się...

— I ja pewnie pojedę—zauważyła Justysia.

— Ale pewnie nie do domu.

— A gdzież?

— Może z mężem...

Justysia poczerwieniała; wstyd jej było, że

nie dotychczas przed Helką nie mówiła o swoich projektach, które jej samej wydawały się niby jakieś miraże dalekie.

— O, moja droga — rzekła uspakajająco — więcej w tem jest domysłu niż prawdy.

— Jest to zresztą domysł mój własny, wysnuty z tego, co się przypadkowo o moje uszy obija. Słyszałam już dawno, że wychodzisz za mąż, a od kilku dni słyszę, że pan Derdidas opuszcza Paryż wkrótce; domyślałam się więc, że, pobrawszy się, wyjedziecie razem na czas jakiś, lub zupełnie.

Uwaga ta zmieszała Justysię.

— Opuszcza Paryż? Derdidas? Nic o tem nie słyszałam... nic mi o tem nie mówił.. może to być jedna ze zwyczajnych ploteczek, któremi się nasze polskie towarzystwo żywi codziennie.

Pomimo zamanifestowanej niewiary i zdziwienia, myśl o projekcie Derdidasa opuszczenia Paryża wpadła do głowy Justysi, jak bomba rozpalona. Zabolało ją serce, zbudziła się w niem zazdrość, której nigdy przedtem nie doświadczała. Wyjeżdża? wyjeżdża? — powtarzała w myśli kilka razy pytanie, na które odpowiedzieć sobie nie umiała. Przed dwiema godzinami czuła jeszcze żal do tego człowieka, który w niej poszanować nie umiał godności narodowej, teraz nowa jakaś zagadka stawiała przed nią do rozwiązania.

Wkrótce po tej ostatniej rozmowie, wzburzo-

na, opuściła mieszkanie przyjaciółki ze wzruszeniem jakimś niepojętem: czuła w sobie budzącą się sympatyą i szacunek dla walczącej z biedą dziewczyny, i gniew, żal pewien, do krzyżackiego potomka, który ją w siecie jakieś oplątał.

VII.

Doktor Łasko znał Derdidasa dawno i miał dość na to czasu, aby zbadać dobrze i sprawiedliwie ocenić płytką naturę kolegi, żądnego sławy, popularności, aspirującego do odegrania wybitniejszej roli w tym ruchu społecznym, którego jedną z faz przeżywamy. Nie miał ten agitator ani zdolności wybitnych, ani energii i siły przekonań, które ludzi zapalonych i namiętnych wynoszą niekiedy na wysokie stanowiska. Będąc zamożnym, potrafił za pomocą pieniędzy zrobić to, do czego inni dochodzą za pomocą zdolności i charakteru: to jest ugrupował koło siebie gromadkę niby współwyznawców, w gruncie zaś pochlebców wyrafinowanych, żyjących z okruchów, lub bardzo młodych zapaleńców, niezdolnych dojrzeć szwów, łączących ich z przewodnikami. Gromadka ta, której Derdidasa przewodniczył, długi bardzo czas łudziła się, zaliczając do swego grona doktora Łaskę i wyzyskując jego popularność. Pewne pozory nadawały temu zbliżeniu się charakter prawdopodobieństwa.

Doktor Łasko od bardzo dawna mieszkał

w Paryżu, gdzie studia filozoficzne kończył, a z braku możności zużytkowania ich w kraju inaczej, kształcił się dalej i pracował, posuwając w literaturze różne gałęzie filozofii naprzód. Jednym słowem, w obecnej chwili (biorąc tę chwilę naturalnie w znaczeniu pewnego okresu lat) był jedynym niemal w Polsce pracownikiem wybitnym na dobrowolnie wybranej niwie. Wrodzona zdolność, bystrość i rzutkość umysłu, które każdej jego pracy nadawały charakter żywotności, jednały mu licznych adeptów i wielbicieli i popularyzowały jego imię w kraju. Stąd też w Paryżu stał się pewnego rodzaju punktem ciężenia, do którego zbiegały się drobne duchowe atomy, jak do wielkiej siły. Z braku stowarzyszeń, wyrażających pewne opinie i przekonania, a grupujących koło siebie ludzi pokrewnych przekonań, jedno z kółek tworzyło się bezwiednie koło doktora Łaski.

Już w czasie uniwersyteckich studyów doktor Łasko przyłączył się do stronnictwa ludowego, które nietylko przyszłość narodową opierało na ludzie, ale drogą roztropnej ewolucyi dążyło do wywalczenia dla ludu praw społecznych, politycznych i ludzkich przedewszystkiem. Tymczasem stronnictwo to, bądź skutkiem nihilistycznych wpływów postronnych, bądź pod działaniem ich urabiających się elementów anarchicznych o celach niejasnych i bałamutnych, przybierało charakter

nietylko kosmopolityczny, ale wprost szkodliwy narodowym celom; do takiego stronnictwa doktor Łasko nie mógł należeć i nie należał. Wycofał się więc, ale pozostała tradycya, że był niedawno wybitnym członkiem stronnictwa ludowego i bałamuciła młodzież, wrzając pod wpływem dalekich odruchów socyologicznych, dla której doktor Łasko był zawsze na czele sympatycznej idei. Przy najlepszych więc chęciach, młodzież płci obojga, żadna nauki, światła, a dzielająca ideę, że podstawą przyszłego społeczeństwa nie może być ani szlachta, ani mieszczaństwo, ale lud, zgłaszała się zawsze do doktora Łaski po rady i wskazówki. W ten sposób wpadała w pułapki, zastawione przez Funiów i Derdidasów, kosmopolityzowała się, majaczyła o ideałach ludzkości, i przy najlepszych chęciach i pragnieniach, zamiast pożyteczną, stawała się szkodliwą pracowniczką na własnej glebie.

Czując dwuznaczną swoją pozycją pod względem przekonań narzucanych, a podzielanych rzeczywiście, pozycją, urabianą na podstawie dalekich a niepewnych ech, doktor Łasko sam pragnął wyjść z mimowolnego fałszywego położenia i przy każdej sposobności, w nieco przewlekłych może dysputach, starał się nietylko swój punkt wyjścia zaimanifestować, ale i zaznaczyć różnicę przekonań. Taką drogę do poprawienia błędnych opinii uważał za najkrótszą; dysputy i polemiki

pisemne niezawsze były możebne, a często bezskuteczne. Tem tylko dadzą się wytłómaczyć dyalektyczne zapasy jego z Funiem i Derdidasem.

Niejeden z przyjaciół zapytał go znacząco: czego siedzisz w Paryżu?—Po najbliższem zastanowieniu, odpowiedź na to była bardzo łatwa i dałaby się sformułować w pytanie: co miał w kraju robić? Doktor Łasko kochał kraj na seryo, czuł, że potrzeba dla niego pracować wiele i szczerze, i według swego przekonania pracował, jak umiał i jak mógł. Kraj ubogi, pomimo posiadania skarbów, nieużytych dotychczas, potrzebujący oświaty, nauki, któraby mu dała środki do zużytkowania posiadanych bogactw, potrzebujący ludzi, którzyby bezustannie budzili drzemającą społeczność do podążania nie przodem, jak się ładzą niektórzy, ale tylko za innymi, wymagał rozmaitej, różnorodnej pracy. Doktor Łasko dawał mu sumiennie to, co miał, co zdobył, co pożyczył u rozumniejszych narodów. Charakter jego pracy i kierunek wymagał obecności, zbliżenia się do głównego ogniska; mógł tylko wtedy łatwiej i więcej czerpać światła, więcej zatem oddać go swoim. W jakimś miejskim zakątku osiadły bez środków, oddalony od tego ogniska, byłby mniej pożytecznym. Wprawdzie najbliższym jego celem nie było wcale osiedlenie się w Paryżu, zerwanie nici, łączących go z arteryami kraju; starał się usilnie o jakieś stanowisko, ka-

tedrę, któraby mu otworzyła szersze pole do pracy, — tymczasem siedział, czekał i pracował. Wiedział dobrze, że bardzo nieliczne naukowe stanowiska tylko nadzwyczajną pracą się zdobywa.

Miał on tedy nadto poważne i szczere zamiary, ażeby zaprzętać sobie głowę idealistycznymi mrzonkami Derdidasa, tembardziej, że, widząc kształtowanie się i przeobrażanie tych mrzonek, najlepiej może wiedział, jak one są tendencyjne z wierzchu, a płytkie w podstawach. Trzeba dodać do tego, że ów bojownik w imię ludzkości nie odznaczał się wcale konieczną w życiu moralnością i dla celów wysokich niższe obowiązki deptał nogami. Z tego też punktu da się nieco wytłómaczyć niechęć, jaką miał dla pruskiego agitatora, usiłującego mieć dla swoich osobistych celów obcą społeczność. Uważał go po prostu za coś podobnego do zwykłego sprytnego prowokatora. Wielką mu też sprawiało przykrość zbliżenie się Derdidasa do Justysi, a rozgłaszane wieści o małżeństwie jego z polską dziewczyną, lekkomyślną ale uczciwą w gruncie, przedstawiały niebezpieczeństwo jeszcze większem. Widząc, że dawne przyjaciółki znowu się jakoś przychyliły do siebie, postanowił skorzystać z tego i Helce nasunąć myśl wybadania Justysi o tyle, ażeby ją przynajmniej o projektowanym wyjeździe Derdidasa uprzedzić.

— Z Derdidasem zanosi się znowu na jakąś metamorfozę...—rzekł do Helki.

— Jakto?

— Wyjazd jego, o którym szeptają po kątach, nie wydaje mi się w porządku rzeczy.

— Cóż zrobić?

Doktor Łasko rzekł trochę niecierpliwie:

— Przecież to nie o Derdidasa chodzi: chce jechać, niech jedzie; ale żeby niepotrzebnie nie kompromitował dziewczyny...

Helka, zdawało się, odgadła myśl doktora Łaski.

— Wspomniałam już o tem Justysi — odpowiedziała.

— A... dobrze pani zrobiła... Jakże tę wiadomość panna Justyna przyjęła?

Helka odparła zamyślona:

— Zdaje się, że to było dla niej bardzo przykrą niespodzianką. Nic mi wprawdzie nie odpowiedziała, ale czułam jej odpowiedź i wyczytałam ją z twarzy. Jest w ich wzajemnym stosunku, teraz przynajmniej, coś niezrozumiałego dla mnie; widzę tylko, że to nie jest stosunek dwóch osób, mających się wkrótce połączyć na całe życie.

Doktor Łasko na te uwagi nie odpowiedział bezpośrednio, ale po namyśle chwilowym, lewą ręką lekki ruch rezygnacyi zrobił i rzekł:

— Ciężkie czasy... Zdawałoby się, że wtedy

właśnie, kiedy nam potrzeba najwięcej skupienia sił, wniknięcia w głąb własną, jakiś huragan przelatuje przez społeczność, wicherzy, rozprasza i porywa ze sobą ponad przepaście młode, pełne życia siły. Jednych zanosi do obcych społeczeństw i rzuca na pastwę wewnętrznych burz, innych łamie po drodze i gruchoce.

Helka machinalnie powtórzyła:

— Ciężkie czasy!—jakby jeszcze inną myśl ukrytą miała, harmonizującą z tym wykrzyknikiem.

— Ja sędzę, że teraz właśnie panna Justyna przebywa okres pewnego wahania się...

— Zdaje się przynajmniej.

— A więc—ciągnął doktor Łasko—dobrzeby było skorzystać z takiej chwili, ażeby jej oczy otworzyć.

— Już próbowałam tego z początku; wtedy było daleko łatwiej...

— Albo trudniej raczej. Miłość ma wiele podobieństwa do fermentacyi, nietylko dlatego, że wywołuje pewien proces zamiany chemicznej, odbywającej się wewnątrz ciał niewidzialnie dla oka, ale ustaje dopiero wtenczas, kiedy cykl zjawisk odpowiednich wywoła. Jeżeli panna Justyna jest w stadium końcowem, oddziaływanie na nią będzie daleko łatwiejszem, a zdaje się, że w takie stadium weszła.

— A jeżeli weszła—ciągnęła dalej Helka—

to, idąc konsekwentnie do końca pańskiego założenia, porównania raczej, niezadługo powinna przyjść do samopoznania i uspokoić się, czyli, mówiąc inaczej: dać pokój małżeństwu z Derdidasem.

— Uwaga słuszna — zakończył doktor Łasko — pozostaje tylko czekać, aby się sprawdziła jak najrychlej.

Po chwili milczenia Helka zabrała głos znowu:

— Położenie, w jakim znalazła się Justysia, nastrocza mi bardzo wiele uwag, które dawniej wymykały się z pod obserwacji: lada jakaś drobna przeszkoda, którą najslabszy męszczyzna pokonywa z łatwością, kobiecie zagrozić może drogę do dalszej nauki. Męszczyzna zakocha się i odkocha, jeżeli można tak się wyrazić, a nikt jemu tego za złe nie weźmie; kilka razy do roku może nadskakiwać innej, a nie przeszkodzi mu to wcale ukończyć nauki, ożenić się i być pożytecznym pracownikiem. Z kobietą dzieje się inaczej: kiedy się zakocha, bądź zdrowa, nauko! Mówią wtedy, że się kompromituje, kiedy ją kochanek — nieraz barania głowa, za pozwoleniem, jak u Derdidasa — porzuci, wszyscy głoszą, że jest skompromitowana, musi często szkołę opuścić pod wpływem sarkazmu i wstydu, a i po opuszczeniu bywa jeszcze ukaraną, bo za mąż nie wychodzi.

— Jest to tylko o jedną więcej wskazówka, jak wiele formy towarzyskie znaczą dla kobiety, i nie wolno ich lekceważyć ani kobiecie, ani mężczyźnie bezkarnie.

— Więc cóż robić?

— Poddać się im; przecież pani poddaje się im i wcale ciężaru ich nie czuje; dla czegoż one mają ciążyć innym? Wszystko, co się stworzyło powoli, tylko powoli da się zniszczyć. Dom, rozbierany przez robotników, nie pozostawia gwałtownych śladów po sobie, dom, rozwalony jednym wstrząśnieniem wulkanicznym, pod gruzami swoimi grzebie mieszkańców. Kiedyś może wyrobiają się inne stosunki towarzyskie, inne prawa, inne obyczaje i inne miejsce naznaczą kobiecie; dziś we wzajemnym stosunku bronią ją tylko formy.

— Ja przedstawię panu tę samą rzecz z innej strony: mężczyzna jest ubogi lub przyciśnięty biedą chwilowo, dajmy na to; pójdzie, zastawi zegarek, surdut, pożyczycy u kolegów, stanie do roboty, jednym słowem, znajdzie tysiąc sposobów ratowania się, wszędzie pójdzie, wszędzie stawi czoło śmiało. Kobieta do domu zastawy pójść wstydzi się, na robotę nie pójdzie, bo ją to upokarza, od kolegów nie pożyczycy, bo lęka się, ażeby ktoś nie spojrział jej brutalnie i dwuznacznie w oczy. To wszystko utrudnia naukę najchętniejszym a ubogim, które w przyszłości pragną środki do życia znaleźć w nauce.

— To samo i teraz odpowiem pani co powiedziałem przed chwilą.

— Tak, panie, taka odpowiedź i mnie nasuwa się, ale częściej daleko staje nierozwiązane pytanie: do czego nauka prowadzi kobietę przez walki i upokorzenia? W życiu publicznym wydzielono jej tylko mały zagon do pracy...

— Bardzo, bardzo słusznie pani mówisz: ale jakąż bogatą niwę mają kobiety do uprawy w życiu domowym! tam, gdzie szkół niema, któreby kształciły człowieka pod względem społecznym, któreby wyrabiały obywatela, tam tę rolę przyjmuje na siebie wykształcona kobieta. Męszczyzna pracuje lub usiłuje zdobyć pracę we wszystkich zawodach, kobieta pilnuje trwałości fundamentów...

— Czyż nie byłoby to zwięzieniem koła pracy?

— Sądzę, że byłoby to rozszerzeniem raczej, lub, lepiej powiedziawszy, wzmocnieniem. Błędne pojmowanie znaczenia praktycznego nauki kobiet u nas pochodzi z błędnego punktu wyjścia; wiele bardzo kobiet, i nie tylko kobiet, upatruje w nauce rodzaj społecznego ideału, który ma zawierać w sobie wszystkie leki na nasze cierpienia; nauka nie jest nigdy celem sama dla siebie, jest środkiem tylko...

— A zatem?

— Stawiasz mię pani w położeniu nieco trudnem co do odpowiedzi, odpowiem wszakże jednym

słowem: celem jest życie, oczywiście nie w znaczeniu materyalnym tylko.

— Jakto? Maż to być programatem naszej pracy?

— Według mego zdania, powinno być. Jeżeli celem ma być życie, to ideałem powinna być ziemia. My nie możemy i nie powinniśmy stawiać programatów na jutro, na przyszłość, bo przyszłość nie jest w naszym ręku, ale na dziś tylko. Kiedy jutro przyjdzie, obmyślimy programat na jutro. Dla urzeczywistnienia takiego skromnego ideału, jaki ja stawiam, możemy wszyscy bez wyjątku pracować, kobiety i mężczyźni, byle tylko z myślą o jutrze.

Przy pożegnaniu, Helka z uczuciem prawdziwej przyjaźni ścisnęła rękę doktora.

— Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam pana, ale z tego, co pan mówi, wysnuwam sobie logiczny wniosek: jeżeli ideałem naszym jest ziemia, to większość obowiązków z nią jest związana.

— Tak sędzę...

— Te same przekonania, które pan wypowiadasz, słyszałam już z ust kobiety wiekowej, która boryka się z ubóstwem na pradiadowskiej sadybie, chcąc ją koniecznie dla dzieci utrzymać.

— Rękę, która taką drogę dzieciom pokazuje, pocałowałbym z pokorą—zakończył.—Mamy swoje własne cele i zadania, swoje ideały, a duch tak jakoś osłabł, że nie widzimy tego, na co co-

dziennie patrzymy; jakiś wicher zdaleka unosi nas, jak pyłek oderwany z rodzinnego pola, aby go na cudzy zagon rzucić, gdzie zginie niepożytecznie, idziemy za byle kim, kto przed nami jakąś brudną chorągwią zaszeleści.

Helka nie powiedziała, kto była ta stara kobieta, prosta, nieuczona, w pracy zagonowej dożywająca swego życia, której przekonania godziły się z uwagami doktora filozofii; była to pani Wołczkowa z Makosiejów. Zdaje się, że od tej chwili stało się w umyśle dziewczyny jaśniej jakoś, nie tak smutno, nie tak ciemno, jak było, a dla swojej starej, dobrej matki, cześć i szacunek czuła jeszcze głębszy, niż przedtem miała. Odtąd szerokie dawne rojenia zmalały, popłynęły wąskiem korytem, ale na końcu tych rojeń cel ukazywał się jaśniejszy i nie chował się już, jak niegdyś, za chmury marzeń. Nie pytała z goryczą sama siebie: do czego ma służyć nauka kobiecie, przed którą wszystkie prawie drogi publicznego życia zamknięte, bo widziała wyraźnie, że nauka ta oświeci jej obowiązkową pracę na prarodzielskiej sadybie, że będzie może kiedyś uczyć dzieci kochać ten zagon ziemi, który ją dumą napawał, bo stanowił część ojczyzny... Zapracowana daleko gdzieś na podolskim zaścianku, stara matka, urastała w jej oczach do potęgi bohaterki, spokojnie i sumiennie pilnującej po-

wierzonego sobie skarbu, za prosty obowiązek to poczytując.

Tych kilka myśli, z ust doktora Łaski słyszanych, nie były wcale dla niej nowością; słyszała je już od matki, sama potrącała o nie, jako o konieczność, której uledez będzie zmuszoną; ale nigdy jeszcze te myśli nie stawały przed nią oświecone takim urokiem obowiązku, jak teraz. Wyobrażała sobie, że kobieta światła, wykształcona w takim głuchym wiejskim zakątku, stać się może prawdziwem ogniskiem, które nietylko świecić, rozjaśniać będzie dokoła wszystko, ale zbliżającym się udzieli trochę ciepła, tak potrzebnego wśród chłodu terażniejszego życia. Czyż to nie jest samo dla siebie tak pięknem zadaniem, że kilka lat pracy poświęcić dla niego warto?

Helka wracała teraz myślą do dalekiej sadyby w Makosiejach z tego Paryża, przedstawiającego się jej niegdyś jako słońce wielkie, skupiające prawie wszystkie światło i ciepło, karmiące ziemię, do którego rwała się i tęskniła. Ale dziś była już inną—dojrzałą, głębszą, rozumniejszą, bardziej tylko może samotną, bo jedyna przyjaciółka szkolnego życia wybrała sobie szerszą, swobodniejszą drogę. Dawniej, zajęta nauką i przyszłością swoją, mniej o niej myślała; teraz stosunek jej z Derdidasem i projekt małżeństwa, o którym uporcezywie rozgadywano, zwracały częściej myśli jej ku Justysi. Gdybyż przynajmniej

ona wróciła do Rajek — myślała sobie — raźniej, chętniej szłaby nam praca! Od chwili zbliżenia się do Helki, Justysia odwiedzała ją często, nawet po ostatniem widzeniu się była parę razy; ale nowonawiazanej przyjaźni brakło otwartości, szczerości; o najbliższej przyszłości nie mówiły wcale: Justysia nie śmiała może otworzyć wszystkich tajników myśli, Helka odgadła, domyślała się bolesnego nateżenia miłośnej struny i trącać w nią dobrowolnie nie chciała.

Wiosna już się budzić zaczęła, chociaż był to dopiero luty; od morza powiał wiatr ciepły, a słońce częściej wychylało się z poza jednostajnie szarej zasłony nieba. Na trawnikach paryskich ogrodów strzelały do góry ostre czubki traw, na kończynach kasztanów kształtowały się i powiększały brunatne oczka, połyskujące do cieplejszych promieni słońca, z których miały niezadługo młode listki wytrysnąć; najcieńsze gałązki lip czerwieniały, pączki listne nadymały się świeżym sokiem, w powietrzu czuć było zapach budzącego się życia drzew. Kilka tych drobnych zjawisk natury zdawało się mówić swoją mową o zbliżającym się rozkwicie wiosny. Ponad wkleśłością, ozdobioną środkowym wodotryskiem, przed pałacem luksemburskim, na kasztanach i balustradzie świegotały żywiej wróble i trznadłe, przelatywały stadka gołębi, które litościwie ręce

dzieci i staruszków, wywabionych do ogrodu pierwszymi ciepłymi promieniami słońca karmiły.

Justysia żyła teraz, można powiedzieć, w stadium gorączkowym; list ojca, stanowczo zabraniający związku z Niemcem, wyzywające i bolesne dla niej zachowanie się Derdidasa, potrącającego z chłodnym cynizmem drogie zawsze jej sercu uczucia, nareszcie ta wiadomość, od Helki niedawno zasłyszana, o projekcie wyjazdu, trzymały ją w stanie ciągłego wrzenia wewnętrznego. Miłość walczyła z obrażeniem uczuciem narodowym, podejrzenie i domysły z niepewnością. Na domiar wszystkiego, zachowanie się Derdidasa nosiło cechy jakiejś nieszczerości, którą daremnie siliła się sobie wytkómaczyć, nie wiedząc ani o nowych jego projektach, ani o grubiańskim liście zprusaczonego żyda. Pod wrażeniem wątpliwości i myśli, nasuwających się jej z tego powodu do głowy, nie mogła zająć się żadną regularną pracą i radaby już była znaleźć punkt wyjścia z tego fatalnego położenia. W pokoju siedzieć nie mogła; budząca się wiosna działała, zdawało się, żywiej na uczucia, na wyobraźnię, która na paryskim bruku malowała jej podolskie krajobrazy, pożyte pola, lasy zielone, błękitne wody Bohu i mętne fale Dniestru...

W jednej z takich chwil nieokreślonej tęsknoty, wywołanej niepewnością położenia, Justysia przechodziła koło luksemburskiego ogrodu; od

drzew powiał wietrzyk świeży i przyniósł zapach wiosny, który ją mimowolnie pociągnął ku sobie. Weszła do ogrodu i boczną uliczką skierowała się do wodotrysku z podłużną sadzawką, na ławeczce usiadła, w jednostajny szum wody zasłuchana, wysoką poręczą ławeczki od przechodniów, z drugiej strony alei spacerujących, zakryta. W ogrodzie już było ciemno, latarnie zapalone walczyły jeszcze z resztkami zmroku, w noc się zamieniającego. Śród ciszy wieczornej, podsycanej głuchym, jednostajnym szumem miasta, zdało się jej nieraz, że za sobą posłyszała głos Derdidasa. Drgnęła lekko i chciała już powstać z ławeczki, aby go przywitać, kiedy posłyszała znowu głos kobiety. Miłość własna nie pozwoliła jej na to;— może on sobie nie życzy tego—podszeptała jej jakaś bolesna niewiara.

Justysia nie omyliła się o tyle, że za plecami jej był rzeczywiście Derdidas, żywo zajęty rozmową z kobietą, którą pod rękę prowadził. Poza wysoką poręczą podwójnej ławeczki, na której siedziała Justysia, nie dostrzegł jej; zdało mu się może, że nikogo niema, bo, zbliżywszy się z przeciwnej strony alei, na końcu ławeczki usiadł w kierunku przeciwległym. Dla Justysi nie było już żadnej wątpliwości, że to był Derdidas; gniew i oburzenie opanowały ją, chciała się porwać i uciec od niego jak najdalej, ale nie mogła: powstrzymywała ją ciekawość, chęć do-

wiedzenia się przeczuwanej jakiejś tajemnicy w człowieku, z którym los jej życie chciał związać.

— Kto jest ta kobieta?—pytała sama siebie.

Przypadkowy, ukośny rzut oka na nią pozwolił naszkicować jej postać: była to kobieta pięknego wzrostu, kształtna, wysmukła; twarzy dojrzeć nie mogła, ale giętkość ruchów znamiowała młodość. Pytanie: co ta kobieta robić może na samotnym spacerze z Derdidasem? przykuwało ją do miejsca. Czyż nie miała prawa rozwiązać tego pytania przed sobą? Alboż ten człowiek nie był jej bliskim, nie miał się stać bliższym jeszcze? Wśród takich i tym podobnych myśli doleciała jej uszu półgłosem prowadzona rozmowa:

— Wrócisz przecie? — pytała kobieta; głos jej był jakiś miękki, łagodny, ale, jak echo, odbijało się w nim bolesne drganie.

— Naturalnie — odrzekł Derdidas od niechęcia.

Widocznie odpowiedź ta nie zadowoliła jego towarzyszki.

— Ale kiedy?—spytała.

— Kiedy?—powtórzył.—Ty przecież wiesz najlepiej, że czas mój nie zależy odemnie.

Zapanowała cisza. Derdidas myślał widocznie nad wynalezieniem nowych lub lepszych powodów i tłumaczeń; towarzyszka jego myślała o losie swoim i chwilową ciszę przerwała pytaniem:

— A dziecko?

W pytaniu tem, prostem na pozór, było tyle trwogi, tyle bólu, że Justysi oczy łzami nabiegły i o mało głośnym płaczem nie wybuchnęła.

— Zostanie z tobą— odpowiedział Derdidas— przecież ze mną jechać nie możesz...

— Mogłabym— szepnęła kobieta.

— Nie możesz!— powtórzył z naciskiem Derdidas. — Narażałabyś niepotrzebnie na niepokój i siebie, i dziecko. Moja praca nie przykuwa mnie do miejsca, nie pozwala mi porastać mchem, jak kamień; ja muszę ludzkość naprzód popychać, biedz tam, gdzie bój największy, gdzie największe niebezpieczeństwo... Myślisz, że wyjeżdżam teraz ze spokojnem sercem? że nic i nikogo nie pozostawiam za sobą?

Towarzyszka Derdidasa nie zgadła, do kogo i do czego skierowane były te zapytania, ale odgadła Justysia i gniewem zawrzała na wspomnienie o człowieku, który jedno puste serce między dwie kobiety dzielił. Po wygłoszeniu tyrady Derdidasa, towarzyszka jego westchnęła, jakby się z ostatniem marzeniem żegnała, twarz skierowała ku niemu, w oczy spojrzała i przytłumionym z bólu głosem spytała:

— Cóż będzie ze mną i z dzieckiem?

Po chwili podniosła chustkę do oczu i słychać było wyraźnie powstrzymywane łkanie.

Justysia nie czekała już odpowiedzi Derdi-

dasa; tego, co słyszała, było dla niej dosyć. Odgadła teraz przyczynę dwuznacznego zachowania się jego, poznała jego płytką i próżną naturę, jego samolubstwo, zakrywające się górnymi frazesami. Czuła jakieś upokorzenie i żal do samej siebie, że tak wiele straciła czasu, dopóki się przekonać mogła, że pozory, łudzące wielkością, za wielkość brała, że mogła bodaj chwilę jedną kochać tego niecnego samoluba, polującego na miłość kobiety, oplątującego ją srebrzącą się pozornie pajęczyną, chociaż były to zwyczajne powrozy, którymi skrepowaną ofiarę, wierzącą jego słowom, deptał później brudnymi nogami. Chłód zgrozy przeniknął ją na samą myśl o tem, że i ona w pajęczynę, zasnutą przez tego człowieka, wpadła, i niewiele może już brakło, aby i ją tak podeptał, jak zdeptał tę płaczącą przy nim cicho kobietę. Porwała się gwałtownie z ławeczki i, z twarzą odwróconą w przeciwną stronę, aby się nawet wypadkiem z jego spojrzeniem nie spotkać, odeszła szybko.

Derdidas nie podejrzywał blisko siebie obecności niczyjej, a tembardziej nie domyślał się, że tą kobietą, która szybkim, nerwowym krokiem poza jego plecami przeszła, była Justysia. Gniew, oburzenie, resztki uczucia miłości, z którymi walczyła, miały ją; żal ją jakiś głęboki ogarniał na myśl o tej kobiecie, zostawionej na pastwę losu z dzieckiem. Z głową spuszczoną,

wzburzona cała, wybiegła na *Boulevard St-Michel* i szybkim krokiem do domu zmierzała; szła, nie oglądając się, nie widząc nikogo przed sobą. Zapomnienie się, czy może myśl, która ją nurtowała, popychała ją naprzód bez żadnej świadomości; już mieszkanie swoje minęła i, nie spostrzegłszy nawet tego, szła ciągle naprzód i naprzód. Stała nagle, podniosła głowę na dom,— był to *Hôtel du Globe*. To instynktowne zatrzymanie się oprzytomniło ją trochę, zawahała się chwilę; coś ją bolało, paliło w piersi, wrywało się przytłumionem westchnieniem, popychało w objęcia przyjaciółki. Czuła się taką opuszczoną, taką samotną wśród tego wielkiego miasta, że potrzebowała szukać ulgi u Helki. Zawróciła do bramy i na półoświetlone schody weszła, przebiegła je szybko i przed drzwiami pokoju Helki stanęła. W pokoju było cicho, żadnego szelestu, żadnego głosu, tylko przez dziurkę od klucza migąło mętne światło, jako świadectwo, że w pokoju był ktoś. Justysia podniosła rękę z pewnem drżeniem i zapukała.

— *Entrez!*—odezwał się głos z pokoju.

Justysia poznała głos Helki i do pokoju weszła. W pokoju paliła się ta sama malutka lampka naftowa, przy której Helka gotowała wodę niekiedy, i brudno-czerwonem światłem napół wyraźnie oświetlała izdebkę. Tuż przy lampie, schylona nad książką, siedziała, w płaszczu, z zawiązaną

około szyi chustką od nosa, Helka. W pokoju, nieopalanym widać oddawna, było zimno, wilgotno, smutno jakoś.

Wchodząc, Justysia spytała nieśmiało:

— Przeszkadzam ci?

Dźwięk głosu zastanowił Helkę.

— O, moja droga! wiesz przecie, że mi nigdy nie przeszkadzasz.

Powstała z krzeselka i abażur z lampki zdjęła, aby cały pokój oświecić lepiej; światło padło na twarz nieśmiało postępującej Justysi.

— Co ci jest? — spytała nagle Helka, spojrzawszy na nią.

Justysia była blada, jak płótno.

— Chora jesteś? — spytała znowu Helka.

Usta Justysi drgały jakimś nerwowym ruchem; widać było, że wysilała się, aby zapanować nad sobą.

— Nie, już wyleczyłam się — odrzekła.

Załkała spazmatycznym, stłumionym gwałtownie głosem i w objęcia Helki wpadła. Helka odgadła powód wstrząśnienia, nie dając jednak tego do zrozumienia. Posadziła ją na krześle, z którego przed chwilą wstała.

— Uspokójże się, uspokój — mówiła.

Nalała do szklanki wody, podała jej, ale na żadne zwierzenia nie wyzywała.

— Prawdę mi mówiłaś — rzekła po chwili

Justysia—że Derdidas jedzie... odjeżdża rzeczywiście... przed pół godziną dowiedziałam się o tem...

— Wyjeżdża?

— Tak, wyjeżdża... i pozostawia w Paryżu jedną kobietę, taką łatwowierną, jak ja, która dała się złapać na wielkie słowa... tylko nieszczęśliwszą odemnie.

Opowiedziała treść niedawno słyszanej w luksemburskim ogrodzie rozmowy jego z nieznaną i wnioski, jakie z tej rozmowy wysnuć się dały.

— Ot, widzisz—rzekła, skończywszy opowiadanie—co warte nieraz nasze łudzenia się, i jak często trzeba za nie płacić upokorzeniem wobec siebie! Byle kto wchodzi w naszą drogę i buduje z własnego ciała barykadę.

Helka nie chciała jej czynić żadnych osobistych wymówek i uwag; chwila była nadto bolesną.

— Czasem tego ktosia sami wpuszczamy na naszą drogę, łudząc się, że możemy iść razem.

— Ach! prawda, prawda!—zawołała Justysia—dlaczegoż o tej prawdzie przekonywam się za późno!

— Rzecz oczywista—rzekła po chwili milczenia Helka, że z panem Derdidasem zerwać musisz... Próbować dalszego porozumienia się byłoby to hazardować się zanadto.

— O, pewnie!...

— Cóż zrobisz?

— Cóż pozostaje do zrobienia? Wyjadę... Muszę usunąć się na czas jakiś, zejść z oczu, aby nie słyszeć współczucia, wygłaszanego na fałszywą nutę, nie widzieć dwuznacznych spojrzeń... Czy nie uważasz, że to jest jeszcze najlepsze, co zrobić można?

— Prawie najlepsze...

W tej chwili przyszła na myśl Helce rozmowa, jaką niedawno prowadziła z doktorem Łaską na temat położenia kobiety uczącej się; nie przewidywała, że uwagi jej sprawdzą się tak prędko i że dotkną osoby, tak blisko jej serca będącej.

— Tak, muszę przerwać nauki... — ciągnęła dalej Justysia— albo raczej rozpocząć je w innym miejscu nanowo.

Justysia, zajęta wyłącznie sobą i upokorzeniem, które ją spotkało, nie zwracała uwagi na to, co Helkę otaczało, i co wymownym głosem ze wszystkich kątów odzywało się biedą i niedostatkiem, począwszy od lampki naftowej, ledwie oświetlającej pokoik, do chłodu, przeciwko któremu broniła się dziewczyna obwiązywaniem szyi i płaszczykiem.

— Kiedyż wyjedziesz?

— Jak najprędzej... Ojciec pisał, abym wracała; czekam lada dzień listu od matki; jeżeli mi przyślą dosyć pieniędzy, wyjadę natychmiast;

jeżeli nie—tyle tylko czasu zabawię, ile potrzeba na przysłanie ich.

Późno już było, kiedy dziewczęta temat niewesołej rozmowy wyczerpały. Helka tak żywy udział wzięła w niepowodzeniu, jakie spotkało przyjaciółkę, jak gdyby między niemi nigdy nic nie zaszło. Justysia czuła mimowolnie jakąś moralną wyższość nad sobą Helki, czuła, że była dla niej za szorstką i niesprawiedliwą wtenczas właśnie, kiedy, powodując się jej radami, byłaby może zdołała uniknąć tych nieprzyjemności i walk, na jakie narażoną została. Rozstając się, spytała z pewną dobrocią i szczerością w głosie:

— Ty się na mnie nie gniewasz? prawda? Wiem, że byłam dla ciebie niesprawiedliwą.

— Nie mów o tem... wszystko to przeszło... Kocham cię zawsze, jak kochałam...

Jedna uwaga zatrzymała ją jeszcze u Helki.

— Wiesz dobrze—rzekła Justysia—że wobec tego, co zaszło, wszelki stosunek z Derdidasem byłby niemożliwy...

— Naturalnie...

— Nie przypuszczam, ażeby miał jakiegokolwiek szczerze zamiary; gdyby je miał nawet — rzecz już skończona; potrzebuję mu dać przynajmniej uczuć to, co myślę... Napiszę...

— O, nie, nie rób tego!... Z tego, co opowiedziałas mi, przekonuję się, że wszelka korespondencya byłaby w jego ręku bronią prze-

ciwko tobie; pocóż masz mu tej broni dostarczać? On może jej pożąda, ażeby potępić cię tem śmielej...

— Prawda... ale cóż robić? Póki wierzyłam w szczerłość stosunku, mogłam moje postępowanie regulować; ale dziś cóż robić? Nie chcę, ażeby nikczemnik mówił do mnie te same wyrazy, tę samą twarz mi pokazywał, którą za kwadrans będzie pokazywać może tej nieszczęśliwej...

— Masz tylko, mojem zdaniem, jedną drogę wyjścia: zachować do pewnego stopnia pozory takiego stosunku koleżeńskiego, któryby nikomu nie pozwolił domyślać się zerwania; wyszukać stosownej chwili i dać mu odprawę we cztery oczy, na jaką zasługuje.

— Dobrze... posłucham ciebie... — rzekła po chwili Justysia.

Po tych słowach przyjaciółki pożegnały się serdecznie z sobą i rozłączyły.

Rozmowa z Helką uspokoiła trochę Justysię, ale nie mogła uspokoić zupełnie; nie mogła całkowicie rozstać się z ostatniem złudzeniem... Pomimo posiadania klucza dwuznacznego zachowania się Derdidasa, pomimo świadomości dokładnej o charakterze jego, małej wartości moralnej, nie potrafiła opanować własnych nerwów, okiełzać myśli, nieposłusznie powracającej do ulubionych marzeń. Wiedziała, że te marzenia były bańką mydlaną, a jednak wyciągała jeszcze rękę za ucie-

kającemi. Chłód nocy, walka z rozsądkiem i rozważą pozwoliły odzyskać równowagę, a powróciwszy do siebie, poczęła chłodniej i beznamiętniej położenie swoje oceniać. Rzeczą było zrozumiała, że miłość jej zakończyła się finałem wcale nieprzewidywanym; pozostawały ostatnie akordy, jakie miała wydobyć z własnego serca.

Niedługo na to czekała. W parę dni po rozmowie z Helką, Derdidas przyszedł pocieszać Justysię. Justysia poznała go po stukaniu i pozwoliła wejść. Derdidas, wszedłszy, zdziwiony był nieco, bo w bawialnym pokoiku nie zastał nikogo, a jednak słyszał wyraźnie głos Justysi. Z miną dandysa wielkiego miasta przeszedł się parę razy po pokoju, w lustrze przypatrując się z pewnem rozmiłowaniem własnej postawie, poprawiając co chwila wąsy i brodę. Justysia przewidywała tę wizytę, spodziewała się jej nawet i trzy dni pracowała nad sobą, ażeby potrzebny spokój zachować. Po chwilce ukazała się we drzwiach saloniku. Derdidas poskoczył ku niej na przywitanie z pewną swobodą i żywością zażyłego stosunku; Justysia cofnęła się i ręki podanej przez Derdidasa nie przyjęła.

— Niech pan siada—rzekła sucho, i wyciągniętą ręką wskazała mu miejsce na kanapie.

Derdidas machinalnie ku kanapie się zbliżył i, wpatrując się w Justysię, przy stoliku stanął.

— Proszę pana usiąść—powtórzyła Justysia—
łatwiej nam będzie rozmawiać.

Spokój i chłód Justysi zdekoncentrowały go;
usiadł jednak, a naprzeciwko niego, z drugiej
strony stolika, zajęła miejsce Justysia.

— Na parę dni wyjeżdżam—bąknął—przy-
szedłem pożegnać panią.

— Dziękuję... Na długo pan jedzie?

— Tydzień, dwa tygodnie zabawię może...
Zostałem wezwany do Lyonu, gdzie organizuje
się wielki wiec robotników.

— I zapewne zabierze pan swoją żonę i dzie-
cko?—spytała Justysia lekko drżącym głosem.

Derdidas spojrział na nią zdziwiony; nie wie-
dział, czy stoi wobec domysłu, czy pewności.

— Jaką żonę?...

— Zapewne socjalistyczną... w obec której
nie masz pan żadnych obowiązków.

— Zdaje się, że pani jest w błędzie—rzekł
tonem perswazyi—jedyną kobietą, którą nazwał-
bym żoną... byłaby pani.

— Nie, panie Derdidasi, dziękuję Bogu, że
to się nie stanie; pan mnie nie nazwiesz żoną...

Derdidas przybrał postać głęboko poważną.

— Pani! — rzekł — nie potrzebuję o moich
uczuciach mówić...

— Tak jest, nie potrzebujesz pan...

— Mam wprowadzić do przełamania wolę ojca
i przełamie ją niezawodnie!

Justysia uśmiechnęła się gorzko.

— Nie potrzebujesz pan przełamywać...

— Widzę, że się stało jakieś nieporozumienie—zauważył Derdidas znacząco.

— Szanowny panie! Dostyc tych przegrywek... muszę panu przedstawić rzeczy tak, jak są.

— Nie rozumiem pani...

— Zaraz pan zrozumiesz... Rzeczywiście stało się nieporozumienie: ja pańską mistyfikacją brałam za prawdę...

— Pani zapewne uwierzyłaś plotkom...

— Nie; uwierzyłam prawdzie. Panu potrzebną była zapewne kobieta, z którą mógłbyś się pan bawić, którą mógłbyś opuścić w każdej chwili; do takiej roli nie czuję się zdolną... Gdyby nawet małżeństwo nasze szczęściem dla mnie być miało, proszę mi wierzyć, że nie chcę kupować własnego szczęścia za cenę innych... Musiałabym może potem na los mój tak narzekać, jak narzeka zapewne ta, która po pańskim wyjeździe pozostanie z dzieckiem przy piersi.

Derdidas chciał coś mówić, Justysia przerwała mu:

— Cofam moje słowo... Możesz pan sobie jechać, dokąd chcesz...

Po tych słowach powstała; Derdidas powstał także.

— Żegnaj pana — zakończyła, skinęła mu lekko głową i do drugiego pokoju wyszła.

Derdidas odzyskał swoją arogancją, uklonił się ironicznie i salkę Justysi opuścił. Zamykając drzwi za sobą, pomyślał:

— Wie o wszystkim...

Na ulicy myśl dokończył:

— Sama zerwała... tem lepiej. Ta dumna Polka byłaby mi całe życie kulą u nogi.

VIII.

Zerwanie z Justysią, w gruncie rzeczy tak pożądane, rozwiązało ręce Derdidasowi o tyle, że już nie potrzebował wyjeżdżać z Paryża, aby pozwolić nieco ochłodzić się za daleko posuniętemu stosunkowi. Justysia już nie stawała mu przed oczyma, jak widmo, prześladowające resztki jego sumienia. Naturalnie, zerwaniem, które nastąpiło, nie mógł się chlubić, tem bardziej, że wyszedł z niego brudniejszym jeszcze, niż był przedtem, i nie potrzebował. Najskrytszym jego zamiarem wcale nie było doprowadzenie miłosnego stosunku do ślubnego kobierca; zachowywał się więc o tyle ostrożnie, że nigdy i przed nikim nie rozgadywał o tem, jak, zbliżywszy się do dziewczyny, nie chcący zaplątać się we własne sidła, i o mało, związany, nie ukląkł przed księdzem. Było to bardzo naturalne: z początku kochał, mając zabawkę na widoku; później, spotkawszy się z uczciwością dziewczyny, uległ jej mimowolnie i pokochał prawdziwie; wtedy to myśl o małżeństwie

mu przyszła i traktował ją czas jakiś na seryo. List ojca i zastanowienie zmusiły go wycofać się. Rozpoczął właśnie ostatni manewr, kiedy nagle, zaskoczony przez Justysię, zmuszony został do ucieczki wtedy właśnie, kiedy o odwrocie myślał. Rozwiązanie więc przyszło w samą porę i zakończyło się według myśli i życzeń jego, ale zakończyło się tak, że się zwierzać z tem nie mógł nawet przed przyjaciółmi.

Rychły wyjazd, do jakiego się sposobił, już nie był potrzebny; ale że był zapowiedziany, rozgłoszony, roztrąbiony w ciągu ostatnich kilku dni, poprzedzających katastrofę, cofnięty być nie mógł. To też Derdidas spokojnie sobie odkładał go z dnia na dzień, pewnym będąc, że o tem, co się stało, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie: on nie rozgadywał dlatego, że nadto podłą rolę odegrał; co do Justysi zaś, sądził, że także nikomu nie powie, z powodu upokorzonej miłości własnej; nie przypuszczał bowiem, aby zwichnięty stosunek jej z Helką mógł się o tyle poprawić, ażeby najserdeczniejsze zwierzenia umożliwić. Tak więc zdawało mu się, że cała ta historia przejdzie niepostrzeżenie, w cichości. Ażeby niedoszłe małżeństwo swoje jeszcze bardziej zatrzcć wobec ciekawych a domyślnych osób, zaprzeczał wszelkim domysłom i w żart je obracał. Przychodziło mu to daleko łatwiej, niż Justysi, niedomyślającej się nowej taktyki Derdidasa, bronić się.

Po stanowczo danej mu odprawie, przestał dalej odgrywać nużącą go komedią nadskakiwania, i z obiadami Polydora dał za wygraną, ale zato zbliżył się do Funia i Niuni, których w szerokie swoje plany wtajemniczał i do współ-pracownictwa zapraszał.

— Z naszego siedzenia w Paryżu nie będzie kurcząt...—mówił zapamiętale do Funia.—Będziemy ślęczyć nad książką i nauką, a ludzie po dawnemu mrzeć z głodu! Co to wszystko warto!

— Niema z kim pracować!—zauważył Funio.

— Słusznie...

— Obywatelka Michel prawdę mówi, że we Francji już niema uczciwych ludzi...

— Czyż nie prawda, szanowna obywatelko?—rzekł Derdidas, zwróciwszy się do Niuni.

— Szanowny obywatelu! ja już od dawna przyszlam do tego przekonania, że trzeba coś robić...

— Tak, tak, kolego — potwierdzał Funio — żona mi to ciągle powtarza... Prawda, moje złotko?

Niunia ze zwyczajnym swoim uśmiechem rzekła:

— Prawda, mój kotku...

— Cóż się stanie z kolegami, stowarzyszeniami i naszą sprawą, jak się rozjedziemy? — spytał Derdidas.

Funio głową pokiwał.

— Smutne horoskopy! Prawdę powiedziawszy, po wyjeździe Derdidasa — (chciał powiedzieć: „i moim,“ ale się pohamował) — w Paryżu pozostanie półtora człowieka...

— A mimo to, tak się rzeczy złożyły, że i tu siedzieć niepodobna... nie ma ludzi, i koniec!

— O! moje złotko, ileż to razy mówiliśmy z sobą o tem!...

— Mój kotku, ty wiesz najlepiej...

— O, nie... ty najlepiej...

Derdidas nie wiele miał do powiedzenia, więc milczał.

— Ja to zawsze mówię — rzekła Niunia — że na prowincyi daleko pożyteczniej działać...

— Agitować... — poprawił Funio.

— Niezadługo coś zdecydujemy — zauważył Derdidasa. — Ja pojedę albo do Decaville, albo do Lyonu, a wy...

— My także pojedziemy... — wtrąciła Niunia.

— O, moje złotko, naturalnie... Czy to u nas niema roboty w kraju? Zapoznawszy się tutaj z ludźmi, zawiązawszy stosunki, tem pożyteczniej będziemy pracować w kraju...

— Sądzę, że będzie to najlepsze... — rzekł zamyślony Derdidasa.

W tej chwili pierwsze podejrzenie przesunęło się mu w myśli: czy państwo Świderkowie, znużeni codziennem mierzeniem wody reszotem, nie zamyślają na wieś się udać, a wszystkie sprawy

ludzkości pozostawić zwykłemu, normalnemu biegowi? Praca w kraju wydała mu się podejrzaną, a podejrzenie tem sprawiedliwszem, że Funio wziął w posagu za Niunią kilkudziesięciomorgowy folwarczek na Podolu. Kto wie, czy nie pragną usunąć się do tego kąta, aby tytułem pracy dla idei żyć sobie spokojnie i bez troski? Cóżby w tem było dziwnego? Znudzeni są ciąglem niepowodzeniem i borykaniem się — z widmami. A on czy był innym? On znajdował się także już w ostatnim peryodzie gorączki, czuł się także zniechęconym *do pracy dla idei*, niewdzięcznej, jak sądził, bo nadto często spotykało go tylko szyderstwo. Podejrzywanie państwa Świderków i jemu nasunęło myśl wycofania się z placu boju, albo wyszukania sobie innego, odpowiedniejszego pola do roboty. Nadto był on tylko sprytnym, ażeby się z podobną myślą zdradzać. Kołował nad nią, jak kruk nad padliną, pokazywał z daleka Lyon, Decazville, Bruxellę, jako nowe pole; w ten sposób, odsuwając się od socjalistycznego ruchu, przyzwyczajająby wszystkich do ostatecznego usunięcia się z niebezpiecznej areny i zbliżenia się do Berlina, gdzie mógłby z łatwością przebłągać Bismarka i ojca, w ostatecznym razie odsiedzieć jaką karę niewielką i do końca życia, jako lojalny obywatel, żyć już spokojnie. Pieniężne jego ofiary dla socjalizmu byłyby ostatnią daniną młodości, złożoną panującej gorączce.

Takie myśli zarysowywały się coraz wyraźniej w głowie Derdidasa, a wykonanie ich nie przedstawiało żadnych trudności: na wykrętach i parawanach nie zbywało mu nigdy, miał więc słuszną nadzieję, że nie zabrakłoby ich w tem ważnem przedsięwzięciu.

— A kiedy pojechałbyś, obywatelu?—zapytał uroczyście Funio.

— Kiedy? Alboż mogę wiedzieć dokładnie?... Trzeba, ażebyśmy odbyli walne posiedzenie... poradzimy się... wybierzemy prezesa dla Towarzystwa Międzynarodowego...

— Tak, obywatel ma rację... — zauważyła słodko Niunia. — W każdym razie, bądź-co-bądź, ostatecznie nie można, jak wróble, wylecieć z gniazda...

— Głęboka uwaga...—dodał Derdidasa, głową kiwnąwszy do Funia.

Niunia słyszała dobrze, ale udała, że nie słyszy.

— Co? Co obywatel powiedział?

— Moje złotko, obywatel powiedział: głęboka uwaga. Już ci nieraz mówiłem, że twoje uwagi godne notowania...

Niunia, zadowolona, zamilkła.

— Ciekawy jestem—rzekł Funio po chwili—jak panna Justyna zapatruje się na wasz wyjazd?

Pytanie było bardzo nie w porę zrobione, a zamiar nadto widoczny. Derdidasa postanowił

raz na zawsze wyjść z dwuznacznego położenia; zrobił więc poważną, ale obojętną minę.

— Cóż to pannę Justynę interesuje? Zresztą, ja o naszych sprawach *partyjnych* nie opowiadam byle komu... Z kobiet, jedna tylko żona pana, która ma prawdziwie męski charakter, do tajemnicy jest dopuszczoną zawsze; a inne, szczególnie panna Justyna... coż miałbym jej do powiedzenia?

Na tę głośną pochwałę, Niunia podniosła się prawie na krzesło, aby się jeszcze wyższą pokazać, i spojrzała na Derdidasa pełnem rozkoszy wejrzeniem. Funio na żonę w zachwycie okiem rzucił. Derdidas dopiął celu.

— Co do mnie—rzekła Niunia—jakkolwiek bardzo szanuję Justysię za jej charakter niezależny, przyznać muszę, że jest to szlacheckie dziecko, któremu się jeszcze patryotyzm w głowie kurzy...

Derdidas zatarł ręce z radości.

— Doskonale, doskonale ją pani scharakteryzowała... Ona jeszcze nie wyszła z peryodu patryotycznych mrzonek...

— Może kiedyś coś z niej będzie...

— Tak, kiedyś...

Niunia chytrze spojrzała na Derdidasa, uśmiechnęła się i rzekła:

— Kiedyśmy się w naszych sądach o Justysi

tak zbliżyli, muszę panu otwarcie powiedzieć, że nie wierzyłam nigdy...

— Moje złotko...—przerwał Funio.

— O, tak, powiem... dlaczegoż nie miałabym powiedzieć? Ostatecznie trzeba iść zawsze za przekonaniem...

— Niech się obywatelka nie krępuje...

— W każdym razie, bądź-co-bądź, nie wierzyłam nigdy, ażeby się pan mógł ożenić z Justysią, chociaż zaręczano i mówiono o tem powszechnie...

Derdidas tryumfująco głowę podniósł:

— Obywatelka jedna miała racją...

— A widzisz, moje złotko...

— Szczerłość za szczerłość—rzekł Derdidas.—

Muszę obywatelce otwarcie powiedzieć: był czas, kiedy łudziłem się, kiedy mi się zdawało, że panna Justyna jest kobietą prawdziwie postępującą... ale rozczarowałem się prędko...

— O, obywatelu! wam nie taka żona potrzebna!—zauważyła Niunia.

— Przekonałem się, że jest zacofaną do najwyższego stopnia!

— Naturalnie! Jest to, za pozwoleniem, gąska!—dogadywała Niunia, zapamiętałe napadając na tę w nieobecności, której pochlebiała w oczy.

— A jednak, jednak—mówił patetycznie Derdidas—była chwila, kiedy unosiłem się nad tą kobietą, starałem się ją poznać, wybadać; raz,

kiedy kwestya małżeństw była na porządku dziennym, półżartem spytałem: czyby się ona zgodziła na takie małżeństwo, raczej na ślub taki, jaki Réclus dał swojej córce?... Proszę zgadnąć, co ona mi odpowiedziała?

— Co?

— „Nie... Ze mną ślub tylko można wziąć w kościele.“

— Naturalnie... — dodała złośliwie Niunia — bo ona czeka pewnie na jakiegoś wąsatego szlachcica, któremu koniecznie potrzeba stuły, *Veni Creator* i tym podobnych komedyi...

— I to koniecznie u swego proboszcza... ażeby na weselu można było porządnie się upić. Po takiej odpowiedzi wiedziałem już, czego się trzymać... Co to za zacofanie pojęć!

— Teraz tem więcej staje się dla mnie zrozumiałem całe nieprawdopodobieństwo małżeństwa obywatela z Justysią...

— Prawda?

— O, tak...

Od tej chwili Funio i Niunia poczęli także sposobić się do wyjazdu, a przysposobienie się to było w zupełnej harmonii z nowymi projektami na przyszłość. Zdecydowali się tryb postępowania przyjąć odwrotny, to jest rozpocząć propagowanie swoich idei w wyższych sferach, które z powodu większego wykształcenia łatwiej będą dostępne do wsiąkania postępowych idei, niż warstwy

robotnicze, przybite i przygłuszone codzienną pracą. Zresztą, nastęrczała się jeszcze okoliczność, której z uwagi spuszczać nie należało: wysokie cele Derdidasa i Funia mogły być osiągniętymi tylko przy pomocy mamony, potrzebnej zarówno do jednania sobie adeptów, wymagających nieraz zaliczki na propagandę, jakoteż wzmocnienia środków pomocniczych, niezbędnych do agitacyi, jak zgromadzeń, odezów, druków itp. Oczywiście, że *burżuazya* rozmaita, rolna i bezrolna, więcej zasobna w mamonę, mogła być pożyteczniejszą; chodziło tylko o to, ażeby złotodajną minę umiejętnie eksploatować dla wysokich celów, które należałoby modyfikować, stosownie do warunków działania i samej sfery.

Postawiwszy sobie tedy nowe praktyczne zadanie do spełnienia, trzeba było przystąpić z należytyrn rynsztunkiem; część tego uzbrojenia stanowiła pewna ilość ogólników i frazesów, poczerpnięta na wyrywki z mistrzów socjalizmu, która, używana zręcznie, jeżeli nie pokonać zdolną była przeciwnika, to nieraz ogłuszyć. Był to balast, że się tak wyrażę, naukowy. Druga część rynsztunku dotykała bezpośrednio strony materialnej i wyrażała się potrzebą posiadania czystej koszuli, surduta, spodni i butów całych i niezatłuszczonych. Warunki zewnętrzne pracy w *niższych warstwach* były mniej wymagające; *burżuazi* zwracali uwagę na czystość i do salonów swoich

nie wpuszczali socyalistów nieumytych, nieuczyszanych i w cuchnącem ubraniu. Ponieważ zaś tylko dostęp powodzenie mógł zapewnić, trzeba się było do warunków zewnętrznych zastosować.

Przygotowanie do nowego zawodu rozpoczęło się od tego, że Niunia i Funio poszli przede wszystkim do łaźni i przekonali się, że im to szkody nie przyniosło żadnej; potem następowało kompletowanie garderoby pożyczaniem u różnych osób rozmaitych części ubrania. Najprzód przekonawszy się naocznie, że Derdidas posiada dwie pary butów, Funio zdołał go przekonać, że jednej musi mu pożyczyć na czas nieograniczony, bo to przecie wchodzi w zakres altruizmu. Wziął tedy dobre buty, a na pamiątkę zostawił obywatelowi Derdidasowi swoje, które wprawdzie posiadały długie, łatané cholewy, ale brakło im obcasów i podeszew. Na zakończenie obstalował sobie nowy garnitur i frak. Na ostatni ten obstalunek zgodził się po długim namyśle i wahaniu się, gdyż dotychczas frakiem pogardzał *z zasady* i nigdy nim jeszcze swoich pleców nie splamił. Niunia, mająca koligacye z ekonomami i urzędnikami, potrafiła przekonać swoje złotko, że bez fraka nie uzyska przystępu do *burżuazów*. Notabene, zamówienie było zrobione na rachunek mających się otrzymać pieniędzy, które jakoś nie nadchodziły.

Podobnej metamorfozie uledez miała i Niunia;

zrobiła sobie kilka sukienek, które już gotowe czekały w magazynie na załatwienie rachunku; wybrała koronek nieco, kwiatów, piór; wzięła co się wziąć dało naprzód, a co do reszty, kiedy troskliwy Funio ją mitygował i wyrażał obawy, że może nie będzie czem zapłacić, odpowiadała spokojnie, że byleby zapłacić tutaj, na miejscu, w kraju ona z pewnością sprzeda każdą fatalaskę za potrójną cenę. Tak wyekwipowawszy się, czekali tylko oboje na pieniądze, które nadeszły nareszcie, ale w takiej ilości, że połowy obstalunków pokryć nie mogli. Te nowe i niespodziewane kłopoty spadły na głowę Funia, który pieniędzy na zapłacenie obstalunków wyszukać musiał, jakoteż na opędzenie kosztów podróży. Było to zadanie niełatwe do spełnienia w wieku tak zmateryalizowanym, sceptycznym i egoistycznym, jak nasz. Rozumowanie—rozumowaniem; musiał te wszystkie konsyderacye odłożyć na stronę i kolejką od znajomych do znajomych udać się po pożyczkę; czasu do stracenia nie było, bo, zupełnie przygotowani do podróży, czekali tylko na tę bagatelę, która ich zawiodła — pieniądze.

Funio biegał, jak chart, po Paryżu, od jednego do drugiego, a pieniędzy jak nie było, tak nie było! Jeden wyrażał dobre chęci i żal, że służyć nie może; inny zbył go półsłówkiem; inny

przywitał tak, jak się wita każdego *chevalier d'industrie*, a pieniędzy jak niema, tak niema! Zdołał wprawdzie *naciągnąć* jednego *burżuaza*, który w Paryżu na próżniactwie czas tracił, nie znajdując w Polsce ani uznania ani towarzystwa, ale *burżuaz* był starym lisem i zanadto *naciągnąć* się nie dawał. Zaspokoił wprawdzie częściowo żądanie Funia, który słowem honoru ręczył, że pożyczone pieniądze natychmiast po przyjeździe do kraju zwróci; ale tej sumki było za mało, a na słowo honoru ani zarząd kolei biletu nie chciał wydać, ani też *furniserowie* nie chcieli dawać sukien i ubrania. Przyszła kolej na Derdidasa. Jemu nie mógł powiedzieć bez ogródki, jak rzeczy stoją, bo mówić prawdę byłoby to samo zgoła co sprzeniewierzać się głównym zasadom konspiracyi; ale ułożył sobie plan obejścia jego: budował w swojej myśli coś podobnego do labiryntu, jaki się buduje dla wilków—wejść do niego można, ale wyjść nie.

Spotkawszy się z obywatelem Derdidasem, przywitał się z nim tajemniczo i półgłosem, jakby mówił o czemś nadzwyczajnem, a lękał się, że go ktoś niepotrzebnie podsłuchuje.

— Nie wyjechaliście, obywatelu?

— Jeszcze się nie mogę wyrwać—odrzekł zaafetowany Derdidasa — póki siedzę, zdaje się, że mógłbym w każdej chwili wyjechać, a kiedy

przyjdzie ruszyć się, wtenczas dopiero widać, jak człowiek jest związany ze wspólną sprawą...

— O, tak! Przecież to o was, szanowny obywatelu, opiera się wszystko... wszystko... Czyż bez was mogłoby się utrzymać takie poważne pismo, jak „Głos na puszczy“?

— Trzeba przecie, aby ktoś popychał..

— Ooo! — zauważył znacząco Funio; potem zwrócił nagle na inny temat. — Dawno mieliście wiadomość od ojca?

Pytanie to miało cel ukryty i dałoby się postawić jaśniej: otrzymałeś już od ojca pieniądze? Derdidas rzeczywiście wtedy tylko korespondował z ojcem, kiedy o pieniądze prosił, a ojciec odpowiadał, kiedy pieniądze wysyłał.

— Miałem... ale spodziewam się jeszcze — odrzekł Derdidas.

Odpowiedź ta natchnęła Funia otuchą, tem bardziej, że obywatel Derdidas podejścia nie spodziewał się.

— Szanowny obywatelu! — rozpoczął znowu z poważnego tonu Funio—jest jedna okoliczność, która mnie zmusza rozmówić się z wami, z całym zaufaniem.

Derdidas domyślił się, czem się mówka Funia skończy.

— Mów, mów—rzekł, rozmyślając nad tem, jak się od tego, co ma nastąpić, wykręcić,—nie usuwałem się nigdy, jeśli tylko...

— O, tak! Nadto dobrze jesteś, obywatelu, znany...

— Więc... słucham.

— Wiecie, że muszę wyjechać... tak zdecydowaliśmy...

Derdidas na potwierdzenie głową kiwnął.

— Wiadomo wam, że teraz w Zet sformowała się nowa grupa...

Derdidas znowu głową kiwnął.

— Że tam towarzysze nasi pracują...

Znowu kiwnięcie głową nastąpiło.

— Że wysłaliśmy niedawno kilku dzielnych agitatorów, ażeby grupę w Zet wzmocnić... Otóż, szanowny obywatelu, na podróż ich wydałem wszystkie pieniądze, a teraz sam potrzebuję wyjechać i nie mam o czym... Pożyczcie mi, obywatelu, trzysta franków na dziesięć dni... na dziesięć tylko... Przyjadę do kraju, natychmiast wam odeślę...

Derdidas milczał, potem podniósł głowę i spojrzenia ich spotkały się; człowieczki mignęły im bystro i gdzieś opadły, jakby się wzajemnie chowały od siebie.

— Trzeba, ażebyśmy pomagali sobie, bo któż nam pomoże? Cały stary, zgniły świat, wytrzeszcza na nas oczy, jakby miał nas połknąć...

— Takiej wielkiej sumy nie mógłbym — zainterpelował Derdidas — ale... dobra mi myśl przyszła: czybyś ty, obywatelu, nie mógł poży-

czyć od Justysi? Wiem z pewnością, że ona teraz otrzymała znacznieszą sumkę.

Funio wyciągnął rękę i ścisnął gwałtownie Derdidasa.

— Obywatelu! — rzekł z udaną namiętnością — wiem, że wasza ręka gotowa zawsze do przyjacielskiej pomocy, że na nią liczyć można; a do Justysi pocóż bym chodził? Z wami łączy nas wspólność pracy i przekonań, a z nią, co? Udawać się do niej, byłoby to tylko upokorzeniem niepotrzebnem.

— Spróbujcie... nie nalegam, ale radzę.

Derdidas miał zawsze dwie sakiewki: jedną dla siebie, drugą dla przyjaciół; w tej, z której dla siebie ekspensował, chował wszystkie pieniądze; w przeznaczonej dla kolegów i przyjaciół, nosił nie wyżej nad dwadzieścia franków różną monetą.

Kiedy na ostatnią radę Funio nie odpowiadał, a raczej z odpowiedzią zwlekał, Derdidas sięgnął do kieszeni i sakiewkę dla przyjaciół wyjął.

— Co mam, oddam wszystko — rzekł politycznie.

— Podał sakiewkę Funiowi.

— Przelicz, obywatelu... Ile jest, tyle weź...

— Dziękuję! — zawołał Funio podniesionym głosem — taki altruizm godny jest zapisania waszego imienia na kartach dziejów ludzkości!

Wykrzyknik ten był nieco zawcześnie wygłoszony: Funio nie wiedział jeszcze, ile sakiewka zawiera.

— Weź, weź, obywatelu!—wołał Derdidas.

— Nie, obywatelu, wszystkiego nie chcę! Podzielmy się...

Otworzył sakiewkę, zajrzał, i zgadnął łatwo, że niema czem się dzielić, ale udał, że nie spostrzega tego; franki i *sous* skrupulatnie policzył i rzekł:

— Jest dwadzieścia franków i dwanaście *sous*...

— No, weźże sobie, obywatelu, dwadzieścia franków, a za dwanaście *sous* wypijemy po *szopce* piwa...

Funio udał zachwyconego.

— Tak to lubię! Z bratem ostatnią koszulą podzielić się, to mi bohaterstwo!

Derdidas wiedział najlepiej, jak mała częśćka podziękowania należała mu się za to bohaterstwo; przerwał więc patos Funia:

— Chodźmy na *szopkę* i zakończymy wszystko!

Nagle Funio spochmurniał.

— Obywatelu! — zawołał — nie mogę wziąć twoich pieniędzy... Kiedy pomyślę, że ty zostaniesz bez grosza, serce mi się ściska z bólu, że cię ogołacam.

Derdidas po ramieniu go poklepał.

— Weź, weź, obywatelu... Ja sobie poradzę... pożyczę... dostanę...

Funio niby wahał się.

— Wzruszasz mię — rzekł — swoją wielką prostotą.

W ten sposób Funio zdołał większą część potrzebnej sumy na podróż zebrać; niewiele już mu brakło, ale coraz było trudniej braknącą częśćkę zebrać, głównie z tego powodu, że obfitsze kopalnie były już wyeksploatowane. Ale pod tym względem Funio należał do ludzi bardzo wytrwałych; niejednokrotnie dał tego dowody.

Z sercem ściśniętem z bolu, pokrzepiony tylko jedną *szopką* piwa, wrócił do domu i namówił żonę, ażeby jeszcze tego samego wieczora udać się z wizytą pożegnalną do Justysi, czyli, mówiąc dokładniej, z wizytą przedpożegnalną. Dawno u niej nie byli. Teraz nietylko uczyniliby zadość wymaganiom towarzyskim, ale możnaby korzystać ze sposobności i z rady Derdidasa, i zakładać do pugilaresiku szanownej obywatelki. Z projektem nie zwierzał się jednak przed Derdidasem, mając na uwadze natężony stosunek między nim a Justysią, którą od pewnego czasu obserwował. Wybadawszy zdaleka obywatela Derdidasa co do tego stosunku, przekonał się, że swoją taktykę będzie mógł zmienić nieco.

Justysia mieszkała sama w *Hôtel de l'Etoile* dokąd też udali się państwo Świderkowie. Justy-

się zastali samą. Od czasu przebytych wstrząśnięć moralnych, spoważniała, straciła nieco swojej dawnej werwy i zamaszystości. Wiedząc, w jakim przyjacielskim stosunku Funio i Niunia byli z Derdidasem, nie spodziewała się, aby o niej pamiętali. Oczywiście, pomyliła się: Świderkowie pamiętali. Z początku obie strony czuły się nieco zażenowane. Niunia odwilżyła śliną usta, przy-mrużyła oczki i spojrzeniem lisa, skradającego się do kury, wpółuśmiechnięta przypatrywała się Justysi.

— Szanowna obywatelka zmizerniała trochę... — rzekła.

Zwróciła się do Funia:

— Prawda, moje złotko? Ty tego nie spostrzegasz?

— O... i owszem... spostrzegam... Ale to nic dziwnego... pani ma teraz egzamina...

— Tak? A to naturalnie...

— O, nie... nie pracuję teraz...—odpowiedziała Justysia.

Rozmowa jakoś nie wiązała się.

— Ale, bądź-co-bądź... natężenie umysłowe...

Funio głową potakiwał.

— Tak, tak, tak... kto mózgiem pracuje, szanowna obywatelko, ten krwią pracuje! Z nauką inaczej: to nie tak, jak robotnik, co ręką odmachu swoje godziny—i dosyć! Przerobić, przetrwać cudze myśli, to mi, panie, praca! Ja to widzę najlepiej po mojej żonie.

Justysia chciała wyjść z tego fałszywego położenia.

— Pani bardzo pracuje?—spytała.

— Teraz mniej...

— Moje złotko! nie mów tego... Twoja praca jest olbrzymia! Codziennie ją podziwiam...

— O, nie, nie! — mówiła słodkim głosem i z udaną skromnością Niunia.

Pomimo widocznych usiłowań z obu stron, rozmowa nawiązać się nie mogła. Funio nie chciał przystąpić odrazu *ad rem*, musiał pierwiej grunt wybadać i przygotować, co mu wcale z wielką trudnością nie przychodziło, zważywszy, że pani Świderkowa wtajemniczoną była we wszystkie plany. Po chwilce przerwy, Funio znowu głos zabrał:

— Obywatelka na wakacye jedzie do domu?

— Zdaje mi się...

— My także jedziemy.

— Na wakacye tylko?

— O, nie, szanowna obywatelko — odrzekła Niunia—my daleko prędzej pojedziemy... Na nas już czekają *towarzysze* w Krakowie...

— Jako? więc do Krakowa?

— Nie, szanowna obywatelko, ale... (nachylił się bliżej nieco ku Justysi i z tajemniczą miną dokończył:) — do kraju... Poco mamy tutaj siły swoje marnować, kiedy kraj cały wygląda ludzi pracy i czynu...

— Zdaje się, byłeś pan nieco innego zdania?...

Niunia odrzekła z uśmiechem:

— Byliśmy, szanowna obywatelko, tak, musimy się do tego przyznać; ale dziś już nie jesteśmy... Na kraj i jego stosunki poczęliśmy nieco trzeźwiej się zapatrywać. Są ludzie, których, zdaje się, jedynym celem jest sprowadzanie innych z drogi właściwej...

Tu Niunia spojrzała pytająco w oczy Justysi:

— Prawda, pani?

— Zdaje się...

— O tak, znamy takich, niestety! Jeżeli nie wymieniam ich nazwiska głośno, to tylko dlatego, że nadto jestem zawsze ostrożną, aby cudzej sławy nie szarpać... *Nomina sunt odiosa...*

— Nic łatwiejszego przecie, jak unikać takich ludzi...

— Zapewne, ale unika się dopiero wtedy, kiedy się ich pozna...

Niunia pokiwała głową.

— Niezawodnie... szanowna obywatelka ma zupełną słuszość... ale, w każdym razie, bądź-co-bądź, człowiek samodzielnie i niezależnie myślący prędko się na fałszywości ludzkiej pozna...

— Masz racją, masz racją, moje złotko... zawsze to mówię, wszystkim powtarzam...

— Więc państwo do kraju?... co za wypadek! Możemy jeszcze spotkać się kiedy...

— Dlaczegoż nie? Tak wiele mamy wspól-

nych zasad i myśli, że możemy jeszcze pracować na jednym zagonie.

Justysia знаła nieco sposób widzenia rzeczy w rozmaitych sprawach społecznych państwa Świderków i dlatego dziwiła ją nieco terażniejsza metamorfoza. Funio domyślał się tego.

— O, pani! i my nasze poglądy zmodyfikowaliśmy znacznie... przekonaliśmy się, że czerwona chorągiew trzeba pofarbować, albo schować na długo... W dojrzałych społecznościach inną prowadzi się robotę, u nas inną prowadzić trzeba. Nie można zaczynać od dołu, od ludu, od robotników; im mówić o idei, o ludzkości, a oni, jak młode wróble, otwierają dziobki i wołają: jeść... Trzeba propagandę prowadzić w wyższej sferze... Cóż obywatelka na to powie?

— Nie wiem... ja sądzę... może to lepsze...

Zarówno Funio jak i Niunia, czuli, że na Justysię wpływ dawny stracili; nie mogli w żaden sposób zelektryzować jej, jak niegdyś. Domyślali się, że jakaś rewolucja moralna odbyła się w dziewczynie, widzieli następstwa, ale nie mogli odgadnąć ani przyczyny, ani drogi przebiegu. Wszyscy wysilali się na ożywioną rozmowę, a rozmowa jakby umyślnie rwała się co chwila i służyła za wyraźny dowód braku wszelkiej spójni między nimi.

— Po wyjeździe państwa zapewne i reszta

kółka rozprószy się... Słyszałam nawet, że niektórzy już wyjechali...

Był to ze strony Justysi manewr w celu osiągnięcia wiadomości o Derdidasie; w położeniu i walce, jakie przebywała, była to ciekawość wytłómaczona.

— Dotychczas nikt jeszcze nie wyjechał... Obywatel Derdidas ma wyjechać niezadługo, ale...

— Ale co?

Niunia spojrzała uśmiechnięta...

— Bądź-co-bądź, zdaje mi się, że z niego będzie tyle korzyści tam, gdzie pojedzie, ile tu było...

Uwaga Niuni miała pozór pospolitej obmowy i plotkowania na rachunek znajomych, co nie podobało się wcale Justysi.

— Zapewne... — odrzekła — państwo muszą go znać lepiej odemnie...

— O, i jak go znamy!

— Mnie się tylko ciągle zdawało, że to człowiek zdolny i mógłby zdolności swoich użyć korzystnie.

— Zdolny, niezaprzeczenie — rzekł Funio z pewną żywością — ale w człowieku zdolności za mało: charakter, to grunt.

— Znam wprawdzie ludzi, którzy go bez ceremonii nazywają nicponiem... Co do mnie, sądzę inaczej — zauważyła Justysia.

Funio zwrócił się nagle do żony:

— Widzisz, moje złotko, *c'est le mot...* Od czasu, kiedyśmy się bliżej poznali, czy mówiłem kiedy inaczej? Jest to natura szeroka... fu-fiu tylko w głowie... Niby człowiek wolnomysłny, a tymczasem arystokratyczne zachcianki, jak rogi, występują u niego zawsze i wszędzie... nie poszanuje narodowości innej, w Niemcach widzi oko wolności... O! trzeba przyznać, że doktor Łasko dobrze poznał to ziółko...

Rozmowa stawała się nieco przewlekłą, godzina późną; wszyscy czuli, że zakończyć nareszcie należy.

— Czy państwo już zadecydowali chwilę wyjazdu?—spytała Justysia.

— Nie jeszcze, szanowna obywatelko. Właściwie mówiąc, pokończyliśmy tu wszystkie interesa i moglibyśmy choćby jutro pojechać, gdyby nie mała przeszkoda...

— Jaka?—spytała mimowolnie Justysia.

— Bagatela... Obywatelka mogłaby na to zaradzić z łatwością...

— Jeżeli mogę, uczynię z przyjemnością.

Justysia spostrzegła się, że zaszła za daleko, ale trudno już było zastrzegać się bardziej. Funio tok rozmowy pochwylił.

— Już kiedy rzeczy tak daleko zaszły, obywatelka pozwoli, że będę mówić zupełnie otwarcie...

— Proszę...

— Fundusz nasz na podróż nadszarpnął się trochę... Pani wie: żyjąc w ciągłych stosunkach z ludźmi, trzeba się udzielać; kiedy żądamy od ludzi, trzeba dawać także... Mieszka tu pewna uboga rodzina, która przypadkowo znalazła się w nędzy prawie: ojciec w szpitalu, matka chora z drobnymi dziećmi w domu i bez pracy; jak tu odmówić? Niunia ma takie miękkie serce... pani wie... ona, ażeby nie mieć przykrości żądać jakiejś pracy od służącej, woli sama robić... Wskutek niespodziewanej konieczności udzielenia pomocy, brak nam teraz nieco grosza na podróż... Za dziesięć dni będziemy posiadać więcej, niż trzeba... ale dziś... Tymczasem *towarzysze* czekają na nas w Krakowie i przykro nam, że niechęcy zrobiliśmy im zawód... Gdyby szanowna obywatelka mogła nas poratować...

— Ależ, Funiu kochany, dajże obywatelce pokój!... Cóż to interesuje kogo, że jesteś w kłopotach?

— Moje złotko... gdyby to chodziło o dwa, trzy tygodnie, o dłuższy termin, nie śmiałybym, wierz mi! ale o bagatelę... kiedy cała różnica w kilku dniach tylko...

— Niewielką sumką mogłabym służyć...

— Naturalnie... zresztą my jesteśmy sąsiedzi prawie...

— O, dziękuję obywatelce... — odezwała się Niunia. — Funiu, bądź-co-bądź, jest niegrzeczny...

— Ileż panu potrzeba?

— Wiele nie... ile obywatelka może...

— Więcej nad sto franków nie mogłabym służyć...

— O, dosyć, dosyć! — zawołała Niunia. — Bylebyśmy się do Krakowa dostali, tam jesteśmy już jakby w domu...

Justysia po tej alokucyi sięgnęła do pugilaresu, wyjęła pięć dwudziestofrankówek i Funiowi podała.

— Dziękuję serdecznie... — rzekł zwykłym, patetycznym tonem Funio.

— Niepotrzebnie nagabywałeś obywatelkę... moglibyśmy jeszcze kilka dni poczekać i doczekać się nareszcie...

— A tam czekaliby na nas *towarzysze*? Trzeba być słownym!

Cel był osiągnięty. Justysia dokompletowała brakujące pieniądze, mogli teraz wyjechać. Pożegnawszy się tedy serdecznie, państwo Świderkowie mieszkanie Justysi opuścili.

— Do widzenia więc! — rzekła Justysia — może jeszcze spotkamy się w kraju...

Niunia całowała ją tak szczerze, jakby największą przyjaciółkę.

— Do widzenia... przy nowej pracy!

— Ja nie żegnam się jeszcze ostatecznie... na wyjeźdźnym przybiegnę, aby uścisnąć rękę obywatelki...

Na ulicy Funio głęboko odetchnął.

— Ha! udało się! a był to, można powiedzieć, ostatni etap...

Niunia dodała:

— To nie jest zła dziewczyna... ma ona w sobie bardzo wiele szczerzej naiwności...

— O, tak... wiele! wiele tego, co się nazywa wiarą...

Po tej uwadze, dwoje wielkich ludzi spokojnie udało się do domu, rozmawiając o planach na przyszłość. Po zapłaceniu obstalunków, już tylko wyjazd mieli przed sobą. Zabrało to im znowu kilka dni czasu. Funio chciał być słownym i złożyć jeszcze ostatnią wizytę Justysi i doktorowi Łasce, ale ponieważ tego samego dnia wieczornym pociągiem już mieli odjechać, uważał za potrzebne dokonać na swojej osobie pewnego przeobrażenia w celu zamaskowania się i usunięcia w ten sposób wszelkich podejrzeń. Oczywiście, zewnętrzne przeobrażenie Funia nastąpiło w duchu zamanifestowanej zmiany przekonań. Około godziny dziesiątej zapukał ktoś do mieszkania Justysi, która właśnie zajęta była żywą bardzo rozmową z doktorem Łaską.

Kiedy się drzwi otworzyły, na progu ukazał się nieznajomy, elegancko ubrany, z cylindrem w ręce, z głową ostrzyżoną *à la Titus*, w ciemnym *pince-nez*, z bródką w klin podstrzyżoną. Na widok jego doktor Łasko i Justysia powstali,

a gospodyni zbliżyła się do przybyłego z pytaniem spojrzaniem.

— Czy mam przyjemność pannę Justynę Kaleńską widzieć?

— Tak jest... służę panu...

Wskazała mu krzesło. Doktor Łasko oddalił się do okna, nie chcąc być świadkiem rozmowy. Nieznajomy starał się nadać sobie ruchy salonowe, pomimo to widać było, że nie zna ich wcale, a raczej zna tylko z teatru i kawiarni; jego mowie, giestom, zachowaniu się, brakło miary, okrągłości, spokoju.

— Przychodzę do pani dobrodziejki w ważnym interesie...

— Słucham.

Głos ten wydał się jej znanym; wpatrzyła się w twarz: jakieś przypomnienie znajomych rysów ją uderzyło, ale nie mogła się jeszcze zorientować.

Wtem odezwał się doktor Łasko:

— Funiu! cóżto za mistyfikacya?

— To znaczy umieć zamaskować się!—wołał tryumfująco, zadowolony sam z siebie, Funio. — Przebyłem tedy pierwszą próbę...

— Ale niepotrzebną—wtrącił doktor Łasko.

— O, bracie! kto do kraju jedzie, ten musi być na wszystko przygotowany...

— Słyszałem właśnie, że jedziesz... Kiedy?

— Dziś wieczorem.

— No, a w kraju?

— Propagować, agitować...

— Tak, tak, tak...

— Tylko inaczej trochę, niż dotychczas...

— Nie tak gwałtownie... Twoje przekonania zwyciężyły mnie...

— Nie mam ich wcale za najlepsze.

— Ale za uczciwsze... Co do Derdidasa, przekonałem się, że on co innego mówi, a co innego robi...

— Czy tylko on?

— Ostatnimi czasy zaczął grać rolę jakiegoś emira Afganistanu, jakiegoś wschodniego autokraty, który pragnie wolności tylko dla siebie, aby innych tem łatwiej za czub trzymać. U niego Niemcy są osią, a wszyscy dla nich tylko pracować powinni...

Doktor Łasko i Justysia nie oponowali. Po chwili Funio powstał i żegnać się począł.

— Jeszcze muszę pannę Helenę pożegnać... — rzekł.

— Helka chora... niech pan nie chodzi do niej... Teraz właśnie czuwa przy niej Siostra Miłosierdzia.

— Chora? co jej jest?

— Gorączka, zdaje się... Lekarz mówi, że tyfus.

— Tyfus? — spytał Funio przerażony — toż to okropna choroba! zaraźliwa!

— O, tak...

— Proszę więc w mojem imieniu pożegnać pannę Helenę i oświadczyć, że zawsze mam dla niej głęboki szacunek...

Po wyjściu Funia, doktor Łasko nie mógł powstrzymać się od zrobienia uwagi:

— Komedycanci... aktorowie małomiasteczko-
wi, którzy źle grają rolę wielkich bohaterów!...

Funia zastanowiła myśl: co robił u Justysi doktor Łasko? Była do tego racya, której domyślić się nie mógł.

IX.

Od pierwszej bytności swojej u Helki, po długiej przerwie, Justysia spostrzegła w przyjaciółce wielką jakąś zmianę, która uderzyła ją od razu, zdziwiła, zastanowiła, ale której tłómaczyć sobie nie starała się; zmiana ta w Helce zarówno dotykała jej psychicznego stanu, jako też i zewnętrznej strony życia. Justysia znalazła ją bladą, wychudłą, znękaną, chorą, prawie pozbawioną świeżości i wesołości, cechujących młodość. Warunki zewnętrzne, w jakich żyła, zastanawiały jeszcze bardziej: nieopalanany przez zimę pokój, brak lepszych i droższych sukienek, lampka ma-
lutka, służąca jednocześnie do nauki i do grzania wody, coraz radsze pokazywanie się na obiadach u Polydora, wszystko to świadczyło o walce z ubóstwem, jaką dziewczyna, cicho wprawdzie,

ale wytrwale, przebywała. Nie było wątpliwości, że bieda oddawna już i często kołatała do drzwi małego pokoiku, w którym Helka mieszkała, że walczyła z nią uporczywie, z rozpaczą prawie, czekając polepszenia warunków życia, które nie następowało. Młodość, energia, siła ducha, były codziennymi pomocnikami niewidzialnego dla nikogo boju, ale młodość łamała się pod młotem nielitościwego losu, energia wyczerpywała się, siła ducha słabła codziennie.

Następstwem tej walki były tylko twarz coraz bledsza, oczy głęboko zapadłe, zmęczone, brak wszelkich sił fizycznych i znękanie moralne, z którego wysnuwało się zawsze jedno pytanie, stojące przed nią, jak nieubłagane widmo: co jutro będzie? Fantazya, osłabiona wyczerpaniem sił, rozdrażnieniem nerwów, rysowała sobie to jutro, jako nieubłagane *fatum*, które kościstą rękę położy na gardle i zadusi... Na myśl o tem, krew ścinała się jej w żyłach, a na krtani czuła, zdaje się, chłodne palce tego *fatum*.

Wstyd jej było przyznać się do tej walki, którą codziennie staczała ze sobą, przed matką, przed Justysią, przed znajomymi, bo czyż nie byłoby to zgoła tosamo, co przyznać się do własnej niemocy, co powiedzieć: jestem niewytrwałym żołnierzem, wojna nie jest mojem rzemiosłem, nie mam dość odwagi i z placu bitwy uciekać muszę, nie doczekawszy się zwycięstwa. Sama

myśl o tem strachem jakimś niepojętym, wewnętrznem upokorzeniem wobec siebie samej ją napępiała, a pytanie: co robić, jak się ratować,—nie odstępowało jej nigdy.

O tem, co się dzieje w domu, na sadybie w Makosiejach, wiedziała dobrze, raczej domyślała się dobrze z tych krótkich listów, krótszych jeszcze półsłówek, które matka do niej pisywała. Treść tych listów była zawsze jednakowa, wypowiadana tylko czasem innemi słowami; były tam wiadomości o urodzaju, zbiorach, cenach, trudności sprzedaży, braku pokupu na wszystkie płody gospodarskie. Justysia, obeznana z trybem gospodarstwa w domu, z jego potrzebami, ciężarami, kłopotami, łątwa sobie z suchych dat i wzmianek mogła dorysować obraz życia starej matki. W listach tych, tu i owdzie, między wierszami, doczytać się można było ledwo wyszeptanej skargi, która tem boleśniejszą wydawała się Helce, że sama do pewnej winy względem matki poczuwała się. Ona to przecież, choć nieobecna, niejedną przyczynę może dorzuciła do tych, które się na smutek matki składały; pobyt jej w Paryżu zmuszał Wołczkową do pewnych ofiar pieniężnych, odbierających wszelkie dochody małemu gospodarstwu, a w chwilach braku gotówki nabawiał ją gorączki na jedną myśl o tem, że Helka, zadługo czekając na pieniądze, daleko od niej, walczy może z głodem i niedostatkiem.

Mimo widoczne borykanie się, Wołczkowa wyraźnie ani jednym słowem nie zdradziła swoich cierpień moralnych, na Helkę nie narzekała, tylko niekiedy, pisząc o swoim zdrowiu, dodawała: „Kiedyż ty, moje dziecko, zawitasz do nas? Coraz jestem słabsza, coraz niecierpliwsza oglądania ciebie; nie dziw się temu, moje dziecko, jestem coraz starsza.“ Helka niewypowiedziane myśli, obawy, nadzieje odgadywała. Ze swej strony nie pisała matce o swoim położeniu, walkach z niedostatkiem i tęsknocie. Oszczędzały się wzajemnie. Tymczasem położenie Helki stawało się coraz gorszem i doszło, zdawało się, do ostatecznych granic; nie miała już ani *sous*, i dlatego tylko, ażeby kupić trochę nafty i chleba, wyprzedawała resztki bielizny i ubrania. Czekwała lada dzień na pieniądze od matki i doczekać się nie mogła.

Z początku pokazywała się u Polydora z pewnemi przerwami, wymawiając się chorobą, nareszcie przestała zupełnie chodzić. Zachowanie się Helki i wygląd nie uszły uwagi doktora Łaski; znał trochę tę sferę, w której żył, znał rozmaite charaktery i odcienia, i domyślał się z łatwością wewnętrznego dramatu, odgrywającego się niewidzialnie w dziewczynie ambitnej, przekładającej potajemną walkę z sobą nad dotkliwe może upokorzenie. Byłby chętnie z całą bezinteresownością i oddawna już przyszedł jej w pomoc, gdyby go

nie powstrzymywały pewne drażliwości, wynikające nieraz z towarzyskiego stosunku. Drażliwości te potęgowały się tembardziej, kiedy naprzeciwko siebie stawały kobieta i mężczyzna. Zainteresowanie się, okazywane przez młodego mężczyznę młodej kobiecie, możnaby wziąć na karb zbliżonego stosunku, tłumaczonego zwykle lub często dwuznacznie. Doktor Łasko nadto cenił Helkę, jej charakter i spokój, ażeby ją i siebie miał narażać na złośliwe uwagi i płytkie sądy ludzi, szukających brudu w każdym stosunku.

Kiedy nareszcie spostrzegł, że Helka przestała na obiady Polydora uczęszczać, a ograniczyła się do szklanki mleka wieczorem, tłumacząc się zajęciem i niemożnością tracenia czasu na chodzenie na obiad, odgadnął ostatecznie rzeczywiste powody takiego postępowania i szukał drogi, aby przyjść jej w pomoc. Nie było to rzeczą dość łatwą, tembardziej, że chodziło nie tylko o to, ażeby podać pomoc, ale żeby nie pozwolić odgadnąć tego i nie upokarzać zbyt znacznie miłości własnej dziewczyny. Przedewszystkiem potrzeba się było dowiedzieć, jak rzeczy stoją. Wynałazł do tego doskonałą sposobność. Około godziny jedenastej rano zapukał do jej mieszkania. Zaledwie rzucił okiem wokoło, przekonał się, że się nie mylił: nędza panowała nie tylko w pokoiku, ale patrzyła swoim przerażającym spoj-

rzeniem z oczu, z twarzy, z czoła, z ubrania, z całej pogiębionej postaci dziewczyny. Udał jednak, że nie widzi tego, że nieobecności jej u Polydora nie spostrzegł. Po wymianie kilku banalnych początkowych frazesów, rozpoczęła się rozmowa.

— Pan już z biblioteki wraca?

— Dziś wcześniej wyjść musiałem...

Ręką skinął na plik papierów, który na stole położył.

— Ot z tem mam kłopot — rzekł.

— Cóż to jest?

— Rękopis do przepisania...

— Pański?

— O, nie... swoich nie przepisuję, za wiele bym czasu stracił. Jeden z dawnych moich kolegów uniwersyteckich wręczył mi go, prosząc, abym wynalazł kogoś do przepisania natychmiast. Wymawiałem się, że nie znam nikogo; nic nie pomogło, dał mi rękopis i pieniądze...

Helce uśmiechnęła się nadzieja dostania roboty, ale z radością swoją się nie zdradziła.

— I cóż pan z tem robi? — spytała.

— Co? Szukam kogoś... Już byłem u kilku znajomych, ale każdy wymawia się; amatora na taką nudną robotę nie łatwo znaleźć.

Nastąpiła chwilka milczenia. Helka drżała na samą myśl o tem, że doktor Łasko może powstać, zabrać rękopis i wyjść.

— Czy to duży rękopis?—spytała nieśmiało.

— O, nie... Kilka arkuszy za ledwie. Dla czego pani pyta?

— Mogłabym się podjąć tego przepisania, jeżeli pan sobie kogo innego nie znajdzie. Teraz właśnie mam nieco czasu wolnego.

Doktor Łasko powstał z krzesła i począł dziękować Helce.

— Będę bardzo, bardzo obowiązany pani za to!

Zbliżył się do stołu, rozwiązał plik papieru i rękopis, o którym była mowa, wyjął. Arkusze przeliczył.

— Pięć arkuszy tylko... Sądzę, że za dwa dni pani skończy.

Helka przypatrywała się pismu, obliczała czas.

— Tak, za dwa, może za trzy dni skończę...

— Dziękuję bardzo — rzekł doktor Łasko, Helkę za rękę ściskając — wybawia mnie pani z kłopotu.

Helka wzięła rękopis i w rulon zwijać zaczęła.

— Pozwoli mnie pani wyręczyć kolegę...

Sięgnął do kieszeni. Helka zrozumiała ten ruch i rumieńce na twarz jej wystąpiły.

— Ależ panie... nie nagłego... potem, jak skończę...

— Proszę pani — rzekł tonem perswazyi — mam na ten cel pieniądze; czy je oddam teraz,

czy za trzy dni, jest to dla mnie obojętnem... a nawet wolę wcześniej...

Wyjął dziesięciofrankową złotą monetę i na stole położył. Potem znowu z całą prostotą i naturalnością zbliżył się do Helki i za rękę ją ścisnął.

— Boję się, że narzucam pani robotę—rzekł.

— Nie, wcale... Mam dosyć wolnego czasu teraz... Siedzę w domu... Nie pan mnie przepraszać, ale ja panu dziękować raczej powinienam.

Po wyjściu doktora Łaski, Helka była w jakimś stanie febrycznym; nie śmiała spojrzeć na złoto, leżące na jej stoliku, nie śmiała go się dotknąć i wstyd ją opanowywał na myśl o tem, że może on się domyśla wszystkiego i przynosi jej tylko jałmużnę... Ale to być nie mogło; przecież nie zdradził się jednym słowem, jednym ruchem! Zresztą, czyż nie miała prawa do tego kawałka, leżącego na jej stoliku, złota? Przecież ono nie przyjdzie jej daremnie, musi zapracować pierwej.

Na widok pieniędzy, zdawało się, że głód począł jej dokuczać uporczywiej, a jakiś wstyd fałszywy i wygórowana miłość własna nie pozwalały jej dotknąć się leżącej na stole monety. Z jakimś gorączkowem drżeniem ręki podniosła ze stolika rękopis, rozwinęła go nanowo i przypatrywać się poczęła. Rękopis był czytelny i pięknym, energicznym męskim charakterem pisany. Rozpatrzywszy się, przy stoliku usiadła.

— Niema czasu do stracenia — rzekła sama do siebie — trzeba zacząć... Im prędzej skończę, tem lepiej!

Przysposobiła się do pisania i natychmiast robotę rozpoczęła.

Tajemna pomoc, z jaką doktor Łasko pośpieszył w przykrem położeniu Helki, wywołała wprost przeciwne następstwa: dziewczyna, dotychczas walcząca uporczywie z głodem i biedą, zachorowała. Oczywiście, przyczyniły się do tego inne okoliczności. Najpierw, gwałtowne wyczerpanie sił, spowodowane długo trwającym, niedostatecznym odżywianiem, potrzebowało powolnego, ale regularnego wzmacniania. Helka nie zwróciła wcale na to uwagi, i, walką wewnętrzną powodowana, podrażniona roznerwowanym stanem organizmu, zabrała się z pozostałą jeszcze energią do przepisywania pozostawionego jej przez doktora Łaskę rękopisu. Jakaś siła wewnętrzna parła ją do wywiązania się copędzej z przyjętego obowiązku, do załatwienia rachunku, ciężącego na jej sumieniu; tymczasem chęci nie odpowiadały już zdrowiu. Kilkugodzinna praca pierwszego dnia tak ją wyczerpała, że, podniósłszy się od stolika, dostała zawrotu głowy; jakieś żółte plamy migać jej poczęły przed oczyma i, bliska zemdlenia, bezwładna prawie, na kanapkę upadła. Czuła się tak osłabioną i chorą, że przestała już doświadczać wrażenia głodu. Kupiła herbaty, mleka,

ugotowała to przy lampce, ażeby się odżywić nieco i ogrzać, a wieczorem, z jakąś gorączkową żądzą pracy, znowu do pisania zasiadła; ale lampka, która dawniej wystarczającą była, dawała tak mało światła, w oczach migaly i przesuwaly się bezustannie jakieś linie, wijące się jak języki, jakieś punkta, wirujące ciągle, że pracować nie mogła. Położyła się do łóżka, aby w gorączce całą noc spędzić i wstać nazajutrz jeszcze bardziej słabą i pognębioną. Było to o tyle rzeczą naturalną, że nastąpiło jako wynik zbyt długiej walki z głodem.

Nazajutrz rano, pomimo objawiającej się lekkiej gorączki, Helka zasiadła znowu do roboty, kiedy mniej więcej o tej samej porze, co wczoraj, posłyszała pukanie do drzwi. Myślała, że może doktor Łasko wraca po rękopis. Wtem otworzyły się drzwi i wszedł listonosz z listem rekomendowanym. Był to list od matki. Z nerwową gorączką do rąk go porwała i czytać poczęła. List ten wstrząsnął nią całą. Po przeczytaniu, ręce jej opadły bezwładnie i łyzy, palące jak węgle rozżarzone, popłynęły. Twarz obiema rękoma zakrywszy, przechyliła się na poręcz kanapki i głuchym, tłumionym, ale głębokim płaczem płakała. Helka nie była skłonna do łez, snadź treść listu poruszyła ją mocno.

List był na pozór pocieszający, bo matka robiła nadzieję, że za parę tygodni pieniądze może

wyśle, ale wiadomość ta nie wydała się jej wcale pociechą wobec treści ogólnej. Wołczkowa opisywała córce całe okropne swoje położenie, wywołane przez kryzys rolniczy i zastój w handlu; położenie takie dało się uczuć bardzo dotkliwie zamożnym, a biednych rujnowało do ostateczności, bo im brakło gotówki na płacenie podatków. Pociągało to za sobą wyprzedaż wszelkich zapasów, a często i inwentarza roboczego. „Tonący brzytwy się chwyta,” mówi przysłowie, otóż tej brzytwy chwytała się teraz Wołczkowa; walczyła z biedą ogólną, wyprzedawała się, zadłużała, aby jakoś tę chwilę powszechniej nędzy i klęski przeczekać, przeboleć; tymczasem zażegnana jedna bieda, za tydzień lub miesiąc, wracała nazad w te same progi, jeszcze groźniejsza i straszniejsza, niż była. Nigdy jeszcze Wołczkowa takiego szczerego, długiego i bolesnego listu do Helki nie pisała; i teraz do powrotu nie zachęcała, jednego słówka nie rzuciła skargi lub narzekania, niepozwoiliła domyślić się ukrytej prawdy, że do tego rozpaczliwego położenia, w jakim żyła, i Helka przyczyniła się niemało. Bolało to jeszcze bardziej dziewczynę, bo do winy poczuwała się sama.

Helka płakała długo. Wybuchy płaczu były coraz cichsze, coraz głuchsze, aż nareszcie ustały zupełnie; ale dziewczyna, osłabiona długim płaczem i smutkiem, siedziała ciągle z zamkniętymi oczyma, z głową pochyloną, zamyślona i milcząca.

Nareszcie podniosła głowę, wyprostowała się, oparła o ściankę kanapy i wzrokiem łez pełnym, spojrzeniem gorączkowym, patrzyła w środek pokoju, chociaż widać było, że sama w siebie patrzy. Długą chwilę w takim położeniu siedziała, nareszcie wyciągnęła rękę, list, leżący na stole, wzięła, i znowu go czytać poczęła. Przeczytała cały powolnie, jakby sobie sprawę zdać chciała z każdej myśli, z każdego wyrazu, z każdej sytuacji, którą przedstawić sobie starała się. W końcu zatrzymała czytanie, ręka wraz z listem bezwładnie na kolana usunęła się, a oczy zaiskrzyły się łzami; widać było, że dziewczyna jakieś walki ze sobą stacza. Ów ustęp listu, na którym się zatrzymała, brzmiał jak następuje: „Skąd wezmę potem pieniędzy, aby ci posłać? Nie wiem. Nie martw się jednak, moje dziecko, i bądź dobrej myśli. Bóg może będzie łaskaw na nas.“ Wiara w opatrzność kobiety biednej, walczącej z losem, wydzierającym kawałek chleba, wydawała się jej jakąś ironią gryzącą...

List ów wstrząsnął nią całą i kilka godzin przesiedziała bezwładnie prawie, zamysłona, w szamotaniu się z sobą. Minęła godzina obiadowa, ale Helka nie ruszyła się z pokoju, zapomniała o głodzie, o pragnieniu, o świecie całym, bo stał jej w myśli własny świat marzeń, nadziei, rojeń młodości, stworzony gdzieś w kącie duszy, i świat gorzkiej, nieponętnej rzeczywistości, na którego

jednym końcu borykała się ona, na drugim — matka. Jakiś ból wewnętrzny, zdawało się, szarpał, rwał w niej wszystko; czuła się bezsilną, widziała, jak mało są warte rojenia wobec barrykad życia... W tak ciężkiej walce z sobą, zapomniiała o jedzeniu, o wszystkich potrzebach. Zapatrzona w ten obraz nędzy, jaki się jej przedstawiał w sadybie w Makosiejach, myśli od niego oderwać nie mogła; rozbudzone sumienie, jak burza szalona, miotało nią, a w całej swojej istocie nie znajdowała jednego kąta, dokąd schronićby się mogła. Widziała tylko wyraźnie, że i sama nie dosięgła szczytu swoich pragnień, i starej, dobrej matce tyle przyniosła zmartwień!

Ażeby przerwać tok myśli, zawsze jak fala powracającej i uderzającej w jedno miejsce, uporzędkowała leżący na stole rękopis i do przepisywania zasiadła; ale snadź walka, jaką dziewczyna toczyła z sobą, silniejszą była od woli, bo pisać nie mogła. Wycieńczona tą walką, osłabiona z głodu i ciągłej powolnej utraty sił, czuła się już niezdolną do dalszego wysiłku. Nad wieczorem, głód ustąpił miejsca pragnieniu: był to początek gorączki.

Doktor Łasko, nie widząc Helki przez dwa dni, niepokoić się począł. Przeczuwał coś złego, ale nie miał kogo zapytać i nie śmiał. Mógłby był posłać gospodarza hotelu, ale krok ten wydał mu się niewłaściwym — nie chciał poprostu oka-

zywać swego zainteresowania się; te same względy powstrzymywały go na drodze zasięgnięcia informacji. Nie robił tego z uwagi na siebie, ale na Helkę. Wybrał tedy drogę najprostszą—sam poszedł. Na kilkakrotne pukanie do jej pokoiku, nie posłyszał żadnej odpowiedzi; nacisnął klamkę i wszedł. To, co mu się przedstawiło, odkryło oczy na wszystko, drobna jego pomoc była już za późną. Helka leżała w łóżku w gorączce, która, jak łatwo się można było domyślić, miała swoje źródło w życiu o głodzie i chłodzie. W pokoiku było jakoś pusto i smutno, jak tam wszędzie, gdzie nędza zbyt długo gości. Rzuciwszy okiem wokoło siebie, dostrzegł na stoliku rękopis, do połowy przepisany, a obok niego kupkę pieniędzy: była to reszta z dziesięciu franków, które przed dwoma dniami wręczył jej tytułem zapłaty za przepisanie rękopisu.

Helka leżała w gorączce; rozbita przy łóżku karafka i rozlana woda, szklanka, stojąca na stoliku w głowach łóżka, świadczyły, że dziewczyna w nocy może instynktownie szukała wody i karafkę przewróciła. Doktor Łasko zbliżył się do łóżka, przemówił coś; ale Helka nie poznała go; podniosła tylko głowę, spojrzała pytającym wzrokiem i dalej bredziła.

— Już razem będziemy, mamó... nie porzucę ciebie...—mówiła półszepem w gorączce.

Doktor Łasko nie rozumiał znaczenia tych

słów, bo nie wiedział, co się stało i jaka była najbliższa przyczyna, która nareszcie zwyciężyła niebogę. Przeszedł się kilka razy po pokoju, namyślając, co ma robić, i spojrzenie jego znowu spoczęło na stoliku, przy którym Helka pisywała: obok rękopisu leżał list od matki, ostatnią stroną do góry zwrócony, i oko jego zatrzymało się mimowolnie na tym ustępie: „skąd wezmę potem pieniędzy, aby ci posłać?“ W ten sposób błysnęło mu rozwiązanie tajemnicy domowego dramatu, odgrywanego się tylko w sercach osób interesowanych, poza sceną życia i widzami.

Nie było jednak czasu na długie rozmyślanie; przed nim leżała, pasując się z gorączką głodową, Helka, którą trzeba było jak najrychlej ratować. Wybiegł więc spiesźnie, sprowadził lekarza, siostrę miłosierdzia i, załatwiwszy drobne potrzeby chorej, postanowił pójść jeszcze do Justysi, przedstawić jej całą okropność położenia przyjaciółki; przekonany był, że u niej znajdzie może pomoc skuteczniejszą i pewniejszą, niż ta, której sam mógł udzielić.

Ten był powód, że doktor Łasko zdecydował się pójść do Justysi, gdzie się spotkał z Funiem, mistyfikującym się według wszelkich form wytrawnego agitatora.

Justysia wzięła sprawę chorej przyjaciółki bardzo do serca, tem bardziej, że sama znękana przejściami, jakie z Derdidasem miała, odczuwała

wrażliwszem sercem cierpienia innych. Była już na wyjeździe z Paryża, kiedy dowiedziała się o chorobie Helki i postanowiła zatrzymać się do jej wyzdrowienia, lub przynajmniej do przełomu gorączki i zejścia na lepszą drogę. Natychmiast po wyjściu Funia poszła wraz z doktorem Łaską do mieszkania Helki, aby jej być w czemkolwiek pomocną; pomoc zaś o tyle była potrzebną, że Helka, oprócz kilku franków, wziętych za przepisywanie, nic więcej nie miała. Tymczasem wydatki były wielkie, które na siebie musiała przyjąć Justysia.

Powstrzymać rozwiniętą chorobę było niepodobieństwem; należało więc czuwać tylko nad tem, ażeby wyjść z niej zwycięsko. Gorączkowy stan Helki był, zdawało się, dalszym ciągiem ostatnich wrażeń, wywołanych listem matki. Bredziła, że jest w domu, w Makosiejach, że widzi matkę i rozmawia z nią o strasznej jakiejś przyszłości jej i swojej. Wszędzie, ze wszystkich kątów wyglądał niedostatek, ubóstwo; na gumnie nie było ani stożka zboża lub siana, tylko tu i owdzie trochę napół przegniłej słomy, w której grzebały kury z sąsiednich chłopskich chałup. Otworzyła szpichlerz, zajrzała do zasieków—ani ziarenka pszenicy i żyta! W jednym kąciku tylko leżała kupka grochu, który szczury przegryzały, w drugim—odrobina stokłosa, dzikiego groszku i kąkolu, z dawnych czasów pozostałe, a świadczące o sta-

rannem niegdyś czyszczeniu zboża. U pułapu widać było zawieszonych kilka wiązek nasiennej kukurydzy, kilka kłębków szarego konopnego przedziwa, parę wiązek opylonych kłaków, a zresztą—pustki i pustki... Zajrzała do obórki: i tam nic niema; chruściane jej ściany wydeły się, wykrzywiły; belki, wiążące je, skosiły się, dach pochylił się na bok, wiatr go rozczochrał, porozwiązywał i powyrywał snopki...

Serce ścisnęło się jej na ten widok nędzy. Dawniej tak było wszystko czysto, porządnie; widać było, że czyjaś ręka dbała o to, czyjeś oko czuwało. Pod wpływem tego przygnębiającego wrażenia opuściła obórkę i nagle ujrzała stojącego przed nią Fed'ka. Był wynędzniały, błądy, smutny.

— Co tobie?—spytała głośno.

Obecna siostra miłosierdzia i Justysia spojrzały na chorą i nie wiedziały, do czego stosuje się to pytanie. Przed oczyma Helki stał obraz, przez własne jej myśli stworzony.

Fed'ko wodził okiem po gumnie, po szpichlerzu, po obórcie, jakby spójrzeniem opowiadał wszystko, jakby się na los, prześladujący go, skarżył.

— Bieda, panuńciu, przyszła... — odrzekł jakimś rozdzierającym głosem.

Z boku doleciał jej ryk bydła — jakiś długi, żałobny, jękliwy. Obejrzała się.

— Ach! Mazucha!—krzyknęła z jakąś rado-

ścią w głosie i ruch gwałtowny zrobiła, jakby się chciała zbliżyć ku niej.

— Bredzi...—zauważyła siostra miłosierdzia.

— Bredzi...—powtórzyła Justysia.

Mazucha, ta sama, której niegdyś własną ręką przyrzadzała pójść, była chuda, wynędzniała, że tylko skóra i kości z niej zostały. Ledwie się jej przypatrzyła, kiedy od dworku, od przełazu, pokazała się ruda głowa, pejsami ozdobiona, Srula, rzeźnika z Wasiutyniec. Dostrzegł Helkę, uśmiechnął się, jak Judasz, i jarmułką kłaniał się jej z daleka.

— Czego on chce?—spytała.

— Panuńciu... to po Mazuchę... — odrzekł Fed'ko, a w głosie jego czuć było łyzy tłumione.

— Naco? poco?

— Na rzeź, panuńciu... pani kazała... Trzeba sprzedać za co można, co da, bo więcej już nie do sprzedania niema.

Ból ją jakiś ścisnął za serce i głośno płakać poczęła. Uspokajała się powoli. Zdało się Helce, że naprzeciwko niej wyszła matka: postarzała, wychudła, blada, uśmiechnęła się do niej zwykłym swoim dobrym, spokojnym uśmiechem i płaczącą w objęciu swoim utuliła.

— Razem będzie nam lepiej... lżej jakoś walczyć z losem... we dwie będziemy silniejsze...

Utulającą się z płaczu Helkę matka ścisnęła za głowę, pocałowała, potem rzekła:

— Chodźmy do pokoju... Fed'ko sam sprzeda Mazuchę.

Poszły powoli.

W domu, w pokoju, widziała tę samą nędzę, która przeglądała ze szpichlerza, z obory, z chudych boków Mazuchy. Wołczkowa pragnęła coś wyjąć z szafy i otworzyła drzwi. Helka przypadkowo spojrzała do środka—szafa była próżna: ani ubrania, ani futra, ani bielizny...

— Mamo! — zawołała drżącym boleścią głosem—gdzież to się wszystko podziało?

— Sprzedałam... Trzeba było na życie i mnie, i... tobie...

Obląkanym, łez pełnym wzrokiem wpatrywała się w próżną szafę, jakby pragnęła coś jeszcze odszukać; kilka łachmanów odzieży wisiało na haku, a na dolnej pułce wzdłuż rzuconą była stara szmata.

— A karabela ojcowska?

— Jest jeszcze...

Wołczkowa wzięła powoli w obie ręce szmatę, podłużnie leżącą na pułce, rozwinęła z jakąś religijną powagą i szacunkiem—była to karabela. Rdza żółtymi plamami obsiadła na rękojeści.

— Ach! nie sprzedawaj jej, matko... nie sprzedawaj!—prosiła.

Wołczkowa, spojrzawszy na karabelę, znowu ze czcią zawijać ją poczęła w szmatę.

— Nie sprzedam, moje dziecko...

— Nie sprzedawaj, matko... Już do Paryża nie wrócę więcej... nie chcę... nie chcę, abys dla mnie marnowała wszystko: zdrowie twoje, i spokój, i naszą ojcowiznę... Nie chcę więcej nauki, wolę mieć sumienie czyste i spokojne... Cóż mi po tej nauce, której odemnie nikt nie pragnie? czy nie będzie ona, jak lampa, której nie będę miała gdzie postawić? Co mi po tem wszystkim, kiedy nie będę miała kąta własnego, gdziebym mogła głowę pochylić, myśli dać spoczynek?...

Gorączkowy stan Helki trwał długo; tydzień cały walczyła między życiem a śmiercią — młodość nareszcie zwyciężyła. Nastąpił przełom, a po nim nadzieja wyzdrowienia. Stan zdrowia chorej coraz się polepszał, niebezpieczeństwo minęło, a rekonwalescencya następowała szybko. Helka wiedziała dobrze, komu zawdzięczać ma wyzdrowienie, bo świadomość położenia, w jakim była, opuszczała ją tylko w chwilach gorączki. Wiedziała o tem, że Justysia musiała załatwiać wszystkie wydatki pieniężne; ale poza plecami przyjaciółki wychylała się postać doktora Łaski, w którym słusznie domyślała się działającej sprężyny. Jego wyższość moralna, bezinteresowność, jego głęboka, prawdziwie ludzka dobroć, przejmowały ją niezwykłym szacunkiem dla niego, a jednocześnie czuła jakieś upokorzenie i sama siebie pytała: dlaczego on jest takim? Lękała się odpowiadać na pytania, prześlądujące ją bezustanku.

Ile razy otworzyła oczy, zawsze przy łożku swoim widziała Justysię, lub doktora Łaskę. Justysia prawie całymi dniami przesiadywała u niej; nie tylko stąd, że czuła potrzebę wynagrodzenia przyjaciółce popełnionej niegdyś niesprawiedliwości, ale poprostu dlatego, że w towarzystwie jej znajdowała ukojenie własnych smutków i zawodów, jakieś złagodzenie nieziszczonych nadziei. Helka czuła wdzięczność dla Justysi, tem bardziej, że o jej planach, dotyczących opuszczenia Paryża, wiedziała dobrze. Zamiast pospiesznego wyjazdu do domu, widziała ją siedzącą przy łożku swoim, troskliwie czuwającą nad każdą jej potrzebą, każdym ruchem, każdym pragnieniem; a jednak, oprócz pielęgnowania chorej, nic jej już więcej nie zatrzymywało.

— Ty kiedy wyjeżdżasz? — spytała raz Justysi.

— Nie wiem... za tydzień, za dwa może...

Helka milczała chwilkę, jakby pragnęła myśl jakąś związać, potem rzekła:

— I ja za tobą podążę...

— Jako? I ty wracasz?

— Wracam...

— A twój licencyat?

Helka zrezygnowany ruch głową zrobiła.

— Nauka, wielka rzecz niezawodnie — rzekła — ale bez stopni naukowych, szczególnie my, kobiety, obejść się możemy...

Justysia, zdumiona, patrzyła w ożywioną twarz przyjaciółki, jakby uszom własnym nie wierząc.

— Dziwi to ciebie? prawda?—ciągnęła dalej Helka—są jednak czasem obowiązki, które silniej, namiętniej pociągają nas ku sobie. niż formy, dotyczące stopni naukowych... Taki obowiązek ciąży na mnie... muszę spieszyć...

Justysia patrzyła na nią zdziwiona, nie mogąc dobrze zrozumieć znaczenia tych wyrazów. Helka odgadła powód zdziwienia Justysi.

— Moja droga—rzekła—daj mi, proszę, te papiery, które na stoliku leżą...—i ręką w kierunku stolika, przy kanapce stojącego, ukazała.

Z podanego sobie pliku papierów wybrała jeden arkusik i Justysi podała.

— Przeczytaj to...

Był to list pani Wołczkowej do Helki.

Justysia czytała go powoli, a na twarzy jej malowały się wszystkie uczucia, jakich, czytając, doznawała. Skończywszy list, położyła go na stoliku przy łóżku, nachyliła się ku leżącej Helce i w czoło ją pocałowała.

— Muszę jechać... trzeba moją pracę ratować matkę i kawał ziemi, jaki nam jeszcze pozostał... W Makosiejach przekonam się dopiero, co warta moja nauka...

— Dziwny wypadek! — zauważyła ze smu-

tkiem Justysia — rwałyśmy się z gniazda, jak ptaki, a teraz do tych gniazd tęsknimy zdaleka...

— Zdawało się nam, że obowiązki w nauce; a obowiązki—w domu.

Justysia nie mogła wyjść z podziwienia nad tą zmianą, jaka się stała.

— Nie dość tego, że my wyjeżdżamy, lecz i on opuszcza Paryż także...

— Kto? — spytała Helka z pewnem zdziwieniem.

— Doktor Łasko.

— Kiedy?

— Nie wiem.

— Nic ci nie mówił?

Helce zrobiło się niewypowiedzianie przykro, że doktor Łasko o wyjeździe swoim ani słówka przed nią nie wspomniał.

— Dokąd? wiesz?

— Nie wiem... Mówił mi tylko, że dziś rano otrzymał wiadomość, która go zmusza do nagłego wyjazdu...

Helka odetchnęła swobodniej: dziś nie widziała jeszcze doktora Łaski, nie więc dziwnego, że nie wiedziała o niczem. Dowiedziała się jednak tego samego wieczora. Zaledwie wszedł doktor do pokoju, powitała go pytaniem:

— Jako? i pan wyjeżdża?

Doktor Łasko miał jakiś rozpromieniony, radośny wyraz twarzy.

— Niespodziewanie... Pani skąd wie?

— Justysia mi mówiła.

— Niechże pani zgadnie, dokąd?

— Ach! mój Boże! pewnie nie na propagandę socjalistyczną?

— Na propagandę, ale... naukową.

— Nie rozumiem pana...

— Wytłómaczę się... Dostałem zaproszenie do Z. na profesora filozofii.

— Na seryo?

— Najzupełniej... Nominacją już posiadam... Proszono mnie tylko, abym najrychlej dał znać, czy się zgadzam.

— I cóż?

— Odtelegrafowałem, że za kilka dni będę mógł już wyjechać.

W pokoju zrobiło się cicho.

— Ha! szczęście Boże—rzekła po chwili Helka—może uda się panu drogę niejednemu sprostować...

Zamyślili się oboje i widać było, że każde z nich o czem innem myśli; nareszcie doktor Łasko milczenie przerwał:

— Chwilkę wahałem się, przyznam się pani, czy mam przyjąć zobowiązanie, czy nie... czułem, że sam umiem tak niewiele, i to mnie powstrzymywało.

— Jabym, na pana miejscu będąc, nie wahała się ani chwili. Gdyby nawet to, co pan

umiesz, było w istocie za mało, to i w takim razie masz pan sposobność dzielić się tem z innymi; sama sposobność stanowi już bardzo wiele.

— I mnie taka uwaga na myśl przyszła. Naukę możnaby porównać do chleba, który wtenczas dopiero prawdziwą ma wartość, kiedy można nim podzielić się z głodnymi... Na jedną myśl, że kraj potrzebuje nowych sił, nowych ludzi, czując budzącą się w sobie energią i młodość.

Jeszcze lekarz nie pozwolił Helce opuszczać pokoju, kiedy nadeszła telegraficzna wiadomość z Z., nagląca doktora Łaskę do wyjazdu. Musiał jechać.

— Czy się zejdziemy jeszcze w życiu? — spytał przy pożegnaniu.

— Może... Pan, zdaje się, ma przyjaciela na Podolu?

— O, pewnie go odwiedzę!

Helka rozmowie pożegnalnej chciała nadać charakter obojętny, aby nie dać powodu do żadnych domysłów; jednakże współczucie i pomoc, doświadczone od niego, mimowolnie powlekały tę rozmowę pewną tajoną wzajemnie sympatją.

— Może się gdzie w polu spotkamy przy pługu — zauważyła Helka.

— O tak, łąny nasze graniczą — rzekł żartobliwie.

— Ha! trzeba orać!

— Oby tylko na nich zdrowe ziarno rosło!

Po wyjeździe doktora Łaski do Z., najmniej spodziewanym, przyszła kolej na Justysię. W Rajkach oczekiwano na nią oddawna; sama czuła taką potrzebę wyrwać się co rychlej z tych murów, z tego gwaru i szumu miasta, i odpocząć wśród pól i lasów cichej wsi podolskiej! Zatrzymywała ją tylko choroba Helki i jej położenie bez wyjścia. Zdecydowanie się Helki do powrotu było faktem uspakajającym na przyszłość, chodziło o dziś, gdyż nie było to dla niej wcale tajemnicą, że choroba jej spowodowaną była głodem i nędzą. Na razie niebezpieczeństwo zażegnano, a jutro co będzie? W to jutro obie przyjaciółki mogły patrzeć swobodniej, spokojniej raczej o tyle, że Helka lada dzień oczekiwała pieniędzy z domu. W takim razie obie miały zamiar wyjechać razem.

List od rodziców Justysi zmusił ją wcześniej do wyjazdu, niż zamierzała. Helka sama poczęła nalegać. Odkładany z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, wyjazd Justysi zaniepokoił nareszcie rodziców i do rychłego a stanowczego wyjazdu ją znaglił. Opuszczała tego olbrzyma cywilizacyi bez żalu, ale z pewnym smutkiem, pewnem pogębieniem moralnem, z pamięcią o tem, co przeżyła i przeboleła. Przesuwały się jej w myśli dnie, miesiące, lata, zmarnowane prawie; ludzie, którzy tylko prawdę mieli na ustach, a kłamstwo i brudy w duszy. Z takim uczuciem oczekiwała

pierwszego dzwonka w sali pasażerskiej. Odezwał się nareszcie. Podniosła się—i pierwsze jej spojrzenie spotkało Derdidasa.

Stał we drzwiach, jakby umyślnie na nią czekał, a kiedy przechodziła, rzucił na nią spojrzenie, pełne cynizmu, i ukłonił się; ale o uszy jego, zamiast powitania, obił się szorstki, gniewny, pełen pogardy wyraz:

— Podły!

Taki był finał znajomości z Derdidasem.

X.

Z tych, z którymi Helka czuła się bliżej związaną sercem lub myślą, w Paryżu już nie pozostało nikogo, zresztą i drużyna ta była nieliczną. W parę dni po wyjeździe doktora Łaski wyjechała Justysia, teraz na Helkę była kolej. W zupełnem osamotnieniu, zatopiona myślą w przyszłym swoim życiu na sadybie w Makosiejach, czekała chwili wyjazdu z utęsknieniem. Dopóki miała nadzieję walczyć, dopóki uśmiechała się możność doprowadzenia studyów do końca, Paryż był dla niej więzieniem, z którego koniecznością godziła się. Teraz działo się inaczej: w miejsce jakiegoś oderwanego ideału, oświetlonego w dali półmglistej, niewyraźnej, stawał przed nią prosty, bliski, skromny, a jednak otoczony potęgą i urokiem, ideał społecznego obowiązku, zdający się być środkiem, od którego inne rozbiegały się, jak

promienie, i stykały się z wielkiem kołem wszechludzkich obowiązków. Ideał ten, dopatrzony w pracy na własnym kawałku ziemi, zaspakajał wszystkie jej pragnienia, godził się z nauką, łączył ją ze wszystkimi tętnami życia własnego narodu i ludzkości, i codzienne obowiązki, codzienną szarą pracę oświecał pełnem łagodności i blasku światłem. Nęcił ją ten ideał ku sobie ciszą, spokojem nie grobu, nie próżniaczego życia, ale obowiązków i pracy, wołał ją do ojcowskiej sadyby tem głośniejsz, im bardziej czuła siebie cząstką poniewieranej, a jednak pełnej skrępowanej siły narodowej całości.

Pomimo to, że ostatnia nitka, łącząca ją z Paryżem, przeciętą została, opuścić go jeszcze nie mogła: najpierw nie pozwalało zdrowie, potem brak pieniędzy, na które z domu oczekiwała. Po ostatnim liście matki wiedziała dobrze, jakimi ofiarami zdobyte zostaną mające się przesłać pieniądze, ale obiecywała sobie okupić te ofiary pracą usilną i wytrwałą w domu. Liczyła na własne siły, energią, zdrowie, może za wiele. Co rano wstawiała silniejszą, zdrowszą i czuła się w możności odbycia dalekiej podróży; była też do tej podróży tak przygotowaną, że już naza jutrz po otrzymaniu od matki pieniędzy wyjechać mogła.

Nareszcie doczekała się tego szczęśliwego dnia. Wracała do domu, upojona jakąś niewy-

mowną radością, nieokreślonym jakimś pragnieniem oglądania co prędzej własnego kraju, który zdała od niego nauczyła się kochać szczerzej i głębiej. Co godzina bliżej już była swego kąta, swojej ziemi.

W szalonym pędzie z jednego końca Europy na drugi nie zatrzymywała się nigdzie, nie odpoczęła. Minęła Wiedeń, Kraków; noc zaszła,jechała dalej; ranek już świtał, kiedy zatrzymał się pociąg. Szerokie, łagodne, dobre słońce błysnęło do okienka, Helka otworzyła je; uderzył ją dźwięk mowy ojczystej i do głębi poruszył. Wysunęła głowę. Ku niej biegło napół ubrane, w brudnej koszulce, bosonogie, wynędzniałe, chude, blade dziecko — dziewczynka, pięcio, sześcioletnia może. W jednej ręczce trzymała gliniany dzbanek z wodą źródlaną, w drugiej — szklanekę i, biegając przed oknami wagonów, wołała jednostajnym, równym głosem:

— Wody! Wody! Kto chce wody...

Ta postać napół nagiego, obdartego dziecka, jego bose nogi, zaczerwienione od chłodu poranku, ten głos, wołający: wody! poza którym słychać było, zdaje się, inny, jeszcze niewyszeptany wyraz: chleba! — wszystko to wiało jakimś smutkiem, bólem jakimś targało serce. Mimowolnie przypomniał się jej wierszyk Kornela Ujejskiego: „Za chlebem,” a strofy jego, pełne tęsknoty i goryczy, same na usta płynęły:

O ty ziemio polska! ty zawodna!
O ty ziemio polska! tak bogata,
Ze wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba!

Odtąd jednakowe obrazy widziała już zawsze; zmieniało się niebo, ziemia, las, oświetlenie, ale na tle rozmaitem były zawsze te same, małe, o białych ścianach, chaty, słomą kryte; drobne, wychudłe bydło; bosonogie, brudne, o wybladłych twarzach dzieci, przypatrujące się obojętnie pędzącemu, jak wiatr, pociągowi; wynędzniałe twarze ludu, bogate łany, karłowatą pszenicą porośnię, pośród której częściej widać było błękitne głowy bławatków, niż kłosa pszenne. Zawsze i wszędzie toż samo—ach, kiedyż będzie inaczej!

Jakoś żywiej, cieplej biło jej serce, kiedy się do ostatniej stacyi zbliżała; siedziała ciągle przy oknie, patrzyła wzrokiem pełnym uwagi, jakby witała każdy łanek znajomy, każde wzgórze, dolinę każdą i rozsiadłe na niej rosochate dęby, jakby szukała twarzy znajomych pośród migających przed jej okiem pastuchów, pasących owce lub krowy przy rowach przydrożnych. Zatrzymał się pociąg nareszcie. Rozejrzała się wokoło — czegoś tak pusto, tak niewesoło. Na platformie biegał z gorączkowymi ruchami naczelnik stacyi i ze wszystkich kątów wyglądała jego czerwona czapka; kilku żydków w długopółnych chałatach, z długimi, kręcącymi się pejsami, o ruchliwych

twarzach i oczach, od stóp do głów mierzących każdego wysiadającego pasażera, zaglądali ciekawie do okienek wagonu i niemieckim żargonem szwargotali z sobą. Na końcu platformy, przy sztachetach drewnianych i prowadzącej do wyjścia furtecze, stało o sztachety opartych kilku chłopów, trzymających w jednej ręce batog, w drugiej czapkę. Byli to furmani, czekający na podróżnych, którzy każdego jednakowem zaczęli pytaniem:

— A dokąd panie? Może do Baru? Do Lityna? Do Winnicy? Do Braclawia?

Helka jednym spojrzeniem obrzuciła platformę, nie dojrzała żadnej znajomej twarzy i zwróciła się w tę stronę, gdzie stali furmani, czy Fedka nie zobaczy. Naraz drzwi od dworca otworzyły się i na progu ukazał się mężczyzna jakiś, w małoszlachecki kostyum ubrany, w wielkim kapeluszu na głowie, z ogorzałą twarzą, porudziałymi wąsami i długą brodą. Z pod wąsa wymknął mu się uśmiech; szedł prosto ku Helce. Spojrzenia ich spotkały się. Helka odwróciła się nieco na bok, a mężczyzna ów zbliżył się do niej.

— Witam panią—rzekł, wyciągając rękę.

Ręka jego pozostała zawieszona w powietrzu.

— Przepraszam... Nie mam przyjemności...

— Pani nie poznaje mnie?

— Nie, panie.

Zrobiła krok naprzód, chcąc odejść; nieznamy przymuszonym śmiechem wybuchnął:

— Ha, ha, ha! Funio jestem... Świderek...

Helka nie chciała go poznać. Zrobiła krok naprzód ku furmanom, bo spostrzegła właśnie, że Fed'ko kłania się jej czapką i jakby do pospiechu zachęca. Funio natarczywie postępował za nią.

— Mieszkając tak blisko Wołkowiniec i wiedząc o przyjeździe obywatelki, nie mogłem sobie odmówić przyjemności uściśnięcia szanownej ręki waszej, obywatelko, w mojem własnem imieniu, jako też w imieniu Niuni.

Helka słuchała ze wstrętem jego fałszywych deklamacyi.

— Ach, otóż Fed'ko—rzekła—żegnaj pana...

Przyspieszyła kroku, Funio pozostał za nią.

Fed'ko, widząc blisko swoją panuńczę, nie zważał na zakaz naczelnika, zabraniający osobom nieinteresowanym, szczególnie zaś furmanom, snucia się po platformie; kilka kroków naprzód zrobił, pochwyił za rękę Helkę i całować począł.

— Chwała Bogu, że panuńcia przyjechali... tak wyglądaliśmy, wyglądali panuńci!...

W głosie jego było tyle prawdy, szczerości i przywiązania do rodziny, przy której wychował się i postarzał, dzieląc jej dobre i złe losy, że ledwie się nie rozplakała.

— Cóż tam w domu słyhać?—spytała.

— Stara pani zdrowa... Bogu dzięki... a zresztą nic dobrego—zakończył smutnie.

— Będzie lepiej... Bóg da...

— Daj Boże... A kuferek panuńci? Stara pani mówiła, że kuferek będzie...

— Mam w ręku.

W ręku trzymała mały, ręczny kuferek, który, pomimo, że nie był wypełniony w całości, cały jej majątek zawierał.

— Niechże panuńcia da... zaniosę na wózek...

Fed'ko pochwycił z rąk jej kuferek i do koni, stojących za dworcem kolei, pobiegł.

Kiedy Fed'ko kuferek lokował w sianie, będącem na dnie wózka, ażeby się o boki półdrabka nie ocierał, do dworca zbliżał się powóz, w cztery konie zaprzężony. Fed'ko spojrzał w tę stronę.

— O! panna z Rajek!—zawołał i zabrał się znowu do układania kufereka w sianie.

Była to Justysia, która przyjechała powitać przyjaciółkę. Funio od platformy kiwał do nich kapeluszem i rękoma. Justysia niechętnie odwróciła głowę.

— Nie mogę go się pozbyć... jak cień jaki, snuje się za mną... Kiedyś, nieproszony, ni dziękowany, przyjechał wraz ze swoją „koteczka” z wizytą do nas...

— Gdzie oni mieszkają?

— Mają folwarczek stumorgowy niedaleko Wołkowiniec...

— I cóż?

— Ot, to samo, co zawsze... Okłamują ludzi po dawnemu, tylko z innego tempa...

— Trzeba będzie od tej znajomości odsunąć się, jak można najdalej... U nich na ustach albo tylko wielkie frazesy, albo pospolita plotka i obmowa...

Obie dziewczyny obróciły się od uśmiechającego się z daleka Funia z uczuciem pewnego niesmaku. Z tyłu za niemi, trzymając czapkę w ręku, zbliżył się Fed'ko.

— Już wszystko gotowe... jedźmy, pannuńciu... stara pani już dawno nas wygląda...

Obok powozu Justysi stał, zamiast bryczki jak to dawniej bywało, zwykły chłopski wózek z małym wasażkiem, naładowanym sianem. Kółka w dwóch półdrabkach wasągu były poprzeciągane sznurami, a w ten sposób tworzyły się dwa siedzenia: jedno z przodu, na którym siedział Fed'ko, drugie z tyłu dla Helki, a to ostatnie tem tylko różniło się od pierwszego, że siedzenie dla Fed'ka zasłane było workiem, a dla Helki kilimkiem. Pomimo zasłania, z pod ruczyc, półdrabków i krzyżownicy wysterczały źdźbła siana i słomy. Konięta, zaprzężone w parcianą uprząż, pozrzucały naszyjniki z karków i, odwiesiwszy dolne wargi, z pochylonemi głowami stali apatycznie, kiedy-niekiedy poruszeniem uszu lub ogona napastujące owady odpędzając.

Na uwagę Fed'ka Justysia głowę podniosła.

— My przecież razem pojedziemy... przyjechałam właśnie dlatego...

— Nie, moja droga, pozwól mi z Fed'kiem odjechać... Może byłoby mamie przykro, że wzgardziłam jej wózczykiem i końmi...

Justysia zrozumiała uczucie Helki.

— Kiedyż do nas?

— Za kilka dni... Muszę jeszcze trochę odpocząć i z moją kochaną mamą nagadać się...

Fed'ko widocznie niecierpliwił się zbyt długą rozmową koleżanek.

— Jedźmy, panuńciu, jedźmy... — mówił półgłosem, za Helką stojąc.

— Muszę jechać — rzekła Helka — Fed'ko gniewa się...

Fed'ko wziął tę uwagę na seryo, i zamiast dalej gniew swój manifestować, zauważył spokojnie:

— Pani czeka...

Był to argument, mający swoje znaczenie w ustach Fed'ka. Za chwilę potem powóz Justysi potoczył się w kierunku Rajek, a wózek Wołczkowej do Makosiejów zdążył. Fed'ko jechał powoli, zwyczajnym chłopskim truchtem.

— Prędzej, Fed'ku, prędzej... — nagliła Justysia.

— Eh, panuńci aby prędzej... dojedziemy!

— Im prędzej, tem lepiej.

Fed'ko cmoknął i negacyjny ruch głową zrobił.

— A jutro czem orać? Trzeba szkapy oszczędzać...

Jechali tedy powoli, a Fed'ko ciągle rozmawiał i o coś pytał. Mijali znajome pola, znajome laski; ze wzgórza, daleko, na zielonem tle drzew, już widać było Makosieje. Helka rozglądała się z pewnem wzruszeniem po okolicy, po zasiewach... tak dawno nie widziała swojskiego krajobrazu!

— Tego roku zasiewy ładne... będą dobre żniwa—zauważyła, na łąn oziminy patrząc.

— Ziemia rodzi, ale pożytku niema...

— Dlaczego?

— Panuńcia zobaczy... Nikt nie kupuje, a jak zjawi się kupiec, to taką cenę daje, że lepiej nie siać... mniej straty...

Uwaga ta smutne myśli nasunęła obojgu; jechali jakiś czas w milczeniu.

— Ot, i tok nasz już widać...—rzekł Fed'ko. Helka poczęła się wpatrywać.

— Nie widzę...

Po drzewach, po chatach, po obłokach Fed'ko kierował jej spojrzenie na tok Wołczkowej. Helka dojrzała go nareszcie.

— Ani jednego stożka!—zauważyła smutnie.

— Wymłóciliśmy już... da Bóg doczekać żniwa, znowu napełnimy go stożkami...

Myśl ta nasunęła mu widocznie jakieś wspomnienie; uśmiechnął się i zaśmiał sam do siebie.

— A panuńcia nie zapomniała snopów podawać?

— O, nie! Obaczycie, Fed'ku, jakie będziemy stożki składać...

Fed'ko ustami cmoknął.

— Tylko to źle, że panuńcia czegoś błada i chuda bardzo... Wtenczas było inaczej...

— Poprawię się w domu...

Fed'ko, jakby tej uwagi nie słyszał.

— Stara pani będzie się kłopotać... — rzekł. W tej chwili spojrzął przed siebie.

— Ot... i przyjechali... kołowrót już...

Rzeczywiście zbliżali się do Makosiejów. Opanowało ją uczucie radości i szczęścia, jakiego przedtem nie doświadczała nigdy; mijała, witając spojrzeniem, dobrze znane sobie chaty sąsiadów, poznawała dziewczęta, z któremi chodziła na poziomki, lub po grzyby do lasu. Wjechali nareszcie w aleję, wierzbami sadzoną, a prowadzącą do dworku Wołczkowej. Jeszcze trochę, za ostatnim skrętem już widać będzie wrota podwórzowe. Minęli zakręt ostatni i z poza wierzb mignęły wrota i przejazd. Wrota były zamknięte, jak zwykle. Fed'ko za każdym wyjazdem zamykał je sam i wiszący na słupie kałaczyk z grabowej wici własnoręcznie nakładał, ażeby cudze bydło i owce do dziedzińca nie wchodziły.

Jak tylko konie przed wrotami stanęły, Helka wyskoczyła z wózka, przestąpiła przejazd

i wprost do dworka poszła. Na dziedzińcu było pusto: nie pasły się, jak dawniej, cieleta, nie grzebały się i nie gdakały kury, nie gulgotały indyki, tylko bodziaki, łopian, dziewanna, strzelały do góry, a popod płoty szpalerem rosły pokrzywy i szerokolistny bieluń. Dom wyglądał jakby opuszczony, niezamieszkanym; ściany jego, niegdyś białe, świeciły rudymi bokami. Widać, że deszcz już dawno opłókał kredę i wapno, ale nikt nie myślał o pobieleniu ścian nanowo. Słomiany grzebień na dachu był nastroszony, poszarpany od wiatru, a tu i owdzie na stokach leżały wyrwane przez wiatr snopki z poszycia, a widać, że na ich miejsce nie było komu innych powszywać, może nie było komu pamiętać nawet o tem.

Radość Helki była połączona z jakimś rozdzierającym bólem, łzami nabrzmiała. Szła, a raczej biegła przez dziedziniec, szukała okiem dawnego swego towarzysza—psa, i nie znajdowała... Może i ten z głodu zginął... Spojrzała na ganek—na ganku stała Wołczkowa i czekała na nią.

Helka wpadła w jej objęcia, jakby tam pragnęła znaleźć jakiś spokój, jakieś ukojenie, jakieś lekarstwo na ten smutek, który w sobie nosiła. Całując jej ręce i twarz, płakała... Wołczkowa miała także łzy w spłowiałych, zamglonych oczach, ale zatrzymała je w sobie i, hamując własne wzruszenie, uspakajała płaczącą Helkę.

— Nie płacz... dosyć... Chwała Bogu, że wróciłaś... myślałam, że już się ciebie nie doczekam...

W słowach matki, w jej głosie, było tyle smutku, tyle bólu, iż zdawało się, że wyglądały z poza nich dni przeżyte, nieszczęścia przeboleane, słycać było odgłosy wszystkich walk, stoczonych z losem. Matka i córka patrzyły na siebie, jakby z twarzy pragnęły wyczytać resztę uczuć, niedopowiedzianych słowami.

— Wiesz, mamó — mówiła Helka, w rękę Wołczkową całując — tak tęskniłam do swego kąta, do nieba, do ziemi, że jestem najszcześliwsza teraz.

— Będzie ci tu przykro samej...

— Jakto samej? A ty, mamó? a gospodarstwo, a praca? Czyż myślisz, że zapomnę o tem choć na chwilę?

Chciała dać przez to do zrozumienia, że nie tylko jej uczucia, ale i przyzwyczajenia nie zmieniły się w niczem.

— Po wielkim świecie nasza sadyba wyda ci się więzieniem.

Helka zaśmiała się gorzko.

— Nie myśl tak, mamó... Na tym wielkim świecie dowiedziałam się właśnie, że największy świat tam, gdzie nasze obowiązki.

— A nauka twoja?

— Tu przekonam się, co warta.

Wołczkowa dostrzegła zmęczenie córki.

— Zmęczoną jesteś... Idź odpocząć, moje dziecko—rzekła wesoło, całując ją.

Helka zastała swój pokój tak urządzony, jakby go wczoraj opuściła; wszystkie pozostałe jej rzeczy, wszystkie drobiazgi były na swoim miejscu; te same ulubione książki, te same ulubione kwiaty, mirt ten sam na oknie... tylko liście jego zielone opadły i ledwie na szczytach gałązek bladą zielenią połyskiwały. Wołczkowa, pielęgnując go, myślała sobie: może się wesela Helki doczeka... ale najlepsze jej starania dobrego skutku nie osiągały: mirt tracił listki błyszczące, tylko mu zielone czuby pozostały...

Z pobytem w domu Helki zdało się, że cała sadyba Wołczków się ożywiła: praca szła jakoś energiczniej, spieszniej, a Fed'ko wyteżał wszystkie siły, aby z biedy wybrnąć. Wołczkowa nie potrzebowała już robić wysiłków i nadzwyczajnych oszczędności, ażeby móżdż jak najwięcej posyłać Helce, a oprócz tego w domu przybyła pracownica pilna i rozumna. Żniwa wypadły nadspodziewanie pomyślnie, zboże zwiozło się i złożyło w czas, młocka i roboty w polu poszły szybko i dobrze, a Fed'ko, uśmiechnięty, zadowolony, zdając czasem sprawę z postępu robót, lub rady jakiej zasięgając, mówił Wołczkowej:

— Wszystko dobrze idzie... tak dobrze, jak dawno nie szło...

Wołczkowa, zapatrzona w pończochę, której nigdy z rąk nie wypuszczała, i w jednostajny ruch drutów, jakby jej cała uwaga na tej robocie skoncentrowaną była, z pewnem niedowierzaniem głową pokiwała.

— Et, zdaje się tobie...— rzekła zwyczajnym, spokojnym akcentem.

— A ja pani mówię, że to panuńcia szczęście przyniosła.

Urodzaj był tak piękny, że, pomimo najniższej ceny, Wołczkowa na sprzedaży pszenicy zarobiła, a owies i jęczmień sprzedała po takiej prawie cenie, jak dawniej. Sad obrodził także bogato i, już od świętego Jana począwszy, od kupców odpędzić się prawie nie było można. Paszy był dostatek, chudoba poprawiła się, a konie i krowy na zimę poszły pełne i krągłe, jak rzadko.

Wszystko zaczęło uśmiechać się sadybie dawnym dobrobytem, dostatek zdawał się powracać na nowo, tylko dawny spokój, bez trosk, poważny, równy zawsze na zamyślonem czole Wołczkowej, nie wracał. Jakaś głęboka, tajemna troska zajęła jego miejsce i wytrwale go pilnowała: troska o przyszłość Helki. Było to coś więcej, niż troska—bojaźń raczej o zdrowie dziewczyny. Helka wyglądała niby zdrowo, pracowała pilnie, ale w gruncie rzeczy zdrowia od ostatniej choroby w Paryżu nie odzyskała. Występujące na jej policzki wypiekane rumieńce, kaszel w nocy —

wszystko to uwagi Wołczkowej nie uszło i słusznym niepokojem o przyszłość ją napawało.

Spostrzegłszy taką niekorzystną zmianę w zdrowiu córki, Wołczkowa czuwała nad nią z daleka, pilnowała każdego niemal jej kroku i śledziła, czy zmiany jakiej ku lepszemu nie spostrzeże. Zima przeszła spokojnie. Raz tylko państwo Świderkowie przyjechali do Makosiejów z wizytą, jakby umyślnie w chęci zakomunikowania rozmaitych wiadomości z szerokiego świata. Z konieczności, jaka zwykle ciąży na obowiązkach gospodarzy domu, matka i córka przyjęły Świderków grzecznie, ale obojętnie, i w ten sposób, Helka szczególnie, pragnęła dać im poznać, że dalszych stosunków utrzymywać nie pragnie. Mimo to, Funio zdołał udzielić wiadomości, że Derdidas sprzeniewierzył się sprawie socjalizmu, powrócił do Berlina, gdzie ojciec założył dla niego odrębny kantor bankierski, gdyż wierzył w to i starał się przekonać syna, że najlepszą rzeczą na świecie są pieniądze, a najrozumiejszymi ludźmi — bankierzy. Niunia zaś powiedziała pod sekretem, chociaż z bardzo znaczącym naciskiem, że na Zielone Świąta jeden z przyjaciół wspólnych z sąsiedztwa spodziewa się przybycia doktora Łaski. Helka ze swojemi uczuciami i sympatją nie zdradziła się ani słówkiem, i na chytre uśmiechy Niuni, osładzane pochlebstwem, złapać się nie dała.

W gruncie rzeczy cieszyła się z tego przyjazdu, oczekiwała go, pragnęła nawet, bo miała zamiar w niejednej sprawie zasięgnąć rady i wskazówek doktora Łaski. W zimie pozostawało jej wiele wolnego czasu od domowych zajęć i robót, wieczorami więc gromadziła koło siebie kilkoro dzieci czynszowej szlachty z sąsiedztwa, kupiła elementarze i uczyć je poczęła. Życie obu kobietom przechodziło jednostajnie, równo, spokojnie, zawsze w tej samej robocie, zawsze w tych samych kłopotach; weselej było tylko, gdy wieczorem pokój Helki napełniał się głosami dzieci i kiedy brudne ich paluszki przesuwwały się od litery do litery po abecadle.

Doczekano do wiosny, ale wiosna nieszczęście przyniosła do dworku w Makosiejach: Helka pojechała na Wielkanoc do kościoła do Wołkowniec, przeziębila się, a usposobiona do choroby wskutek nadwątlonego zdrowia w Paryżu, dostała galopujących suchot. Po krótkiej gorączce wstała wprawdzie z łóżka, ale nie odzyskała zdrowia; przeciwnie, widać było, jak zdrowie uciekało z niej nie dniami, ale godzinami. Wołczkowa nie żałowała pieniędzy, sprowadzała doktorów i lekarstwa, ale ratunek był niemożliwy. Helka nie przewidywała zbliżającej się katastrofy, łądziła się nadzieją wyzdrowienia, budowała nowe projekta na przyszłość, ale przewidywała złą Wołczkowa. Każda z nich myślała o czem innym;

przed zamysłoną Wołczkową, zawsze jednakowo spokojną na pozór, stawało w cichości nieubłagane widmo śmierci, gwałtem wciskające się do domu, a poza nim resztki samotnego życia, w smutku spędzone. Gniewała się na siebie, że słabą była, że nie potrafiła oprzeć się zachciankom dziewczyny, do Helki żal jakiś czuła głęboki za to, że ją samotną pozostawi wkrótce na świecie, z niespokojnem sumieniem, że sama i jej, i sobie, smutną zgotowała przyszłość.

Kiedy w ciszy nocnej sen odlatywał ze zmęczonych powiek i obrazy niedalekiej przyszłości przesuwwały się jej przed oczyma, niewypowiedziana, głęboka opanowywała ją żalność.

— Marnują się... — mówiła do siebie — szukają szczęścia dla innych, a zapominają o tem, że ich własne szczęście — to szczęście innych... Lecą do światła, jak ćmy nocne, osmalają sobie skrzydła i giną, chociaż koło tej samej świecy krążą i łopocą bezkarnie nietoperze i burczą gnojaki...

Dopóki zdrowie Helki nie przeszkadzało codziennym zajęciom, życie jej wydawało się tak pełnem, że czuła się szczęśliwą prawie. Cały kąt Makosiejów, gdzie znajdowała się sadyba Wołczków, uważał ją za jakiegoś dobrego ducha, zesłanego do głuchej wsi podolskiej. Obecność jej wszędzie była potrzebną, wszędzie pożądaną: do jednej chaty przyniosła pociechę, w drugiej

nieciła w główkach dziecinnych odrobinę światła, w innej list napisała do syna i brata, który gdzieś w Samarkandzie w wojsku służył; a wszędzie wyglądano jej radośnie, a za każdym nadejściem jej robiło się w chacie jaśniej i weselej. W krótkim czasie zdołała wytworzyć między dworkiem swoim a okolicznymi chatami nieznaną dotychczas łącznik, niewidzialną nitką związać serca wszystkich i miłością spokojną, bez przesady, bez gorączkowych rzutów i pragnień, manifestowaną codziennie, nie obietnicami mglistymi, nie nadzieją, rozdmuchującą zazdrość a nieziszczalną, łączyła ze sobą tych wszystkich, z którymi stykała się tylko.

Choroba zatrzymała ją w łóżku, pozbawiła codziennej pracy, codziennego obcowania z ludźmi i mimowolnie całą, kłębiącą się w niej energię czynu zamknęła w kole myśli. Przykuta do łoża, czuła bezsilność swoją, niemoc, a wtedy zdawało się jej, że jest samotną, a niema przy niej nikogo, nikogo, z kim mogłaby uczuciem swoim, nadzieją, goryczą, podzielić się. W osłabionem ciele osiadała niemoc ducha i żal się jej robiło uniesień i nadziei młodości, świeżych i czystych, z którymi rozstawała się stopniowo, jak gałązki stojącego na jej okienku mirtu z listkami, aż dopóki tylko zielone wierzchołki nie pozostały... Kto wie, jeszcze może trochę—i te ostatnie drobne zielone listki opadną.

— Dawniej byłam otoczoną przynajmniej marzeniem mojem, teraz sama jestem... Marzenia i nadzieje, jak widziadła senne, jak błędne ogniki rozpierchły się gdzieś i znikły, zostawiwszy mnie samą na rozdrożu.

W tej chwili, na progu drugiego pokoju ukazała się Wołczkowa; widocznie słyszała narzekania Helki. Przerwała je umyślnie, bo wiedziała, jak szkodliwie oddziaływają na nią.

— Chcesz czego?— spytała.

Helka spojrzała na zasmuconą, stroskaną matkę.

— Nie, mam... ale dobrze, żeś przyszła. Zdawało mi się przed chwilą, że sama jestem i smutno mi czegoś było.

Wołczkowa odgadła ten smutek, z niepokoju duszy płynący; nachyliła się do łóżka i w czoło ją pocałowała.

— Nie samą jesteś, moje dziecko, nie samą...

— Ach! wierzę mam... i ty mnie kochasz, i oni są z nami... alboż całe życie nie żyli z nami?...

Matka i córka zamilkły, ale widać było, że obie myślały o nieobecnych, którzy poginęli Bóg wie gdzie, daleko od domu, a po sobie zostawili tylko kawał ziemi i pamięć w sercach najbliższych. Po chwili milczenia, głos zabrała Helka:

— Wiesz, mam? do dziś dnia jeszcze miałam nadzieję, że żyć będę, że się przydam na coś... dziś już nie mam...

— Wszystko od Bożej woli zależy — uspokajała matka.

— Pewnie...—z tonem wątpliwości odrzekła Helka.

Znowu milczenie nastąpiło.

— Opowiadałaś mi kiedyś, mamó, dzieje naszej rodziny... Mówiłaś, że wszyscy pomarnowali się, jeden po drugim ginęli bez śladu... i ja szłam drogą moich poprzedników, tylko oni skończyli inaczej, a ja—inaczej.

Spokojne na pozór spojrzenie Wołczkowej, skierowane na pokój, zapatrzone było w przeszłość. Myślała o tych, którzy zginęli:

— Nie przeszli oni bez śladu, moje dziecko... bronili swego kawałka ziemi...

Helka doznała pewnej przykrości; czuła, że była niesprawiedliwą względem swoich przodków. Jakaś myśl błysnęła jej w głowie. Podniosła nagle spojrzenie na matkę.

— Mamó, a gdzie jest karabela ojcowska?— spytała.

— Schowana...

— Przynieś mi ją, mamó.

Wołczkowa wyszła, i po chwili wróciła z karabelą. Helka wysunęła ją do połowy z pochwy i przyglądała się z pilną uwagą pordzewiałej stali.

— Postaw ją, droga mamó, w tym kąciku— ręką skinęła—niech patrzę na nią czasem...

Matka postawiła karabelę w kącie. Helka

wpatrywała się w nią długo.

— Czyż nic więcej po nich nie zostało?

— Makosieje... — odpowiedziała Wołczkowa z uczuciem spokojnego bólu — ziemia, moje dziecko; póki jest ziemia, póty żyją oni i my żyjemy...

— A jak nas nie stanie?

— Mamy krewnych, jeszcze uboższych od nas; niech siądą w naszej chacie... Teraz orzą cudzą ziemię, niech lepiej własną orzą.

Wołczkowa, nie chcąc dłużej wyczerpywać sił Helki rozmową, wyszła, ażeby ją w spoczynku zostawić, ale Helka nie mogła znaleźć spokoju, bo go w niej samej nie było. Po wyjściu matki, podniosła się trochę na łóżku, przysunęła się do poduszki, oparła na niej głowę i spojrzenie swoje skierowała na stojącą w kącie pokoju karabelę. Wieczór nadszedł; Wołczkowa zapaliła lampkę, nałożyła umbrelkę, aby światło oczu nie raziło. W pokoju rozpościerał się półcień i łagodnym światłem oświecał, o róg dwóch stykających się ścian opartą, rękojeść karabeli. Helka wpatrywała się w nią iskrzącem się spojrzeniem, zamyślonem okiem, bo ten kącik maleńki zajaśniał i ożywił się naraz. Zdawało się jej, że widzi, ugrupowane koło karabeli, wąsate, ogorzałe twarze, postacie w kirysach, w hełmach... twarze poważne, ale jakieś dobre, łagodne, czoła zamyślone... Wpatrywała się w nie, poznawała: to oni... dziad, pradziad, ci sami, którzy bronili tą karabelą ka-

wałka posiadanej ojczyzny od Szwedów, Turków i Tatarów. Z boku, koło nich, bez szyszaków i pancerzy, z porąbanymi twarzami i głowami, stały dwie inne męskie postacie: jeden stary, krwią cały ociekał, a drugi, młody, obiema rękoma powstrzymywał go i coś mu szeptał. Mieli oni te same twarze, czoła, ten sam smutek głęboki, co i zakuci w stal rycerze.

Podnieśli głowy i spojrzeli na nią; poznała ich oczyma duszy: to oni... oni... ojciec i brat...

Chciała krzyknąć z całej piersi: mamó!—ale ojciec podniósł rękę i skinął ku niej.

— Nie wołaj!—rzekł—niech odpocznie biedna; przyjdzie czas: sam jej zawołam...

Wtem, zdało się jej, że do ojca zbliżała się Wołczkowa; nie witała go, tak, jakby była z nim zawsze.

— Komuż ją oddam?—spytała, na karabelę pokazując.

— Z sobą weźmiesz...

Helka wpatrywała się w ten obraz z radością, rozkoszą i smutkiem; radaby była powstać z łóżka i biedz do nich, do swoich, do nieznanych, a jednak ukochanych. Wtem ojciec pochylił się nieco i pocałował Wołczkową.

— Wracajże nazad — rzekł — i zawołaj do nas Helki.

Helka posłyszała to, porwała się gorączkowym ruchem z łóżka i z całej siły krzyknęła:

— Idę, idę, mój tatku!...

Na krzyk ten wbiegła przestraszona Wołczkowa, zbliżyła się do łóżka i zastała pochyloną w poprzek Helkę. Otworzyła jeszcze oczy, pochwyciła matkę za rękę, za szyję ją objęła i rzekła ledwie dosłyszalnym głosem:

— Mammo... tatko wołał.

Były to ostatnie jej słowa. Ręce Helki coraz bardziej zaciskały się koło szyi Wołczkowej, chłodziły, a bezwładne ciało przygniatało znękaną matkę całym swoim ciężarem. Wołczkowa napół zastygłe palce rozwiodła i głowę Helki na poduszkę położyła. Uklękła przy łóżku, rozpoczęła głośno Anioł Pański, ale łzy zalewały jej głos, myśli, słowa. Długo klęczała jeszcze i w oświetloną czerwonym światłem twarz córki wpatrywała się, jakby sobie jej rysy na wieki zapamiętać chciała.

— I ty poszłaś za nimi!—przez łzy rzekła.

—Potem powstała, zapaliła gromnicę i przy stole, u wezglowia Helki, postawiła; wzięła książkę do nabożeństwa i modlić się poczęła. Przeklęczała przy łóżku noc całą na modlitwie, w bladą i nieruchomą twarz ostatniego dziecka wpatrując się. Pozostała z nią sam na sam, rozpamiętywając rok po roku całe swoje długie życie cierpień; przesuwały się przed jej oczyma postacie drogie, a pogrzebane dawno: jedni na małym cmentarzyku Wołkowiniec spali w ustron-

nej ciszy, a jedynym śladem ich miejsca spoczynku były rosnące u wezgłowia brzozy, płaczącymi gałązkami dotykające piołunów i dziewan, wyrastających na grobie; drudzy polegli daleko od domu, na polu bitwy, a ciał ich nie było komu pogrzebać nawet... Teraz do tych, którzy ją opuszczali kolejno, jeszcze jedna odeszła... Ona byłaby chętnie oddała resztki swego życia za to jedno młode życie, które z jej ramion uciekło, ale siła jakaś zatrzymała ją jeszcze, aby ostatniej, najmłodszej, powieki zamknęła...

Minął jeszcze dzień jeden, a drugiego dnia, przed dworkiem Wołczkowej stanął ten sam wasążek, który Helkę przywiózł, sianem wyładowany, w te same konięta zaprzężony, a przy wasążku stał Fed'ko, smutny, z głową pochyloną. Sąsiedzi wynieśli na ramionach dębową trumnę Helki, na wasąg położyli; Fed'ko zbliżył się do koni, prawego za uździenicę ujął, zrobił krok naprzód, za nim ruszyły konięta, potoczył się powoli wózek, a za wózkiem, pieszo, z odkrytymi głowami, cały tłum ruszył—sąsiadów, sąsiadek, dzieci... Jedni cicho łzy ocierali, inni, zwisiwszy głowy, postępowali za wozem, a Fed'kowi łzy z oczu, jak groch, spadały; płakał i głośno, zwyczajem rusińskim, narzekał:

— Przywiozłem ciebie na nieszczęście... Któż nam teraz w samotnej chacie szczebiotać będzie?

Najsmutniejszą była Wołczkowa. Szła, wpa-

trzona w dębową trumnę Helki, a poza nią nic już nie widziała, nic dla niej nie było... szła z takim bolem, z taką rezygnacją, jakby sama ledz miała do wspólnego grobu z Helką, jakby już rachunek długiego życia zamykała.

— Dla kogoż żyłam? komuż ten kawałek ziemi pielęgnowałam? Wszyscy ci, których kochałam, żyli chwilkę ze mną, przesunęli się przed oczyma, odeszli gdzieś i nie wrócą już nigdy... Gdybyż przynajmniej świat ten nie był jedynym światem, gdybym spotkała ich jeszcze, drogich moich!...

Działo się to jak raz na Zielone Świątki. Już było po niesporach i ludzie poczęli wychodzić z kościoła, kiedy orszak pogrzebowy zatrzymał się przed kościelną furtą. Na uboczu, opodal kościoła, stała gromadka ludzi, z trzech mężczyzn i kobiety złożona, którzy rozmawiali ze sobą.

— Nie było Wołczkowej...

— Pewnie Helka chora — odpowiedziała kobieta.

— Cóż jej jest? — spytał mężczyzna z wielką, jasną brodą.

— Przeziębiła się na Wielkanoc...

W tej chwili otworzyła się brama cmentarna i ukazała się w niej trumna dębowa, przez czterech chłopów niesiona; za nią szła Wołczkowa i gromadka znajomych i krewnych. Dwóch mę-

szczyzn z owej grupy, stojącej na uboczu, ukłoniło się, kobieta skinęła także głową.

— Kto to jest?—spytał mężczyzna z jasną brodą.

— Wołczkowa...

Serce drgnęło mu jakoś boleśnie. Kobieta, obok niego stojąca, dodała:

— Helka umarła...

Owo towarzystwo, stojące na uboczu, składali: doktor Łasko, przyjaciel jego i państwo Świderkowie. Doktor Łasko dotrzymał słowa; na Zielone Świątki przyjechał, przyszedł do kościoła, aby obaczyć Helkę... i nie obaczył jej.

Taki go ból i żal opanował, że długą chwilę stał jak martwy, potem zdjął kapelusz i za trumną poszedł. Za nim postępował Funio i szeptał przez ramię:

— Ach! jakąby tu można mówkę palnąć!

Doktor Łasko zakipiał z oburzenia, ale pohamował się.

— Zostaw ją dla innych.

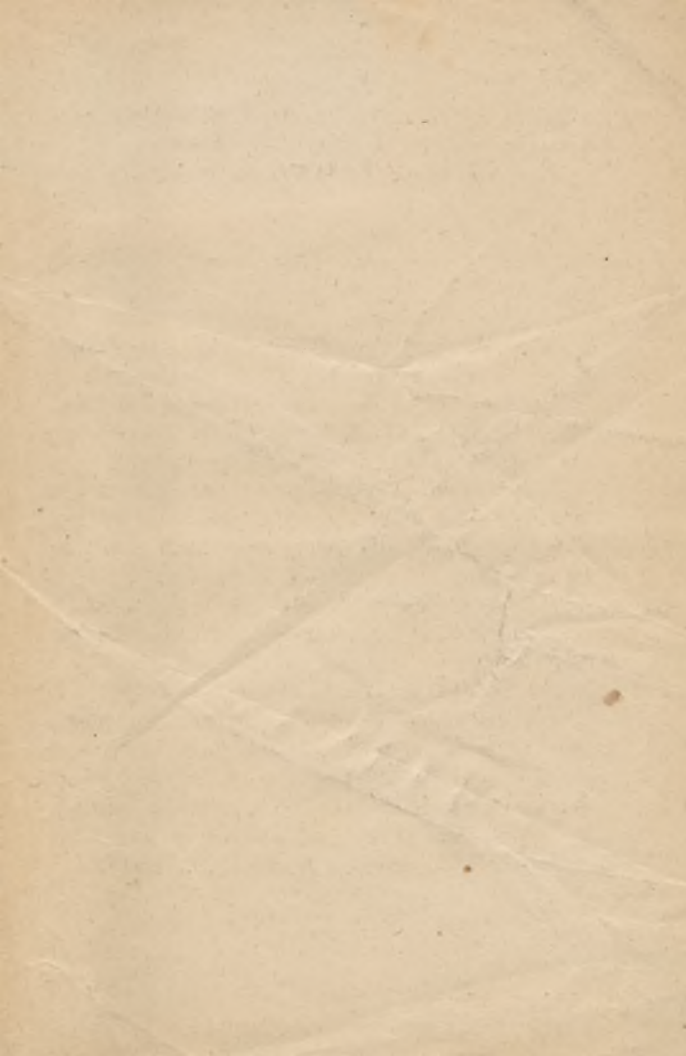
Po pogrzebie Wołczkowa wracała do wózka, aby do domu odjechać. Doktor Łasko zbliżył się do niej, ujął ją za rękę i z prawdziwie synowskim uczuciem pocałował. Nie spojrzała na niego.

— Znałem córkę pani—rzekł.

— Już jej niema... zmarła moja gołąbka!

K O N I E C.





WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

20x

5

106147